

Agatha Christie

Świadek oskarżenia

Przełożyła Dorota Malinowska

Tytuł oryginału .The Hound of Death”

Świadek oskarżenia

Pan Mayherne poprawił swoje pince-nez i odchrząknął sucho, w charakterystyczny dla siebie sposób. Potem spojrzął na siedzącego naprzeciw mężczyznę oskarżonego o morderstwo.

Pan Mayherne był nieduży, oszczędny w ruchach i starannie, żeby nie powiedzieć wykwinnie, ubrany. W jego twarzy zwracały uwagę wyjątkowo bystre, świdrujące szare oczy. Na pewno nie był głupcem. Prawdę mówiąc, miał wysoką pozycję wśród adwokatów. Gdy zwracał się do klienta, jego głos brzmiał rzeczowo, chociaż dźwięczała w nim nuta współczucia.

— Pragnę jeszcze raz podkreślić, że pańska sytuacja jest wyjątkowo trudna i dlatego oczekuję od pana całkowitej szczerości.

Leonard Vole, który dotąd wpatrywał się oszołomiony w gładką powierzchnię ściany, przeniósł spojrzenie na adwokata.

— Wiem — powiedział bezradnie. — Cały czas pan to powtarza. Ale do mnie jeszcze chyba nie dotarło, że jestem oskarżony o morderstwo. Z premedytacją! O taką nikczemność!

Pan Mayherne, jako człowiek praktyczny, rzadko dawał się ponosić emocjom. Jeszcze raz odchrząknął, zdjął pince-nez, starannie je wytarł, a następnie znowu umieścił na nosie.

— Tak, oczywiście — powiedział wreszcie. — Ale zrobimy co w naszej mocy, żeby pana z tego wyciągnąć. Powiedzie nam się, z pewnością powiedzie. Muszę jednak poznać wszystkie fakty, by przewidzieć, z jak poważnymi spotka się pan zarzutami. Wtedy ustalimy linię obrony.

Młody człowiek wciąż spoglądał na niego tym samym, bezradnym wzrokiem. Zdaniem pana Mayheme sprawa nie mogła zapowiadać się gorzej, wina oskarżonego była jak na dłoni. Ale teraz, po raz pierwszy przeżył chwilę zwątpienia.

— Pan myśli, że jestem winny — powiedział cicho Leonard Vole. — Ale klnę się na Boga, że to nieprawda. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Czuję się jak schwytyany w sieć — w którąkolwiek stronę się zwrócę, omotuje mnie ona coraz bardziej. Ale ja tego nie zrobiłem, panie Mayherne, naprawdę nie zrobiłem!

Człowiekowi, który znalazł się w takiej sytuacji, nie pozostawało nic innego, jak upierać się przy swojej niewinności, o tym pan Mayherne dobrze wiedział. A Jednak słowa Leonarda Vole'a zrobiły na nim wrażenie. Może mimo wszystko ten człowiek był niewinny.

— Ma pan rację, panie Vole — rzekł ponuro. — Sprawa wygląda bardzo niedobrze. Ale przyjmuję pańskie zapewnienia. A teraz przejdźmy do faktów. Chcę, by opowiedział mi pan własnymi słowami, jak poznał pan pannę Emily French.

— To stało się pewnego dnia na Oxford Street. Zobaczyłem starszą damę, która przechodziła przez jezdnię. Niosła całą masę pakunków. Nagle upuściła je na samym środku jezdni, pochyliła się, żeby wszystko pozbierać, ale ujrzała nadjeżdżający autobus i tylko cudem zdążyła dotrzeć do chodnika. Zatrzymała się wyraźnie skonsternowana tym, co się jej przed chwilą przydarzyło oraz okrzykami tłumu, który zdążył się wokół zebrać. Pozbierałem paczki, wytarłem je, jak umiałem, z błota, poprawiłem sznurki i wszystko zwróciłem właścicielce.

— W żaden sposób nie da się udowodnić, że uratował jej pan życie?

— Och nie, skądże. To była tylko drobna przysługa. Starsza dama gorąco mi podziękowała i powiedziała coś na temat moich manier — że różnią się znacznie od obowiązujących obecnie wśród młodej generacji, dokładnie jej słów nie pamiętam. Wtedy pożegnałem się i odszedłem. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że kiedykolwiek znowu ją spotkam. Ale — życie pełne jest niespodzianek. Tego samego dnia poszedłem wieczorem na przyjęcie do zaprzyjaźnionego domu. I ona też tam była. Poznała mnie od razu i poprosiła, by nas sobie przedstawił. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że jest to panna Emily French z Cricklewood. Trochę rozmawialiśmy. Podejrzewam, że w jej charakterze leżało spontaniczne obdarzanie ludzi sympatią. Wyraźnie mnie polubiła tylko dlatego, że zachowałem się tak jak zachowałby się każdy w podobnej sytuacji. Przy pożegnaniu ujęła mnie serdecznie za rękę i poprosiła, bym ją odwiedził. Odpowiedziałem, że będzie mi bardzo miło, a ona od razu wyznaczyła dzień tej wizyty. Prawdę mówiąc, nie miałem szczególnej ochoty na odwiedzinę, ale odmowa wydawała mi się grubiaństwem, więc umówiliśmy się na następną sobotę. Kiedy już poszła, dowiedziałem się o niej od moich przyjaciół tego i owego — że jest bogata, ekscentryczna i mieszka samotnie, tylko z jedną służącą i ma — ni mniej, ni więcej — aż osiem kotów.

— Rozumiem — powiedział pan Mayheme. — Czy temat jej bogactwa wypłynął przypadkowo?

— Jeśli myśli pan, że się wypytywałem... — zaczął gorączkowo Leonard Vole, ale adwokat uspokoił go gestem dłoni.

— Muszę patrzeć na tę sprawę tak, jak będzie ona przedstawiana przez stronę przeciwną. Przeciętny obserwator nie zauważyłby, że panna French jest bogata. Żyła skromnie, można by rzec — biednie. Gdyby nie dowiedział się pan o jej majątku, najprawdopodobniej uznałby ją pan za osobę ubogą. Kto właściwie powiedział panu, że jest inaczej?

— Mój przyjaciel, George Harvey, w którego domu odbywało się przyjęcie.

— Czy jest nadzieja, że będzie o tym pamiętał?

— Naprawdę trudno powiedzieć. Minęło już trochę czasu. — To prawda, panie Vole. Ale oskarżyciel z pewnością spróbuje wykazać, że pańska sytuacja materialna nie była wówczas kwitnąca. Czy mam rację? Leonard Vole poczerwieniał.

— Tak — wyszeptał. — W tamtym czasie prześladował mnie pech.

— No właśnie — zgodził się z nim pan Mayherne. — Będąc więc, jak już powiedziałem, w kiepskim położeniu materialnym, spotyka pan bogatą staruszkę i stara się z nią zaprzyjaźnić.

Gdybyśmy mogli twierdzić, że nie zdawał pan sobie sprawy z jej zamożności i że poszedł do niej z wizytą tylko z dobroci serca...

— Ależ tak właśnie było!

— Wierzę. Wcale tego nie kwestionuję. Tyle że staram się patrzeć na sprawę pod innym kątem. Bardzo wiele zależy od pamięci pana przyjaciela Harveya — czy przypomni sobie waszą rozmowę, czy też nie. I czy udałoby się mu delikatnie zasugerować, że taka rozmowa odbyła się dopiero później?

Leonard Vole zastanawiał się nad tym dobrą chwilę. Wreszcie odezwał się w miarę spokojnym tonem, chociaż był bardzo blady.

— Nie sądzę, aby ta linia obrony była skuteczna, panie Mayherne. Kilka z obecnych tam osób słyszało naszą wymianę zdań i ktoś nawet rzucił uwagę, że zdobyłem serce bogatej damy.

Adwokatowi udało się ukryć rozczarowanie i zbył tę uwagę machnięciem ręki.

— To pech — stwierdził. — Ale dziękuję, że nie ukrywa pan prawdy, panie Vole. To pan musi mnie prowadzić. Pańska ocena tej sytuacji jest bardzo rozsądna. Upieranie się przy linii obrony, którą podsunąłem, mogłoby okazać się wprost katastrofalne. Zostawmy ten punkt. Poznał pan zatem pannę French, następnie odwiedził ją pan i znajomość rozwijała się. Musimy wykazać klarowny powód wszystkiego, co się wydarzyło. Dlaczego właśnie pan, młody trzydziestotrzyletni mężczyzna, przystojny, prowadzący ożywione życie towarzyskie, uprawiający sporty, poświęcał tyle czasu starszej kobiecie, z którą właściwie niewiele miał wspólnego? Leonard Vole zacisnął nerwowo dłonie. — Nie potrafię panu wyjaśnić, naprawdę nie potrafię. Po pierwszej wizycie upierała się, bym odwiedził ją znowu, mówiła, że czuje się samotna i nieszczęśliwa. Postawiła mnie w wyjątkowo trudnej sytuacji. Wyraźnie okazywała mi sympatię, tak że czułem się bardzo niezręcznie. Proszę posłuchać, panie Mayherne, ja mam dość słaby charakter, płynę z prądem zdarzeń. Należę do tych ludzi, co to nie potrafią odmówić, jeśli się ich o coś prosi. I może mi pan wierzyć lub nie, ale po kilku wizytach poczułem słabość do starszej pani. Moja matka umarła, kiedy byłem mały, wychowywała mnie ciotka, ale i ona odeszła z tego świata, kiedy miałem piętnaście lat. Jeśli powiem panu, że matkowanie i czułość, okazywane przez pannę French sprawiały mi przyjemność, pewnie rozbawi to pana. Pan Mayherne jednak wcale nie wyglądał na rozbawionego. Zamiast tego zdjął znowu swoje pince-nez i wytarł je, wzdychając głęboko, jak to miał w zwyczaju, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiał.

— Przyjmuję pańskie tłumaczenie, panie Vole — rzekł wreszcie. — Uważam, że jest psychologicznie uzasadnione. Czy jednak ława przysięgłych zgodzi się ze mną, trudno powiedzieć. Proszę, niech pan mówi dalej. Kiedy po raz pierwszy panna French poprosiła, żeby zajął się pan jej finansami?

— Podczas mojej trzeciej, a może czwartej wizyty. Nie miała pojęcia o prowadzeniu interesów i martwiła się, że nie najlepiej ulokowała kapitał.

Pan Mayherne spojrzał ostro na klienta.

— Niech pan uważa, panie Vole. Jej służąca, Janet Mackenzie, twierdzi, że pani znakomicie radziła sobie w interesach i wspaniale pilnowała swoich spraw. Tego samego zdania są bankierzy.

— Nic na to nie poradzę — odparł spokojnie Leonard Vole. — Mnie powiedziała coś wręcz przeciwnego.

Pan Mayherne w milczeniu przyglądał się młodemu człowiekowi. Chociaż nie miał zamiaru mówić tego na głos, jego wiara w niewinność Leonarda Vole'a umocniła się. Wiedział coś niecoś o starszych paniach. Potrafił wyobrazić sobie pannę French zauroczoną przystojnym młodym człowiekiem, szukającą pretekstu, by zatrzymać go przy sobie. Cóż bardziej prawdopodobnego niż ignorancja w sprawach materialnych i naturalna wówczas prośba o pomoc w prowadzeniu interesów. Była na tyle kobietą światową, by wiedzieć, że każdemu mężczyźnie pochlebia takie uznanie jego wyższości. Leonard Vole złapał się na lep tego pochlebstwa. Może nie miała też nic przeciw temu, by okazać młodemu człowiekowi, że jest kobietą zamożną. Emily French była starszą damą o silnym charakterze, gotową zapłacić nawet wysoką cenę za zaspokojenie własnych pragnień. Wszystko to przemknęło przez myśli pana Mayheme'a, ale niczego nie dał po sobie poznać i zadał następne pytanie.

— Więc zajął się pan jej interesami zgodnie z tą prośbą?

— Tak.

— Panie Vole — powiedział adwokat. — Zadam teraz bardzo ważne pytanie, na które musi mi pan szczerze odpowiedzieć. Zajmował się pan interesami starszej damy, która — zgodnie z jej własnymi słowami — niewiele, jeśli w ogóle, znała się na interesach. Czy kiedykolwiek użył pan jej zasobów, żeby poprawić swoją sytuację materialną? Czy zaangażował pan te fundusze w transakcję, z której czerpałby pan pośrednio korzyści? — Powstrzymał jeszcze Vole'a przed odpowiedzią. — Niech się pan dobrze zastanowi. Mamy dwie drogi. Albo możemy oprzeć się na pańskiej uczciwości w prowadzeniu jej spraw wykazując, że nieprawdopodobne jest, by popełnił pan morderstwo, skoro mógł pan dostać się do jej pieniędzy w sposób znacznie prostszy. Jeśli jednak, mówiąc brutalnie, można panu udowodnić jakiś szwindel, musimy trzymać się linii, że nie było motywu morderstwa, ponieważ już za życia staruszka stanowiła dla pana źródło profitów. Myślę, że uzmysławia pan sobie różnicę. A teraz, proszę się zastanowić nad odpowiedzią. Ale Leonard Vole nie zamierzał się zastanawiać.

— Moje interesy z panną French były w stu procentach uczciwe. Staralem się pokierować jej sprawami korzystnie. Każdy, kto wejrzy w prowadzone przeze mnie transakcje, będzie musiał to przyznać.

— Dziękuję panu — powiedział pan Mayherne. — To duża ulga. Wierzę, że jest pan zbyt inteligentny, by okłamywać mnie w tej kwestii. Proszę potraktować to jako komplement.

— Najsilniejszym argumentem przemawiającym na moją korzyść — powiedział z powagą Vole — jest brak motywu. Zakładając, że podtrzymywałem znajomość z tą bogatą damą w nadziei, że będę czerpał z tego profity finansowe — a to, jak przypuszczam, jest właściwym tematem naszej rozmowy — jej śmierć zniszczyła przecież moje oczekiwania.

Prawnik popatrzył na niego kamiennym wzrokiem. Pograżony w myślach, powtórzył swój trik z pince-nez. Dopiero kiedy znalazły się one z powrotem na nosie, powiedział:

— Więc nie wiedział pan, panie Vole, że panna French zostawiła testament, w którym figuruje pan jako jej główny spadkobierca.

— Co? — więzień zerwał się na równe nogi. Jego konsternacja wydawała się spontaniczna i naturalna. — Mój Boże! Co też pan mówi? Zostawiła mi pieniądze?

Pan Mayherne powoli skinął głową. Vole opadł z powrotem na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Mam uwierzyć, że nic pan nie wie o testamencie?

— Pierwszy raz o tym słyszę, naprawdę.

— A jednak służąca panny French, Janet Mackenzie, przysięga, że pan o tym wiedział. Zgodnie z jej słowami panna French konsultowała się z panem w tej sprawie, wyjawiając panu swoje zamierzenia.

— Janet kłamie. Nie, zbyt ostro się wyraziłem. Janet jest już w podeszłym wieku. Była wierna swojej pani i nie lubiła mnie. Jest zazdrosna i podejrzliwa. Prawdopodobnie panna French zwierzyła się ze swych zamiarów Janet, a ta albo nie zrozumiała do końca jej słów, albo doszła do przekonania, że to ja nakłoniłem staruszkę do takiego kroku. Z pewnością teraz szczerze wierzy, że panna French naprawdę coś takiego jej powiedziała.

— Nie sądzi pan, że mogłaby specjalnie kłamać w tej sprawie?

Leonard Vole spojrzał zaskoczony, wręcz zaszokowany.

— Nie, niemożliwe. Dlaczego miałaby tak postąpić?

— Nie wiem — powiedział w zamyśleniu pan Mayherne. — Ale najwyraźniej ma do pana pretensje.

Młody człowiek jęknął zrozpaczony.

— Zdaje się, że zaczynam rozumieć — wyszeptał. — To przerażające. Namówiłem ją do zmiany testamentu, tak właśnie powiedzą, namówiłem ją, żeby to mnie zapisała pieniądze, a potem przyszedłem do niej w nocy, kiedy nikogo nie było, i... znaleźli ją martwą następnego dnia. Boże, to okropne.

— Nie ma pan racji, mówiąc, że w domu nie było nikogo — powiedział prawnik. — Janet, która miała tego wieczoru wychodne, rzeczywiście wyszła, ale około dziewiętej trzydzieści wróciła po wykrój rękawa bluzki, który obiecała przyjaciółce. Dostała się do domu tylnymi drzwiami, weszła na górę, zabrała wykrój i właśnie zamierzała wyjść, kiedy usłyszała głosy w salonie. I chociaż nie potrafiła rozróżnić słów, przysięga, że panna French rozmawiała z mężczyzną.

— O dziewiątej trzydzieści — powtórzył Leonard Vole. — O dziewiątej trzydzieści... — Nagle zerwał się na równe nogi. — W takim razie jestem uratowany... uratowany.

— Co pan ma na myśli mówiąc „uratowany”? — zapytał zaskoczony pan Mayherne.

— O dziewiątej trzydzieści byłem już z powrotem w domu! Moja żona to potwierdzi. Wyszedłem od panny French mniej więcej za pięć dziewiąta i zjawiłem się w domu dwadzieścia po dziewiątej. Żona czekała na mnie. Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu! I niech będzie błogosławiony wykrój rękawa Janet Mackenzie!

Był tak uradowany, że wcale nie zwrócił uwagi na ponurą minę adwokata. Ale słowa tego ostatniego szybko sprowadziły go na ziemię.

— Kto pana zdaniem zamordował pannę French?

— Jak to? Oczywiście, że złodziej, uważam tak od samego początku. Pamięta pan przecież, że okno było wyważone. Starsza pani zginęła od uderzenia łomem, który znaleziono obok ciała. Z domu zginęło kilka przedmiotów. Ale na skutek idiotycznych podejrzeń Janet i jej antypatii do mnie policja nigdy nie poszła słusznym tropem.

— To nie wyjaśnia sprawy, panie Vole — powiedział adwokat. — Zabrane rzeczy nie przedstawiają dużej wartości, wyniesiono je dla zamydlenia oczu. A włamanie również mogło być upozorowane. Poza tym proszę pomyśleć o sobie. Powiedział pan, że o wpół do dziesiątej nie było już pana w domu zamordowanej. Z kim w takim razie rozmawiała panna French w salonie? Trudno uwierzyć, że ucięła sobie pogawędkę z włamywaczem.

— Nie — powiedział Vole. — Rzeczywiście nie... — sprawiał wrażenie zdziwionego i zdezorientowanego. — Ale — dodał, jakby odzyskując siły — to przynajmniej wyklucza moją osobę. Mam niepodważalne alibi. Musi pan spotkać się z moją żoną Romaine i spytać ją o to.

— Oczywiście — zgodził się prawnik. — Spotkałbym się z pana małżonką już wcześniej, ale niestety, nie zastałem jej w domu. Kontaktowałem się ze Scotland Yardem i dowiedziałem się, że ma wrócić dzisiaj wieczorem. Gdy tylko stąd wyjdę, udam się do niej.

Vole skinął głową. Na jego twarzy malowało się teraz głębokie zadowolenie.

— Romaine wszystko panu powie. Mój Boże! Co za szczęśliwy trafi

— Przepraszam za to pytanie, panie Vole, ale czy jest pan oddany swojej żonie?

— Oczywiście.

— A ona panu?

— Bardzo. Zrobi dla mnie wszystko.

Pan Vole powiedział to z takim entuzjazmem, że adwokatowi zrobiło się aż przykro. Zeznania

oddanej żony! Jakąż marną stanowią wartość dla sądu!

— Czy ktoś jeszcze widział pana powrót o dziewiętej dwadzieścia? Na przykład służąca?

— Mamy tylko posługaczkę, która przychodzi w dzień, na godziny.

— Czy wracając do domu spotkał pan kogoś na ulicy?

— Nikogo znajomego. Część drogi odbyłem autobusem. Może konduktor mnie zapamiętał.

Pan Mayheme pokręcił z powątpiewaniem głową. —Więc nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić zeznania. pańskiej żony?

— Nie, ale to przecież nie jest konieczne, prawda?

— Chyba nie — odparł z wahaniem pan Mayherne. — I jeszcze jedno. Czy panna French wiedziała, że jest pan żonaty?

— Tak.

— Ale pan nigdy nie przedstawił jej swojej żony, nie spotkały się. Dlaczego?

— No... nie wiem.

— Janet Mackenzie twierdzi, że udawał pan kawalera, na dodatek gotowego poświęcić dla jej pani swoją wolność.

Vole roześmiał się.

— To absurdalne! Między nami była różnica czterdziestu lat.

— Takie wypadki się jednak zdarzają — powiedział adwokat oschle. — Fakt pozostaje faktem, że pańska żona nigdy nie spotkała się z panną French.

— Nie — w głosie młodego człowieka dawało się wyczuć zmieszanie.

— Niech mi wolno będzie powiedzieć — rzekł prawnik — że nie bardzo pojmuję pańskie zachowanie w tej materii.

Vole poczerwieniał, zawahał się, a po chwili odparł:

— Powiem panu wprost. Znalazłem się wtedy w niezłych opałach. Miałem nadzieję, że panna French pożycz mi pieniędzy. Darzyła mnie sympatią, ale jej przecież nie obchodziły problemy młodych małżeństw. Od początku wyobrażała sobie, że nie układa nam się najlepiej, mnie i Romaine. Chyba przypuszczała, że mieszkamy osobno. Panie Mayherne, bardzo potrzebowałem tych pieniędzy ze względu na Romaine. Nic nie mówiłem, pozwalałem starszej pani myśleć, co jej się żywnie podoba. Nazywała mnie swym adoptowanym synem. Nigdy nie było mowy o żadnym małżeństwie —

to wytwór chorej wyobraźni Janet.

— I to wszystko?

— Naprawdę wszystko.

Czy w tych słowach nie zabrzmiał cień wahania? Tak przynajmniej wydało się prawnikowi. Podniósł się i wyciągnął dłoń.

— Do widzenia, panie Vole.

Spojrzał na wymizerowaną młodą twarz i kierowany impulsem powiedział:

— Mimo że fakty przemawiają przeciwko panu, ja wierzę w pańską niewinność. Mam nadzieję, że uda mi się tego dowieść i całkowicie oczyścić pana z zarzutów.

Vole odpowiedział uśmiechem.

— Przekona się pan wkrótce, że mam niepodważalne alibi — stwierdził pogodnie.

I tym razem Vole nie zwrócił uwagi, że prawnik nie zareagował na jego pewny ton.

— Bardzo wiele zależy od zeznań Janet Mackenzie — rzekł tylko Mayherne. — Ona pana nienawidzi. Z czym się zresztą nie kryje.

— Ależ dlaczego miałyby mnie nienawidzić! — zaprotestował młody człowiek.

Adwokat wzruszył lekko ramionami i wyszedł.

Cała sprawa bardzo go niepokoiła.

Vole mieszkał ze swoją żoną w niewielkim, brzydkim domku niedaleko Paddington Green. Tam właśnie udał się teraz pan Mayherne.

Zadzwoił i po chwili drzwi otworzyła duża i tęga kobieta, najwyraźniej posługaczka.

— Czy pani Vole już wróciła?

— Godzinę temu. Ale nie wiem, czy będzie się pan mógł z nią zobaczyć.

— Proszę jej dać mój bilet wizytowy — powiedział szybko pan Mayherne. — Ze mną zechce się zobaczyć na pewno.

Kobieta popatrzyła na niego z powątpiewaniem, wytarła ręce o fartuch, wzięła wizytówkę, po czym zamknęła mu drzwi przed nosem.

Jednakże po kilku minutach wróciła i tym razem zachowywała się nieco grzeczniej. — Proszę wejść.

Zaprowadziła go do niewielkiego saloniku. Pana Mayherne'a, przyglądającego się z zainteresowaniem obrazowi na ścianie, zaskoczył nagły widok bladej kobiecej twarzy, która znenacka się przy nim pojawiła.

— Pan Mayherne? Jest pan adwokatem mojego męża? Wraca pan od niego? Proszę, niech pan siada.

Dopiero gdy się odezwała, zrozumiał, że nie jest Angielką. Przyglądając się jej dostrzegł wystające kości policzkowe, czerń włosów tak intensywną, że wydawały się granatowe oraz charakterystyczny dla ludzi z kontynentu gwałtowny ruch dłoni. Dziwna kobieta, pomyślał, niezwykle cicha. Tak spokojna, że aż budzi niepokój. Od pierwszej chwili prawnik zdał sobie sprawę, że zetknął się z czymś, czego nie potrafi zrozumieć.

— Droga pani Vole — zaczął — nie trzeba tracić nadziei...

Zamilkł. Romaine Vole w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia osoby, która mogłaby cokolwiek stracić. Była nad wyraz opanowana.

— Proszę mi o wszystkim opowiedzieć — odezwała się. — Pan jest na pewno znakomicie poinformowany. Proszę mnie nie oszczędzać. Chcę usłyszeć najgorsze. — Zawahała się, a potem powtórzyła trochę ciszej, z dziwną emfazą, której prawnik nie potrafił zrozumieć. — Chcę znać najgorsze.

Pan Mayherne przedstawił pokrótce przebieg swojego spotkania z Leonardem Vole'em. Słuchała uważnie, od czasu do czasu kiwając głową.

— Rozumiem — powiedziała, gdy skończył. — Mam więc potwierdzić, że wrócił tamtej nocy dwadzieścia minut po dziewiątej?

— Czy naprawdę mąż wrócił o tej porze? — zapytał ostro Mayherne.

— Nie w tym rzecz — odparła chłodno. — Czy dzięki moim zeznaniom zostanie uniewinniony? Czy sąd da mi wiarę?

Pan Mayherne spojrział na nią zdumiony. Od razu dotknęła sedna sprawy.

— Chciałabym wiedzieć — dodała — czy moje zeznania wystarczą? A może potrzebny będzie ktoś, kto je potwierdzi?

W jej zachowaniu wyczuwało się dziwną intensywność i pan Mayherne poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Na razie poza panią nie mamy żadnego świadka — rzekł z ociąganiem.

— Rozumiem — szepnęła Romaine Vole.

Przez minutę czy dwie siedziała całkiem nieruchomo. Na jej ustach igrał lekki uśmiezek.

Prawnik usłyszał wewnętrzny dzwonek alarmowy.

— Pani Vole... — zaczął raz jeszcze. — Wiem, co pani czuje...

— Doprawdy? — zapytała. — Wątpię.

— W tych okolicznościach...

— W tych okolicznościach zamierzam rozegrać to po swojemu.

Spojrzał na nią skonsternowany.

— Ależ droga pani, czy nie jest pani nieco zdenerwowana? Ze względu na pani oddanie mężowi...

— Słucham?...

Ostra nuta w jej głosie zaskoczyła go. Powtórzył niepewnie:

— Ze względu na pani oddanie mężowi...

Romaine Vole skinęła powoli głową, ten sarni dziwny uśmieszek nie schodził z jej ust.

— Czy to on powiedział panu, że jestem mu oddana? — zapytała cicho. — Och, tak, z pewnością on. Mężczyźni to głupcy. Głupcy... głupcy...

Nagle zerwała się na równe nogi. Wszystkie emocje, które się dotąd w niej czaiły, eksplodowały z ogromną siłą.

— Nienawidzę go! Nienawidzę, nienawidzę! Niech go powieszą, niech zadynda na pętli i umiera.

Prawnik aż cofnął się przed błyskawicami, jakie ciskały jej oczy. Zrobiła krok w jego kierunku i mówiła dalej z zaciekłością:

— Może lepiej, żebym tego dopilnowała. Założmy, że nie potwierdzę wersji o jego powrocie tamtej nocy o godzinie dziewiątej dwadzieścia. Powiem, że wrócił dziesięć po dziesiątej. Twierdzi, że nie wiedział nic o zapisanych mu pieniądzech. A jeśli ja zeznam, że wiedział, że liczył na nie i że popełnił morderstwo, by szybciej je zdobyć? Jeśli powiem panu, że tamtej nocy po powrocie do domu przyznał się do morderstwa? Że miał krew na płaszczu? Co wtedy? Powiedzmy, że zeznam to wszystko przed sądem. I co wtedy?

Jej wzrok zdawał się rzucać wyzwanie. Z wysiłkiem, walcząc z rosnącym zmieszaniem, Mayherne starał się mówić rzeczowym tonem:

— Nikt nie może żądać, by składała pani zeznania obciążające własnego męża...

— On nie jest moim mężem!

Słowa te padły tak szybko, że przez chwilę panu Mayherne'owi wydało się, że ich nie dosłyszał.

— Przepraszam. Ja...

— On nie jest moim mężem.

Zapadła tak głęboka cisza, że dałoby się słyszeć brzęk upadającej igły.

— Byłam aktorką w Wiedniu. Mój mąż nadal żyje, ale przebywa tam w szpitalu dla umysłowo chorych. Dlatego nie mogliśmy pobrać się z Leonardem. Teraz się z tego cieszę.

Pokiwiała energicznie głową.

— Chciałabym, żeby powiedziała mi pani tylko jedno — wtrącił Mayherne. Zdołał zachować swój zwykły spokój i opanowanie. — Dlaczego z tak wielką goryczą mówi pani o Leonardzie Vole'u?

— Oczywiście, że chciałby pan to wiedzieć — uśmiechnęła się lekko. — Ale nie powiem panu. Będzie to mój sekret...

Pan Mayherne odkaszlnął sucho i podniósł się.

— Chyba nie ma powodu, by przedłużać nasze spotkanie — stwierdził. — Skontaktuję się z panią znowu po rozmowie z moim klientem.

Podeszła do niego bliżej, spojrzała mu prosto w oczy swoimi cudownymi ciemnymi oczyma.

— Proszę mi powiedzieć — odezwała się cicho — czy kiedy pan tu dziś przyszedł, wierzył pan z prawdziwym przekonaniem w niewinność Leonarda?

— Tak — potwierdził adwokat.

— Biedaczek... — roześmiała się.

— I nadal w nią wierzę — dokończył pan Mayherne. — Do widzenia pani.

Wyszedł, zabierając ze sobą wspomnienie zdziwienia jakie odmalowało się na jej pięknej twarzy.

Trafiła mi się piekielna robota — powtarzał w myślach pan Mayherne idąc ulicą.

Sprawa potoczyła się nietypowo. Ta kobieta też była nietypowa. Bardzo niebezpieczna. Kobieta potrafi stać się diabło niebezpieczna, kiedy dostanie do ręki narzędzie i zechce zrobić z niego użytek.

Co robić? Ten nieszczęśnik stracił oto ostatnią szansę, deskę ratunku, której mógłby się chwycić. Oczywiście, istnieje też możliwość, że popełnił tę zbrodnię...

— Nie — powiedział do siebie pan Mayherne. — Nie... zbyt wiele się przeciw niemu przysięgło. Nie wierzę tej kobiecie. Całą historię wyssała z palca. Ale nie opowie jej w sądzie, o nie!

Wolałby tylko być o tym bardziej przekonany.

Przesłuchanie przed koronerem trwało krótko i miało dramatyczny przebieg. Oskarżenie powołało na głównych świadków Janet Mackenzie, pokojówkę zamordowanej, oraz Romaine Heigler — Austriaczkę, konkubinę oskarżonego.

Pan Mayherne obecny na posiedzeniu przysłuchiwał się pogrążającemu jego klienta zeznaniu cudzoziemki. Nie pominęła niczego, co zasugerowała podczas wcześniejszego z nim spotkania.

Sprawa została skierowana do sądu.

Pan Mayherne nie potrafił wymyślić niczego, co pomogłoby oskarżonemu. Sprawa przeciw Leonardowi Vole'owi była tak logicznie zwarta, że nie przenikał do niej najmniejszy promyk nadziei. Nawet słynny obrońca, którego wynajęto, żeby wygłosił mowę, nie mógł niczego obiecać.

— Gdybyśmy zdołali podważyć zeznania tej Austriaczki, może udałoby się coś osiągnąć — rzekł z powątpiewaniem. — Ale na razie sprawy stoją bardzo źle.

Pan Mayherne skoncentrował całą energię na jednym tylko zagadnieniu. Zakładając, że Leonard Vole mówi prawdę i rzeczywiście opuścił dom zamordowanej o godzinie dziewiątej, kim był mężczyzna, którego rozmowę z panną French słyszała Janet o wpół do dziesiątej?

Jedyny promyczek nadziei przybrał postać nieznośnego siostrzeńca, który niegdyś pochlebstwami i groźbami próbował wyłudzić od ciotki różne sumy pieniędzy. Janet Mackenzie, jak dowiedział się prawnik, zawsze żywiła słabość do tego młodego mężczyzny i popierała jego usiłowania. Wydawało się całkiem logiczne, że to ów siostrzeniec spotkał się z panną French po wyjściu Leonarda Vole'a, zwłaszcza że potem zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Poszukiwania, które podjął pan Mayherne, prowadziły donikąd. Nikt nie widział Leonarda Vole'a wchodzącego do swojego domu, ani też opuszczającego dom panny French. Nikt nie widział również innego mężczyzny, który by wchodził do domu w Cricklewood lub z niego wychodził. Wszystkie nici dochodzenia urwały się.

Dopiero w przeddzień rozprawy pan Mayherne otrzymał list, który pchnął jego myśli w zupełnie nowym kierunku.

List nadszedł wraz z pocztą o szóstej. Nabazgrany był pośpiesznie na świstku papieru włożonym do brudnej koperty z niewłaściwym znaczkiem.

Pan Mayherne przeczytał go dwukrotnie, zanim zrozumiał, o co chodzi.

Drogi Panie,

to pan robisz za papugę dla tego młodego gacha. Jeśli chcesz, żeby ta wymalowana zagraniczna lalunia pokazała, co ona naprawdę jest i jaka z niej oszukanica, przyjdź pan dziś na Shaw's Rents Stepney pod szesnasty. Będzie cię to kosztowało dwie paczki. Pytaj o pannę Mogson.

Adwokat przeczytał powtórnie tę dziwną epistolę. Oczywiście mogło się to okazać pułapką, ale kiedy się zastanowił, nabrał głębokiego przekonania, że list jest autentyczny. Wierzył też mocno, że w

nim tkwi jedyna nadzieja dla więźnia. Zeznanie Romaine Heigler przybiło Mayherne'a kompletnie, a zatem szansa, że uda się je podważyć, wlała w niego iskierkę nadziei. Zeznanie kobiety, której można udowodnić niemoralne prowadzenie, było w najlepszym razie mało wiarygodne.

Pan Mayherne zdecydował się w jednej chwili. Jego obowiązkiem jest przecież ratować klienta, bez względu na koszt. Musi jechać do Shaw's Rents.

Miał pewne kłopoty ze znalezieniem tego miejsca, ale wreszcie mu się udało. Pod wskazanym adresem wśród śmierdzących slumsów stała rudera. Gdy zapytał o pannę Mogson, odesłano go na trzecie piętro. Zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Zapukał raz jeszcze.

Po powtórnym pukaniu dobiegły go odgłosy szurania i drzwi uchylono ostrożnie na centymetr. W szparze ukazała się zgięta postać.

— A więc przyszedłeś, kochasiu! — zaskrzypiał gderliwy głos. — Nie przyprowadziłeś chyba ze sobą nikogo? Nie szykujesz żadnych sztuczek? To dobrze. Możesz wejść.

Prawnik wkroczył z pewną obawą do ciasnego, brudnego pomieszczenia, w którym palił się gazowy grzejnik. W kącie stało nie posłane łóżko, obok obdrapany stolik i dwa krzesła na chwiejących się nogach. Pan Mayherne zobaczył też w pełnej krasie mieszkankę tej obrzydliwej nory. Była to kobieta w średnim wieku, zgarbiona, z grzywą skołtunionych siwych włosów i twarzą obwiązaną barwnym szalikiem. Kiedy zobaczyła, że jej gość przygląda się kolorowej brudnej szmacie, roześmiała się dziwnym bezdźwięcznym śmiechem.

— Zastanawiasz się, dlaczego ukrywam swoją urodę, co kochaneczku? Hę, hę, hę! Boisz się, że mogłabym cię skusić? No to zobacz mnie, zobacz.

Zerwała szalik, a pan Mayherne bezwiednie cofnął się na widok bezkształtnej czerwonej plamy. Wiedźma osłoniła się znowu szalikiem.

— Nie zechcesz mnie chyba pocałować, kochasiu? Hę, hę, nie dziwię się. A jednak kiedyś byłam ładna, i to wcale nie tak dawno, jak można by sądzić. Kwas siarkowy, przystojniaczku, kwas siarkowy tak mnie urządził. Ale ja potrafię się odwdzieczyć...

Wybuchnęła potokiem potwornych przekleństw. Pan Mayherne usiłował ją uspokoić, ale na próżno. Wreszcie umilkła, jednak jej dłonie nadal zaciskały się nerwowo.

— Dość tego! — przerwał jej wreszcie adwokat stanowczym tonem. — Przyszedłem tutaj, ponieważ uwierzyłem, że może mi pani dostarczyć informacji, które pomogą oczyścić z zarzutów mojego klienta, Leonarda Vole'a. O co więc chodzi?

Wlepiła w niego oczy jak sroka.

— A pieniążki przyniosłeś, kochasiu? — zaskrzeczała. — Dwie setki! Pamiętałeś chyba o forsie?

— Twoim obowiązkiem jest powiedzieć mi wszystko, co wiesz, bo w przeciwnym razie zostaniesz doprowadzona siłą do sądu.

— To na nic, kochaneczku! Jestem stara i do niczego się nie przyznam. Ale jeśli dasz mi dwie setki, może przypomnę sobie coś niecoś. Rozumiesz?

— Co sobie przypomnisz?

— A co byś powiedział na listy? Listy od niej. Nieważne, jak je zdobyłam, to moja sprawa. Udało się i tyle. Ale teraz dawaj dwie setki!

Pan Mayherne spojrział na czarownicę zimnym wzrokiem.

— Dam dziesięć funtów i ani grosza więcej.

— Dziesięć funtów?! — wrzasnęła.

— Dwadzieścia — poprawił się Mayherne. — To moje ostatnie słowo.

Wstał, dając do zrozumienia, że wychodzi. Nie spuszczał z wiedźmy wzroku, wyciągnął portfel i odliczył dwadzieścia funtowych banknotów.

— To wszystko co mam przy sobie — powiedział. — Możesz je wziąć albo wychodzę.

Ale już widział, że na widok pieniędzy trzęsą jej się ręce. Coś jeszcze zrzędziła i złorzeczyła, ale już podeszła do łóżka i spod zniszczonego materaca wyciągnęła zwitek papierów.

— Masz, i niech cię diabli...! — wrzasnęła. — Po to tu przyszedłeś.

Była to paczka listów. Pan Mayherne rozwiązał je i obejrzał na swój metodyczny sposób. Przyglądała mu się chciwie, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego kamiennej twarzy.

Czytał kolejno każdy list, a na końcu powrócił do tego, który leżał na wierzchu i przeczytał go powtórnie. Następnie starannie związał cały pakiet.

Były to listy miłosne pisane przez Romaine Heigler do człowieka, który nie był Leonardem Vole'em. List z wierzchu nosił datę jego aresztowania.

— A nie mówiłam? — zaskrzeczała kobiecina. — To ją załatwi, prawda? Zwłaszcza ten jeden liścik!

Pan Mayherne wsunął pakiet do kieszeni i zadał pytanie:

— W jaki sposób zdobyłaś te listy?

— Chciałbyś to wiedzieć — łypnęła na niego złośliwym okiem. — Ale ja wiem coś jeszcze. Słyszałam w sądzie, co ta zdzira mówiła. Lepiej sprawdźcie, gdzie ona była dwadzieścia po dziesiątej, kiedy to niby miała siedzieć w domu i czekać na mężulka. Zapytajcie o nią w kinie przy Lion Road. Na pewno pamiętają tam tę ślicznotkę, takiej ładnej buzi łatwo się nie zapomina, niech szcześnie!

— Kim jest adresat? — zapytał pan Mayherne. — Tutaj wymienione zostało tylko jego imię.

— To łobuz, który mnie tak urządził! — powiedziała szorstko, zaciskając nerwowo dłoń w pięść. — Stara historia. Ona mi go zabrała. Choć nie była jeszcze w pełni kobietą. Kiedy poszłam za nim, bo ja też go chciałam, cisnął we mnie tą przekłętą butelką. A ona się śmiała, niech ją piekło pochłonie! Czekałam długo, by jej odpłacić. Śledziłam ją, łąziłam za nią krok w krok. I teraz wreszcie ją mam! Zapłaci za wszystko, co mi zrobiła. Prawda, panie prawnik? Zapłaci?

— Prawdopodobnie zostanie skazana za składanie fałszywych zeznań podczas rozprawy wstępnej,, a może nawet trafi do więzienia — odparł cicho pan Mayherne.

— Niech ją zapudłują, o to mi chodzi. Idzie pan już? A gdzie moje pieniądze? Uczciwie je zarobiłam.

Pan Mayherne bez słowa położył banknoty na stole. Westchnął głęboko, odwrócił się i wyszedł z plugawej nory. Kiedy się obejrzał, ujrzał jak wiedźma zgarnia banknoty.

Nie tracił czasu. Bez kłopotu odnalazł kino przy Lion Road. Kiedy pokazał zdjęcie Romaine Heigler, bileter rozpoznał ją bez trudu. W dniu, o który pytał adwokat, zjawiła się w kinie kilka minut przed dziesiątą. Był z nią jakiś mężczyzna., na którego bileter nie zwrócił uwagi, ale tę panią zapamiętał, bo wypytywała go, jaki film pokazują tego dnia. Została na seansie do końca.

Pan Mayherne był z siebie dumny. Zeznania Romaine Heigler od początku do końca okazały się stekiem kłamstw. Wymyśliła wszystko, by dać upust nienawiści. Prawnik wątpił, czy kiedykolwiek się dowie, co wywołało w niej tak gwałtowne reakcje. Co takiego zrobił jej Leonard Vole? Kiedy relacjonował mu spotkanie z Romaine, młody człowiek słuchał wyraźnie zmieszany. Potem stwierdził, że cała sprawa jest dla niego nie do pojęcia, ale pan Mayherne zauważył, że gdy uspokoił się po wstrząsie, w jego protestach zabrakło pewności.

Wiedział zatem. O tym pan Mayherne był absolutnie przekonany. Wiedział, ale nie chciał ujawniać tajemnicy. Sprawa miała pozostać między nim a Romaine. Prawnik ciekaw był, czy kiedyś pozna ten sekret.

* * *

Pan Mayherne zerknął na zegarek. Było późno, a on nie miał czasu do stracenia. Wezwał taksówkę i podał kierowcy adres.

— Sir Charles musi się o tym dowiedzieć jak najprędzej —mruknął do siebie.

Proces Leonarda Vole'a, oskarżonego o morderstwo Emily French, stał się sensacją, o której rozprawiano w całym Londynie. Przede wszystkim dlatego, że oskarżony był młody i przystojny, a co więcej, chodziło o wyjątkowo odrażającą zbrodnię. Zainteresowanie budziła też osoba świadka koronnego, Romaine Heigler. W wielu gazetach pojawiło się jej zdjęcie, któremu towarzyszyło kilka różniących się między sobą komentarzy o jej pochodzeniu i życiu.

Sprawy formalne przeprowadzono wyjątkowo sprawnie. Najpierw przedstawiono różne dowody materialne. Następnie wezwano Janet Mackenzie. Powtórzyła właściwie tę samą historię, którą opowiedziała wcześniej. W krzyżowym ogniu pytań adwokatowi udało się doprowadzić ją do tego, że kilkakrotnie zaprzeczyła samej sobie w sprawach dotyczących rodzaju kontaktów Leonarda Vole'a z panną French. obrońca podkreślił ponadto fakt, że jeśli nawet słyszała tego wieczoru męski głos dochodzący z saloniku, to nie ma żadnego dowodu, że należał on do Leonarda Vole'a. Udało mu się też wykazać, że motywem zeznań służącej była zazdrość o oskarżonego i niechęć do niego.

Wezwano następnego świadka.

— Pani nazwisko brzmi Romaine Heigler?

— Tak.

— Jest pani Austriaczką?

— Tak.

— Przez ostatnie trzy lata mieszkała pani z oskarżonym i uchodziła za jego żonę?

Na ułamek sekundy spojrzenie Romaine Heigler spotkało się ze wzrokiem człowieka siedzącego na ławie oskarżonych. W oczach kobiety pojawiło się coś zagadkowego.

— Tak.

Padały kolejne pytania. I kolejne zarzuty. Romaine Heigler zeznała, że w wieczór popełnienia zabójstwa Leonard Vole zabrał ze sobą łom. Wrócił dwadzieścia po dziesiątej i wyznał, że zabił starszą panią. Miał poplamione krwią mankiety koszuli, więc spalił ją w piecu kuchennym. Romaine zaś pogroźkami zmusił do milczenia.

Z każdym kolejnym zdaniem atmosfera w sądzie, na początku przychylna oskarżonemu, stawała się coraz bardziej wroga. Leonard siedział ukrywszy twarz w dłoniach. Wyglądał na zrezygnowanego, jakby już zapadł wyrok skazujący.

Jednak bardziej uważny obserwator zwróciłby uwagę, że nawet prokurator wolałby, żeby Romaine mniej wyraźnie ziała nienawiścią do kochanka. Gdyby mógł, wybrałby bardziej bezstronnego

świadka.

Wreszcie nadszedł czas na obronę. Sir Charles dźwignął swe potężne ciało. Wyglądał prawdziwie imponująco.

Zarzucił Romaine, że cała jej opowieść to, historyjka od początku do końca złośliwie sfabrykowana. Że w czasie, o którym mowa, nie było jej w domu, że ma romans z innym mężczyzną i celowo próbuje obciążyć Leonarda winą za zbrodnię, której nie popełnił.

Romaine zaprzeczała, wszystkiemu, okazując całkowitą obojętność.

A wówczas obrońca wyciągnął — jak królika z kapelusza — list, który został głośno odczytany. W sądzie zapadła kompletna cisza.

Maks, kochany mój, sam los wkłada nam broń do ręki. Leonard został aresztowany za morderstwo — wyobraź sobie, za zamordowanie tej starszej damy, z którą się zaprzyjaźnił. On, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Wreszcie będę mogła się zemścić. Biedne kurczątko! Powiem, że wrócił tej nocy cały we krwi i że przyznał mi się do popełnienia zbrodni Powiesz go, Maks, a on będzie wiedział, że to Romaine wysłała go na śmierć. A potem — szczęście, ukochany. Nareszcie szczęście.

Eksperti potwierdzili autentyczność charakteru pisma Romaine Heigler, ale ich opinia nie była właściwie konieczna. Na widok listu kobieta załamała się kompletnie i przyznała do wszystkiego. Leonard Vole rzeczywiście wrócił tego wieczoru tak jak powiedział, dwadzieścia po dziewiątej. Wymyśliła całą historyjkę, żeby go pogрузić.

Po załamaniu Romaine Heigler sprawa załamała się również. Sir Charles wezwał kilku świadków, a następnie poprosił o zeznania oskarżonego, który w krzyżowym ogniu pytań opowiedział całą historię prawdziwie po męsku, niewzruszony.

Prokurator usiłował podtrzymać swój punkt widzenia, ale bez sukcesu. Podsumowanie sędziego nie było wprawdzie w pełni korzystne dla oskarżonego, jednak nastrój stał się mu przychylny, a ustalenie wyroku nie zabrało ławie przysięgłych zbyt wiele czasu.

— Uznaliśmy, że oskarżony jest niewinny.

Leonard Vole był wolny.

Uszczęśliwiony pan Mayherne czekał z niecierpliwością, kiedy będzie mógł pogratulować swemu klientowi.

Zaczął energicznie przecierać swoje pince-nez. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, uśmiechnął się do siebie. Żona powiedziała mu nie dalej jak poprzedniego wieczoru, że przecieranie binokli wchodzi mu już w nawyk. Śmieszna historia z tymi nawykami. Ludzie tak dziwne rzeczy

potrafią bezwiednie wykonywać.

Interesująca sprawa, bardzo interesująca — myślał pan Mayherne. No i ta kobieta, Romaine Heigler.

Nagle wydała mu się najważniejszą osobą w całej sprawie. Jest w niej coś egzotycznego. Kiedy zobaczył ją w domu przy Paddington, wydawała mu się blada i cicha, ale w sądzie zmieniła się nie do poznania. W surowym gmachu sądu jej oskarżenie brzmiało płomiennie, było niczym ognisty kwiat rzucony przed oblicze sędziów.

Gdyby zamknął oczy, mógłby ją teraz zobaczyć: wysoka i gwałtowna, z ciałem nieco pochylonym, przez cały czas nieświadomie zaciskająca prawą dłoń. Ciekawa sprawa z tymi gestami. Przypuszczał, że zaciskanie dłoni weszło jej w nawyk. A przecież całkiem niedawno widział kogoś, kto robił to bardzo podobnie... Zaraz, zaraz, kto to był? Całkiem niedawno... W chwili gdy to sobie uświadomił, aż zachłysnął się z wrażenia. Ta wiedźma z Shaw's Rents...

Stał jak wbity w ziemię, w głowie mu szumiało. To niemożliwe... niemożliwe. A jednak! Przecież Romaine Heigler Jest aktorką...

Obrońca zaszedł go od tyłu i klepnął w ramię.

— Gratulowałeś już naszemu klientowi? Wyrwał się spod stryczka. Chodźmy do niego.

Prawnik odtrącił dłoń kolegi.

Pragnął tylko jednego — spojrzeć w twarz Romaine Heigler. Ale spotkał ją znacznie później, w miejscu, które nie ma znaczenia.

— A więc odgadł pan — stwierdziła, kiedy powiedział do jakich doszedł wniosków. — Twarz? O, to bardzo łatwe. Zwłaszcza przy gazowym świetle charakteryzacja nie jest dobrze widoczna.

— Ale dlaczego?...

— Dlaczego rozegrałam to po swojemu? — Uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie, że już raz użyła przy nim tego określenia.

— Tak skomplikowana intryga!

— Przecież chodziło o mojego przyjaciela, musiałam go ratować. Zeznania, kobiety oddanej nic by nie wniosły, sam pan dał mi to do zrozumienia. Wiem coś niecoś o psychologii tłumu. Jeśli alibi zostanie wymuszone, zwłaszcza w formie przyznania się do winy, w upokorzeniu, wtedy od razu nastawienie do oskarżonego zmienia się na pozytywne.

— A listy?

— Powiedzmy, że ten najważniejszy został umyślnie na tę okazję spreparowany.

— W takim razie mężczyzna, imieniem Maks...

— Nigdy nie istniał, drogi przyjacielu.

— Nadal obstaję przy twierdzeniu — powiedział ponuro pan Mayherne — że mogliśmy pani ukochanego wyciągnąć stosując normalną procedurę.

— Bałam się ryzyka. Pan myślał, że on jest niewinny, a...

— A pani była o tym przekonana, czy tak? — podsunął pan Mayherne.

— Drogi panie — odparła Romaine — nic pan nie rozumie. Ja wiedziałam, że on jest winny.

Tłum. Dorota Malinowska.

Ogar śmierci

I

Po raz pierwszy usłyszałem o tej sprawie od Williama P. Ryana, korespondenta pewnej amerykańskiej gazety. Jadłem wraz z nim obiad w Londynie w przededniu jego powrotu do Nowego Jorku i przypadkiem wspomniałem, że wybieram się nazajutrz rano do Folbridge.

— Folbridge w Kornwalii? — spytał, podnosząc wzrok.

Tylko jedna osoba na tysiąc, albo i na milion, wie, że istnieje jakieś Folbridge w Kornwalii. Wszyscy zawsze przyjmują za rzecz oczywistą, że chodzi o Folbridge w hrabstwie Hampshire. Wiedza, jaką wykazał Ryan pobudziła więc moją ciekawość.

— Tak — odparłem. — Znasz to miejsce?

Zamiast odpowiedzi zaklął cicho, po czym spytał, czy przypadkiem nie znam tam domu o nazwie Treame. Moje zainteresowanie wzrosło.

— Znam, nawet bardzo dobrze. Jadę właśnie do Trearne. To dom mojej siostry.

— Coś takiego? — zdziwił się William P. Ryan. — To nadzwyczajne!

Zaproponowałem, by przestał robić tajemnicze uwagi i wyjaśnił, o co mu chodzi.

— No cóż — odparł. — Aby to uczynić będę musiał cofnąć się do pewnego mojego przeżycia z początków wojny.

Westchnąłem. Wydarzenia, które tu relacjonuję, miały miejsce w 1921 roku. Wspominanie wojny to ostatnia rzecz; na jaką ktokolwiek miałby ochotę. Zaczynaliśmy już, dzięki Bogu, zapominać... Poza tym wiedziałem, że William P. Ryan potrafi rozprawiać o swoich przeżyciach wojennych w sposób niewiarygodnie rozwlekły.

Ale teraz nic już nie mogło go powstrzymać.

— Na początku wojny, jak zapewne wiesz, moja gazeta wysłała mnie do Belgii, toteż miałem okazję pokręcić się trochę po tym kraju. Jest tam pewne małe miasteczko, które nazwę X. Dziura zabita deskami, ale znajduje się tam spory klasztor. Siostry w białych... jak to się nazywa... nie znam nazwy tego zakonu. Zresztą nie ma to znaczenia. No więc, to małe miasteczko leżało na drodze natarcia Niemców. Zjawiała się kawaleria...

Poruszyłem się niespokojnie. William P. Ryan uspokajająco uniósł rękę.

— No, już dobrze, dobrze — powiedział. — To nie jest opowieść o niemieckim okrucieństwie. Mogłaby nią być, ale nie jest. W istocie było wręcz odwrotnie. Szwaby natarły na ten klasztor... dostały się do środka i wszystko wyleciało w powietrze.

— Och! — zawołałem wstrząśnięty.

— Dziwna sprawa, czyż nie? Oczywiście, na pierwszy rzut oka można by sądzić, że Niemcy świętowali zwycięstwo i zaczęli coś majstrować przy swoich materiałach wybuchowych. Ale wszystko wskazuje na to, że wcale ich ze sobą nie mieli. Nie byli specjalistami od dynamitu. Nie mogę natomiast zrozumieć, jakim cudem zakonnice mogły znać się na materiałach wybuchowych. Pomyśl tylko... siostry zakonne!

— To rzeczywiście dziwne — przyznałem.

— Zacząłem wypytywać o tę sprawę miejscowych wieśniaków. Dla nich wszystko było jasne i zrozumiałe. Ich zdaniem? był to stuprocentowo skuteczny, nowoczesny cud. Podobno jedna z tych sióstr zapowiadała się na przyszłą świętą... wpadała w trans i miewała wizje. Według opinii tych chłopów, to ona właśnie dokonała tej sztuczki. Ściągnęła piorun, żeby uderzył w bezbożnego Szwaba... I uderzył, i doszczętnie zniszczył jego... oraz wszystko, co znajdowało się w polu rażenia. Bardzo skuteczny cud!

W rzeczywistości nigdy nie poznałem prawdy... nie miałem czasu. Ale wówczas cuda były ostatnim krzykiem mody... aniołowie w Mons i tak dalej. Opisałem to wszystko, dorzuciłem nieco wzruszających szczegółów, podlałem religijnym sosem i wysłałem artykuł do mojej gazety. W Stanach przyjęto go bardzo dobrze. Wtedy podobały im się tego rodzaju kawałki.

Ale... jak się zapewne domyślasz... w trakcie pisania cała ta historia bardzo mnie zainteresowała. Chciałem dowiedzieć się, co tam naprawdę zaszło. Na miejscu nie było już nic do oglądania. Pozostały tylko dwie ściany; na jednej z nich widać było czarny ślad przypominający kształtem olbrzymiego psa.

Okoliczni wieśniacy śmiertelnie lękali się tego znaku. Nazwali go Ogarem Śmierci i po zmroku bali się tamtędy chodzić.

Wszelkie ludowe wierzenia są zawsze interesujące. Więc zapragnąłem zobaczyć damę, która dokonała tej sztuczki. Okazało się, że nie zginęła. Wyjechała z grupą innych uchodźców do Anglii. Zadałem sobie sporo trudu, by ją odszukać. Dowiedziałem się, że wysłano ją do Trearne w Folbridge, w Kornwalii.

Kiwnąłem głową.

— Na początku wojny moja siostra udzieliła schronienia uciekinierom z Belgii. Było ich około dwudziestu.

— Postanowiłem odnaleźć tę kobietę, jeśli tylko pozwoli mi na to czas. Chciałem usłyszeć jej relację o katastrofie. Ale potem byłem zajęty, miałem do załatwienia to i owo, i cała sprawa wyleciała mi z głowy. A poza tym do Kornwalii jest daleko. Prawdę mówiąc, zapomniałem już o tym wszystkim i dopiero teraz, kiedy wspomniawszy o Folbridge cała historia ożyła w mojej pamięci.

— Muszę spytać siostrę — powiedziałem. — Być może o tym słyszała. Wszyscy Belgowie zostali

już, oczywiście dawno repatriowani.

— Jasne. Tak czy owak, gdyby twoja siostra cokolwiek ten temat wiedziała, będę ci wdzięczny, Jeśli przekażesz mi informacje.

— Możesz na mnie liczyć — zapewniłem gorliwie.

I na tym się skończyło.

Następnego dnia po przyjeździe do Trearne przypomniałem sobie opowieść mego przyjaciela. Siedzieliśmy z siostrą ni tarasie przy podwieczorku.

— Kitty — spytałem — czy wśród twoich Belgów nie było przypadkiem jakiejś zakonnicy?

— Nie masz chyba na myśli siostry Marie Angelique?

— Możliwe, że to właśnie o nią mi chodzi — powiedziałem ostrożnie. — Opowiedz mi o niej.

— Och, mój drogi, cóż to za niezwykle stworzenie. A wiesz, że ona nadal tu przebywa.

— Jak to? W tym domu?

— Ależ nie. W miasteczku. Doktor Rosw... pamiętasz doktora Rose?

Skinąłem głową.

— Przypominam sobie starego człowieka w wieku około osiemdziesięciu trzech lat.

— To doktor Laird. Ach! On zmarł. Doktor Rose mieszka tu zaledwie od kilku lat. Jest dość młody i uwielbia różne eksperymenty. Wykazał ogromne zainteresowanie siostrą

Angelique. Ona miewa halucynacje i temu podobne, wiesz, niewątpliwie z medycznego punktu widzenia jest szalenie ciekawym przypadkiem. Biedactwo, nie miała gdzie się podziać... według mnie rzeczywiście jest stuknięta... ale bardzo sugestywna, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... no więc, jak już powiedziałam, nie miała dokąd pójść i doktor Rose bardzo uprzejmie urządził ją w miasteczku. O ile wiem, pisze o niej monografię, czy coś w tym rodzaju. Nie mam pojęcia, co pisują lekarze.

Przerwała, a potem dodała:

— A co ty o niej wiesz?

— Słyszałem dość zadziwiającą opowieść. Zrelacjonowałem jej historię, którą przekazał mi Ryan.

Kitty wykazała niezwykle zainteresowanie.

— Ona wygląda na osobę, która może człowieka wysadzić w powietrze... jeśli rozumiesz, co mam na myśli — oznajmiła.

— Uważam — oświadczyłem z rosnącą ciekawością — że powinienem odwiedzić tę młodą kobietę.

— Zrób to. Chciałabym usłyszeć, co o niej sędzisz. Najpierw jednak udaj się do doktora Rose. Może przespacerowałbyś się do miasteczka po podwieczorku?

Przystąpiłem na jej propozycję.

Zastałem doktora Rose w domu i przedstawiłem mu się. Był to młody człowiek o miłej powierzchowności, a jednak miał w sobie coś odpychającego. Jego osobowość była zbyt silna, by mógł budzić sympatię.

Kiedy tylko wspomniałem o siostrze Marie Angelique, zamienił się w słuch. Okazywał żywe zainteresowanie. Przekazałem mu relację Ryana o całej sprawie.

— Ach! — rzekł z zadumą. — To wiele wyjaśnia. Spojrzał na mnie przenikliwie i ciągnął dalej.

— To naprawdę wyjątkowo interesujący przypadek. Ta kobieta przyjechała tu najwyraźniej po przebyciu jakiegoś poważnego wstrząsu psychicznego. Znajdowała się również w stanie silnego podniecenia nerwowego. Miewała halucynacje o nader zaskakującym charakterze. To niezwykła osobowość. Może zechciałby pan udać się ze mną i złożyć jej wizytę. Naprawdę warto ją poznać.

Chętnie na to przystąpiłem.

Wyruszyliśmy razem. Naszym celem był niewielki, położony na skraju miasteczka domek. Folbridge jest niezwykle malowniczym miejscem. Leży przy ujściu rzeki Fol; większa część miasteczka znajduje się na wschodnim jej brzegu, gdyż zachodni jest zbyt stromy do zabudowy, ale kilka domków trzyma się urwistej ściany. Mała willa doktora, położona po stronie zachodniej, była przyczepiona do krawędzi urwiska. Z jej okien widziało się ogromne fale uderzające o czarne skały.

Niewielki domek, do którego zmierzaliśmy, leżał w głębi lądu i z jego okien nie było widać morza.

— Mieszka tu rejonowa pielęgniarka — wyjaśnił doktor Rose. — Postarałem się, by wzięła siostrę Marie Angelique do siebie. I dobrze się stało, ponieważ powinna ona znajdować się pod stałym fachowym nadzorem.

— Czy zachowuje się całkiem normalnie? — spytałem z ciekawością.

— Za chwilę sam pan to oceni — odparł z uśmiechem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, pielęgniarka rejonowa, przyjemna niska i krępa kobieta, wsiadała właśnie na rower.

— Dobry wieczór, siostrze, jak się miewa pani pacjentka? — zawołał doktor.

— Bez zmian, doktorze. Cały czas siedzi ze splecionymi rękami, a myślami błądzi gdzieś bardzo daleko. Często, kiedy coś do niej mówię, nie odpowiada, choć prawdę rzekłszy, do tej pory niewiele rozumie po angielsku.

Rose kiwnął głową, a kiedy pielęgniarka odjechała, podszedł do drzwi domku, energicznie zapukał i wszedł do środka.

Siostra Marie Angeliqe leżała na szezlongu, ustawionym przy oknie. Kiedy weszliśmy, odwróciła głowę.

W jej dziwnej, bladej, niemal przezroczystej twarzy błyszczały ogromne oczy. Odbijała się w nich jakaś niezgłębiona tragedia.

— Dobry wieczór, siostró — powiedział doktor Rose po francusku.

— Dobry wieczór *Monsieur le docteur*.

— Pozwoli siostra, że przedstawię jej mego przyjaciela, pana Anstruthera.

Ukloniłem się, a ona skinęła głową z lekkim uśmiechem.

— Jak się siostra dziś czuje? — spytał doktor, siadając obok niej.

— Tak jak zwykle. — Po chwili milczenia ciągnęła dalej. — Wydaje mi się, że wszystko jest nierealne. Mijają dni, miesiące, a może lata... sama nie wiem. Realne wydają mi się jedynie moje sny.

— Więc nadal siostra miewa sny?

— Ciągle... ciągle... i czy może pan to pojąć?... sny wydają mi się bardziej realne niż życie.

— Czy śni siostra o swoim kraju... o Belgii? Zaprzeczyła potrząsając głową.

— Nie. Śni mi się kraj, który nigdy nie istniał... nigdy. Ale przecież pan o tym wie, *Monsieur le docteur*. Mówiłam to panu wiele razy. — Przerwała i nagle dodała: — A może ten dżentelmen jest również lekarzem... może lekarzem od chorób mózgu?

— Ach, nie — uspokoił ją Rose, a kiedy się uśmiechnął zauważyłem jego niezwykle ostre kły i przyszło mi do głowy, że ma w sobie coś z wilka.

— Sądziłem — ciągnął doktor — że zainteresuje siostrę spotkanie z panem Anstrutherem. On wie coś o Belgii. Opowiadano mu niedawno o waszym klasztorze.

Zwróciła oczy w moją stronę. Na jej policzkach pojawił się ledwie widoczny rumieniec.

— To nic szczególnego — wyjaśniłem pospiesznie. — Pewnego wieczora jadłem obiad z przyjacielem, który opisał mi ściany zburzonego klasztoru.

— A więc został zburzony!

Był to cichy okrzyk, skierowany raczej w głąb siebie niż do nas. Potem spoglądając na mnie, spytała niepewnie:

— Proszę mi powiedzieć, *Monsieur*, czy pański przyjaciel opowiedział jak... w jaki sposób...

został zburzony?

— Został wysadzony w powietrze — odparłem, i dodałem: — Wieśniacy boją się przechodzić tamtędy w nocy.

— Dlaczego się boją?

— Z powodu czarnego znaku na zburzonej ścianie. Czują przed nim zabobonny lęk.

Pochyliła się do przodu.

— Proszę mi powiedzieć, *Monsieur*... szybko... zaraz... proszę mi powiedzieć! Jak wygląda ten znak?

— Przypomina ogromnego psa — odparłem. — Wieśniacy nazywają go Ogarem Śmierci.

— Ach!

Z jej ust wydarł się przenikliwy okrzyk.

— A więc to prawda... to prawda. Wszystko, co pamiętam jest prawdą. To nie jest żaden nocny koszmar. To się wydarzyło! To się wydarzyło!

— Co się wydarzyło, siostrze? — spytał cicho doktor. Odwróciła się do niego z przejęciem.

— Przypomniałam sobie. Tam na stopniach, przypominałam sobie. Przypomniałam sobie, jak to było. Wykorzystałam moc, którą posługiwałyśmy się już wcześniej. Stałam na stopniach ołtarza i zakazałam im podchodzić bliżej. Prosiłam, żeby odeszli w pokoju. Nie posłuchali, wciąż się zbliżali, choć ich ostrzegałam. Więc... — Pochyliła się do przodu i wykonała dziwny ruch ręką. — Więc wypuściłam na nich Ogara Śmierci.

Zamknęła oczy i drżąc na całym ciele opadła na oparcie szeslonga.

Doktor wstał, wyjął z kredensu szklanekę, napełnił ją do połowy wodą, dolał parę kropli jakiegoś płynu z małej buteleczki, którą wyciągnął z kieszeni, po czym podał szklanekę siostrze.

— Proszę to wypić — rzekł stanowczo.

Wypiła... chyba bezwiednie. Patrzyła daleko w przestrzeń, jakby kontemplując jakąś własną wewnętrzną wizję.

— Więc to wszystko prawda — powiedziała. — Wszystko. Miasto Kręków, Lud Kryształu... wszystko. To wszystko prawda.

— Na to wygląda — odparł Rose.

Mówił cichym i łagodnym głosem, najwyraźniej nie chcąc zakłócić toku jej myśli.

— Niech mi siostra opowie o tym Mieście — poprosił. — O Mieście Kręgów... chyba tak je siostra nazwała?

— Tak... — odparła mechanicznie, jakby z roztargnieniem. — Były tam trzy kręgi. Pierwszy dla wybranych, drugi dla kapłanek, a zewnętrzny dla kapłanów.

— A co znajdowało się w środku?

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a w jej głosie pojawił się nieopisany lęk.

— Dom z Kryszta...

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, dotknęła prawą dłonią czoła i nakreśliła na nim palcem jakąś figurę geometryczną.

Zesztywniała, przymknęła oczy i zaczęła się lekko kołysać... a potem wyprostowała się nagle, jakby gwałtownie zbudzona ze snu.

— Co się dzieje? — spytała na wpół przytomnie. — Co ja mówiłam?

— Nic takiego — odparł Rose. — Siostra jest zmęczona. Potrzebuje odpoczynku. Zaraz sobie pójdziemy.

Kiedy wychodziliśmy robiła wrażenie nieco oszołomionej.

— A więc — zaczął Rose, gdy znaleźliśmy się już na zewnątrz. — Co pan o tym wszystkim sądzi?

Patrzył na mnie przenikliwie.

— Sądzę, że wszystko pomieszało jej się w głowie — rzekłem z namysłem.

— Tak pan uważa?

— Nie... prawdę powiedziawszy, była... dziwnie przekonująca. Słuchając jej odniosłem wrażenie, że rzeczywiście zrobiła to, o czym mówiła... że dokonała swoistego gigantycznego cudu. Ona sama zdaje się święcie w to wierzyć. Dlatego właśnie...

— Dlatego właśnie uważa pan, że pomieszało jej się w głowie. Być może. Ale spójrzmy na sprawę z innego punktu widzenia. Przypuśćmy, że rzeczywiście dokonała tego cudu... przypuśćmy, że osobiście zniszczyła budynek i uśmierciła kilkaset osób.

— Samym wysiłkiem woli? — spytałem z ironią.

— Nie stawiałbym tak sprawy. Przyzna pan, że jeden człowiek może zniszczyć wiele osób, naciskając zapalnik całego systemu min.

— No tak, ale odbywa się to mechanicznie.

— Owszem, ma to charakter mechaniczny, choć w gruncie rzeczy polega na uruchomieniu i ujarzmieniu sił natury. Burza z piorunami i elektrownia niczym się od siebie w zasadzie nie różnią.

— Tak, ale żeby wpłynąć na przebieg burzy, musielibyśmy posłużyć się środkami mechanicznymi.

Rose uśmiechnął się.

— Zmienię teraz temat. Istnieje pewna substancja wydobywana z roślin wrzosowatych. Można ją również wytworzyć w laboratorium drogą syntezy chemicznej.

— I co z tego?

— Chodzi mi o to, że często istnieją dwa sposoby osiągnięcia tego samego wyniku. Co do nas, posługujemy się syntezą. Ale może istnieć inny sposób. Nie da się, na przykład, łatwo wytłumaczyć niezwykle efektów osiągniętych przez hinduskich fakirów. Zjawiska, które nazywamy nadnaturalnymi, mają w istocie charakter naturalny, ale my nie zgłębiliśmy jeszcze rządzących nimi praw.

— Co pan ma na myśli? — spytałem zafascynowany.

— Nie wykluczam możliwości, że ludzka istota może opanować jakąś kolosalną siłę niszczycielską i wykorzystać ją dla własnych celów. Środki, za pomocą których to osiągnęła, mogą wydawać się nam nadnaturalne... choć w rzeczywistości zgodne są z prawami natury.

Spojrzałem na niego w osłupieniu, a on wybuchnął śmiechem.

— To tylko spekulacje myślowe — powiedział nonszalancko. — Proszę mi powiedzieć, czy zauważył pan gest, jaki wykonała wspominając Dom z Kryształu?

— Dotknęła dłonią czoła.

— No właśnie. I zakreśliła na nim koło. Katolicy w podobny sposób czynią znak krzyża. A teraz panie Anstruther powiem panu coś interesującego. Ponieważ słowo kryształ pojawiało się często w chaotycznych wypowiedziach siostry Marie Angelique, przeprowadziłem pewien eksperyment. Pożyczyłem kryształową kulę i pewnego dnia niespodziewanie pokazałem ją mojej pacjentce, chcąc zbadać jej reakcję na ten przedmiot.

— No i co?

— Otóż, rezultat okazał się zaskakujący i sugestywny. Całe jej ciało zeszywniało. Patrzyła na kryształ, jakby nie była w stanie uwierzyć własnym oczom. Potem osunęła się przed nim na kolana, wyszeptała kilka słów... i zemdląca.

— Co to były za słowa?

— Bardzo dziwne. Powiedziała: „Kryształ? A zatem Wiara nadal żyje!”

— Niesamowite!

— I sugestywne, czyż nie? I jeszcze jedna dziwna sprawa. Kiedy wróciła do przytomności, zupełnie nie pamiętała o całym wydarzeniu. Pokazałem jej kryształ i spytałem, czy wie, co to jest. Odparła, że przypuszczalnie jest to kryształowa kula, jakiej używają wróżki. Zapytałem, czy kiedykolwiek widziała taką kulę. Odpowiedziała: „Nie, nigdy, *Monsieur le docteur*”. Ale dostrzegłem w jej oczach dezorientację, więc spytałem: „Co siostrę gnębi?” A ona odparła: „To bardzo dziwne. Nigdy przedtem nie widziałam kryształowej kuli, a mimo to... wydaje mi się, że oglądałam ją wielokrotnie. Jest coś... och, gdybym tylko mogła sobie przypomnieć...” Wysilek pamięci tak bardzo ją wyczerpał, że zabroniłem jej o tym myśleć. To było dwa tygodnie temu. Celowo czekałem na właściwy moment. Jutro przystąpię do kolejnego eksperymentu.

— Z kryształową kulą?

— Tak, z kryształową kulą. Poproszę siostrę, by zaczęła się w nią intensywnie wpatrywać. Sądzę, że rezultat powinien okazać się interesujący.

— Co spodziewa się pan osiągnąć? — spytałem zaciekawiony.

Moje zdawkowe pytanie przyniosło nieoczekiwany efekt. Rose zeszywniał, poczerwieniał i wyraźnie zmienił sposób bycia. Zaczął mówić sformalizowanym językiem profesjonalisty.

— Chcę wyjaśnić istotę pewnych zaburzeń umysłowych dotychczas nie do końca zrozumiałych. Siostra Marie Angelique jest niezwykle ciekawym obiektem badań.

Zacząłem powątpiewać, czy jego zainteresowanie ma charakter czysto profesjonalny.

— Czy pozwoli pan, że wezmę udział w tym eksperymencie? — spytałem.

— Oczywiście, nie widzę przeszkód — odparł po chwili wahania, podczas której wyczułem intuicyjnie, że perspektywa mojej obecności wcale go nie zachwyca. I dodał: — Przypuszczam, że nie zabawi pan długo w naszym miasteczku?

— Wyjeżdżam za dwa dni.

Odpowiedź ta chyba go zadowoliła. Rozchmurzył się i zaczął mówić o jakichś doświadczeniach, przeprowadzonych ostatnio na świnkach morskich.

Zgodnie z umową spotkaliśmy się z doktorem nazajutrz po południu i obaj poszliśmy do siostry Marie Angelique. Tym razem doktor był nad wyraz towarzyski. Pomyślałem, że chce zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie wywarł na mnie poprzedniego dnia.

— Nie powinien pan traktować zbyt poważnie tego, co wczoraj powiedziałem — zauważył ze śmiechem. — Nie chciałbym, aby uważał mnie pan za niedouczonego zwolennika nauk okultystycznych. Najgorsze we mnie jest to, że mam piekielną słabość do analizowania ciekawych przypadków.

— Doprawdy?

— Owszem. Im bardziej są one niewiarygodne, tym bardziej mnie intrygują.

Roześmiał się jak człowiek szydzący z własnej niewinnej słabostki.

Gdy przybyliśmy do domku, pielęgniarka rejonowa chciała przekonsultować coś z doktorem Rose, więc zostałem sam na sam z siostrą Marie Angelique.

Zauważyłem, że przygląda mi się badawczo.

— Pielęgniarka mówi, że jest pan bratem tej miłej pani z wielkiego domu, do którego przywieziono mnie po moim przyjeździe z Belgii, czy tak? — spytała po chwili.

— Tak — odparłem.

— Była dla mnie bardzo życzliwa. To dobra kobieta. Zamilkła, jakby podążając za tokiem swych myśli, a potem spytała:

— *Czy Monsieur le docteur* też jest dobrym człowiekiem?

Poczułem się nieco zakłopotany.

— Ależ tak. To znaczy... tak sądzę.

— Aha! — Urwała, a potem powiedziała: — Niewątpliwie był dla mnie bardzo życzliwy.

— Jestem tego pewien. Przyjrzała mi się uważnie.

— *Monsieur...* czy... czy rozmawiając teraz ze mną... sądzi pan, że jestem obłąkana?

— Ależ siostro, nigdy by mi to nie przyszło na... Powoli potrząsnęła głową, ucinając mój protest.

— Czy jestem obłąkana? Sama nie wiem... Są rzeczy, które pamiętam... są rzeczy, które

zapominam...

Westchnęła i w tym właśnie momencie do pokoju wszedł Rose.

Przywitał ją wylewnie i wyjaśnił, czego od niej oczekuje.

— Otóż, niektórzy ludzie mają dar dostrzegania pewnych zjawisk w kryształowej kuli. Mam wrażenie, że i siostra taki dar posiada.

Wydała się zaniepokojona.

— Nie, nie, nie mogę tego zrobić. Próby przepowiadania przyszłości... to grzech.

Rose poczuł się zbity z tropu. Nie przypuszczał, że zakonnica przyjmie taki punkt widzenia. Zrezygnacyjnie zmienił taktykę.

— Nie należy patrzeć w przyszłość. Ma siostra zupełną rację. Ale patrzenie w przeszłość... to co innego.

— W przeszłość?

— Owszem... przeszłość kryje wiele dziwnych rzeczy. W przebłyskach powracają do człowieka... widać je przez chwilę... po czym znów znikają. Niech siostra nie stara się dojrzeć w kuli niczego, czego nie wolno jej oglądać. Proszę po prostu wziąć ją w ręce... Właśnie tak. Spojrzeć w nią... zajrzeć w głąb... Tak... głębiej... jeszcze głębiej. Czy przypomina sobie siostra? Chyba tak. Słyszysz siostra, co do niej mówię i może odpowiadać na moje pytania. Czy siostra mnie słyszy?

Siostra Marie Angelique z niezwykłą czcią wzięła do rąk kryształową kulę i zaczęła się w nią wpatrywać. Oczy jej straciły wyraz, jakby nagle przestała cokolwiek widzieć, a głowa osunęła się na piersi. Wydawało się, że zapadła w sen.

Doktor delikatnie wyjął kryształ z jej rąk i położył go na stole. Uniósł jej powiekę. Potem usiadł obok mnie.

— Musimy poczekać aż się obudzi. Sądzę, że nie potrwa to długo.

Miał rację. Po upływie pięciu minut siostra Marie Angelique poruszyła się. Powoli, jak w półśnie, otworzyła oczy.

— Gdzie jestem?

— Tu... w domu. Trochę się siostra zdrzemnęła. Miała siostra sen, prawda?

Przytaknęła ruchem głowy.

— Owszem, miałam sen.

— Czy śniła się siostrze Kryształowa Kula?

— Tak.

— Proszę nam o tym opowiedzieć.

— Uzna mnie pan za obłąkaną, *Monsieur le docteur*. Bo widzi pan, w moim śnie Kryształ był świętym symbolem. Wyobraziłam sobie nawet drugiego Chrystusa, Nauczyciela Kryształu, który umarł za swą wiarę, a jego uczniowie byli prześladowani... ścigani... Ale wiara przetrwała. Tak... przez piętnaście tysięcy pełnych księżyców... to znaczy, przez piętnaście tysięcy lat.

— Jak długo trwał pełny księżyc?

— Trzydzieści zwykłych księżyców. Tak, to wydarzyło się podczas piętnastotysięcznego pełnego księżyca... oczywiście, ja byłam Kapłanką Piątego Znak w Domu z Kryształu. To było w pierwszych dniach nastania Szóstego Znak...

Ściągnęła brwi, a przez jej twarz przemknął grymas lęku.

— Zbyt wcześnie — wymamrotała. — Zbyt wcześnie. To błąd... Ach tak! Przypominam sobie! Szósty Znak...

Próbowała zerwać się na równe nogi, ale ponownie opadła na krzesło i przesuwając dłonią po twarzy powiedziała:

— Ale co ja mówię? Chyba majaczę. To się nigdy nie wydarzyło.

— Dobrze, już dobrze. Proszę się tym nie martwić. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym bolesnej zadumy.

— *Monsieur le docteur*, nie rozumiem tego. Dlaczego miewam te sny... te senne urojenia? Miałam zaledwie szesnaście lat, kiedy rozpoczęłam życie zakonnicy. Nigdy nie podróżowałam. A mimo to śnią mi się miasta, obcy ludzie, dziwne obyczaje. Dlaczego? — Oburącz ścisnęła głowę.

— Czy była siostra kiedykolwiek poddana hipnozie? Albo wpadła w trans?

— Nie, nigdy nie poddawano mnie hipnozie, *Monsieur le docteur*. A co do tej drugiej sprawy, to... kiedy modliłam się w kaplicy, mój duch często ulatywał z mojego ciała i przez wiele godzin byłam jak nieżywa. Matka Przełożona mówiła, że jest to niewątpliwie stan błogosławieństwa, stan łaski. Ach tak! — Wstrzymała oddech. — Pamiętam, że my też nazywałyśmy to stanem łaski.

— Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment, droga siostrze. — Oświadczył rzeczowo Rose. — Może on rozwiązać te bolesne, wrywkowe wspomnienia. Proszę raz jeszcze spojrzeć w kryształ. Kiedy powiem jakieś słowo, proszę odpowiedzieć mi innym. Będziemy to kontynuować dopóki siostra się nie zmęczy. Proszę skoncentrować swe myśli na kryształach, a nie na tych słowach.

Kiedy ponownie rozpakowałam kulę i wręczyłam ją siostrze Marie Angelique, zauważyłem, że

dotyka jej z wielką czcią. Kryształ leżał na czarnym aksamicie pomiędzy jej smukłymi dłońmi. Wpatrywała się w kulę swymi dużymi, wyrazistymi oczami. Nastąpiła krótka cisza, a potem doktor powiedział:

— Ogar.

— Śmierć — odpowiedziała natychmiast siostra Marie Angélique.

Nie zamierzam relacjonować tu szczegółowo całego eksperymentu. Doktor rozmyślnie wprowadzał wiele nieistotnych i nie mających znaczenia słów. Inne natomiast powtarzał kilkakrotnie, czasami otrzymując na nie identyczną odpowiedź, a czasem odmienną.

Tego wieczora w małej willi doktora nad urwiskiem omawialiśmy wyniki doświadczenia.

Doktor odchrząknął i przysunął do siebie swój notatnik.

— Rezultaty są i bardzo interesujące... i bardzo dziwne. Wymawiając słowa „Szósty Znak” otrzymywałem różne odpowiedzi: Zagłada, Purpura, Ogar, Moc, a potem ponownie Zagłada i w końcu Moc. Później, jak pan zapewne zauważył, odwróciłem tę metodę, osiągając następujące wyniki. Odpowiedzią na słowo Zagłada było słowo Ogar; na Purpura — Moc; na Ogar — ponownie Śmierć, a na Moc — Ogar. To jeszcze jest spójne, ale przy kolejnym powtórzeniu słowa Zagłada usłyszałem słowo Morze, które wydaje się zupełnie oderwane od kontekstu. Na słowa „Piąty Znak” uzyskałem odpowiedzi: Błękit, Myśli, Ptak, znowu Błękit, i w końcu dość sugestywne zdanie: Otwarcie umysłu na umysł. Z faktu, że „Czwarty Znak” wywołał słowo Żółty, a następnie Światło, a „Pierwszy Znak” — Krew, wnioskuję, iż każdemu Znakowi przypisany jest określony kolor i być może jakiś specjalny symbol. W przypadku Piątego Znak jest to ptak, a Szóstego — ogar. Przypuszczam jednak, że „Piąty Znak” przedstawia to, co jest powszechnie znane jako telepatia — otwarcie umysłu na umysł. „Szósty Znak” niewątpliwie oznacza Moc Niszczycielską.

~ A jaki wobec tego jest sens słowa Morze?

— Przyznam, że nie potrafię tego wyjaśnić. To słowo prowadziłem później i otrzymałem typową odpowiedź: Statek. Na słowa „Siódmy Znak” siostra odpowiedziała najpierw Życie, a za drugim razem — Miłość, na „Ósmy Znak” natomiast — Nic. Wnoszę z tego, że Siódmy był sumą i ilością znaków.

— Ale Siódmy nie został osiągnięty — wyrzuciłem z siebie w przyływie nagłego natchnienia. — Ponieważ podczas Szóstego nadeszła Zagłada!

— Ach, tak pan sądzi? Widzę, że traktujemy te... chaotyczne majaczenia bardzo poważnie. W rzeczywistości są one interesujące jedynie z medycznego punktu widzenia.

— Z pewnością przyciągną uwagę badaczy ludzkiej psychiki.

Oczy doktora zwęziły się.

— Szanowny panie, nie mam zamiaru ich publikować.

— Zatem skąd bierze się pańskie zainteresowanie?

— Ma ono charakter wyłącznie osobisty, choć oczywiście sporządzę notatki dotyczące tego przypadku.

— Rozumiem. — Ale po raz pierwszy poczułem, że niczego nie rozumiem. Wstałem z krzesła.

— No cóż, życzę panu dobrej nocy, doktorze. Jutro wracam do miasta.

— Ach tak!

Odniosłem wrażenie, że za tym okrzykiem kryło się zadowolenie, a być może nawet ulga.

— Życzę panu powodzenia w pańskich badaniach. Kiedy się znów spotkamy, proszę nie wypuszczać na mnie Ogara Śmierci!

Mówiąc te słowa, trzymałem jego rękę w swojej dłoni i poczułem, że zadrżała. Szybko się jednak opanował. Odstąpił w uśmiechu swe długie ostre zęby.

— Dla człowieka kochającego władzę, cóż to byłaby za władza! — powiedział. — Trzymać w garści życie wszystkich istot ludzkich!

I uśmiechnął się jeszcze wylewniej.

Na tym kończy się mój bezpośredni związek z całą sprawą.

Później wpadł mi w ręce notatnik, a zarazem pamiętnik doktora. Przytoczę tu kilka wyrywkowych zapisków, zaznaczając, że uzyskałem do nich dostęp dopiero po upływie pewnego czasu.

5 sierpnia. Odkryłem, że mówiąc o „Wybranych”, siostra M.A. miała na myśli tych, którzy przedłużali rodzaj ludzki. Najwyraźniej otaczani byli najwyższymi honorami i wynoszeni ponad stan kapłański. Należy to porównać z postawą pierwszych chrześcijan.

7 sierpnia. Nakłoniłem siostrę M.A., by poddała się hipnozie. Udało mi się wprowadzić ją w hipnotyczny sen i trans, ale nie nawiązałem z nią żadnego kontaktu.

9 sierpnia. Czy istniały w przeszłości cywilizacje, wobec których nasza jest niczym? Dziwne gdyby tak było i gdybym ja był jedynym człowiekiem, który na to wpadł...

12 sierpnia. Siostra M.A. zupełnie nie ulega sugestii w trakcie hipnozy. Jednak z łatwością daje się wprowadzić w trans. Nie potrafię tego zrozumieć.

13 sierpnia. Siostra M.A. wspomniała dzisiaj, że w „stanie łaski wrota muszą być zamknięte, aby nikt inny nie zapanował nad ciałem”. Interesujące... ale niezrozumiałe.

18 sierpnia. A więc Pierwszy Znak jest niczym innym jak... (tu słowa zostały wymazane)... zatem ilu trzeba będzie stuleci, aby osiągnąć Szósty? Ale gdyby istniała jakaś droga na skróty do Potęgi...

20 sierpnia. Umówiłem się z pielęgniarką, że przyjdzie do mnie wraz z M.A. Powiedziałem jej, że konieczne jest podawanie pacjentce morfiny. Czy jestem obłąkany? Czy też zostanę Nadczłowiekiem, trzymającym w swych rękach Potęgę Śmierci? (Tu notatki się kończą).

List otrzymałem, jak sądzę, 29 sierpnia. Na kopercie, która została wysłana pod adresem mojej szwagierki, pochyłym, typowym dla cudzoziemca charakterem pisma, wypisane było moje nazwisko. Otworzyłem ją z nie skrywaną ciekawością. Treść listu brzmiała:

Cher monsieur. Choć widziałam Pana zaledwie dwukrotnie, czuję, że mogę Panu zaufać. Bez względu na to, czy moje sny są realistyczne, czy też nie, ostatnio stały się bardziej wyraziste... I właśnie, Monsieur, chcę poruszyć jedną sprawę... Ogar Śmierci nie jest sennym widziadłem... W czasach, o których Panu opowiadałam (czy są one rzeczywiste, czy też nie, tego sama nie wiem) Ten, Który Był Strażnikiem Kryształu przekazał ludziom Szósty Znak za wcześnie... Do ich serc przeniknęło Zło. Posiadali moc zabijania, kiedy tylko zechcieli... i mordowali bez żadnej sprawiedliwości., w gniewie. Upoiła ich żądza władzy. Kiedy to dostrzegłyśmy, My, które jeszcze wtedy byłyśmy czyste, zdałyśmy sobie sprawę, że znów nie zamkniemy Kręgu i nie dotrzemy do Znaków Wiecznego Życia. Tego, który miał zostać następnym Strażnikiem Kryształu zmuszono do działania. Aby stare mogło umrzeć, a nowe, po nie kończących się stuleciach, powrócić, wypuścił Ogara Śmierci na morze (dokładając starań, by nie zamknąć Kręgu), a morze powstało na kształt Psa i pochłonęło cały ląd...

Przypomniałam sobie to już kiedyś... na stopniach ołtarza w Belgii..

Doktor Rose, on należy do Bractwa. Zna Pierwszy Znak oraz kształt Drugiego, choć jego znaczenie jest ukryte przed wszystkimi z wyjątkiem kilku wybranych. Dzięki mnie pozna Szósty. Do tej pory stawiałam mu opór... ale staję się coraz słabsza, Monsieur. Niedobrze się dzieje, Monsieur, kiedy moc zdobywa władzę, zanim nadejdzie jej pora. Wiele stuleci musi minąć, zanim ten świat dojrzeje do tego, by ująć w swe ręce moc zadawania śmierci... Błagam Pana, Monsieur, Pana, który kocha dobro i prawdę, o pomoc... zanim będzie za późno.

Pańska siostra w Chrystusie,

Marie Angelique

Upuściłem kartkę na podłogę. Grunt pod stopami wydał mi się mniej pewny niż zwykle. Potem zebrałem myśli. Nieklamana, autentyczna wiara tej biednej kobiety niemalże udzieliła się mnie! Jedno było pewne. Doktor Rose, opanowany żądzą zbadania tego przypadku, znacznie przekraczał swoje zawodowe uprawnienia. Postanowiłem tam pojechać i...

Nagle wśród korespondencji dostrzegłem list od Kitty. Natychmiast rozdarłem kopertę.

Stała się rzecz straszna — pisała. — Pamiętasz małą willę nad urwiskiem należąca do doktora Rose? Wczoraj w nocy osunęła się po zboczu. Doktor i ta biedna zakonnica, siostra Marie Angeliqne, zginęli. Rumowisko na plaży wygląda niesamowicie... z daleka przypomina wielkiego psa...

List wypadł mi z ręki.

Pozostałe wydarzenia mogą być zbiegiem okoliczności. Niejaki pan Rose, który, jak stwierdziłem, był bogatym krewnym doktora, zmarł nagle tej samej nocy... podobno rażony piorunem. O ile wiadomo przez okolicę nie przeszła żadna burza, choć kilka osób twierdziło, że słyszało huk jednego grzmotu. Na ciele zmarłego zauważono oparzenie o „dziwnym kształcie”. W testamencie wszystko zapisał swemu bratankowi, doktorowi Rose.

Przypuśćmy zatem, że doktorowi Rose udało się wydobyć od siostry Marie Angeliqne tajemnicę Szóstego Znak. Zawsze wydawał mi się człowiekiem pozbawionym skrupułów... nie zawahałby się przed zgładzeniem swego stryja, gdyby był pewien, że ujdzie mu to bezkarnie. Ale w moim umyśle ciągle rozbrzmiewa jedno zdanie z listu siostry Marie Angeliqnedokładając starań, by nie zamknąć Kręgu...” Doktor Rose nie dołożył tych starań... być może nie wiedział, jakie należy podjąć kroki bądź też nie zdawał sobie sprawy z potrzeby ich podjęcia. Więc Siła, którą się posłużył, powróciła, zataczając pełny krąg...

Ale to oczywiście nonsens! Wszystko można wytłumaczyć w sposób naturalny. To, że doktor wierzył w halucynacje siostry Marie Angeliqne dowodzi po prostu, że on sam był także nieco nie zrównoważony psychicznie.

Mimo to niekiedy śni mi się leżący pod dnem morza ląd, którego mieszkańcy osiągnęli niegdyś stopień cywilizacji znacznie przewyższający nasze zdobycze w tej dziedzinie...

A może pamięć siostry Marie Angeliqne wybiegała w drugą stronę... co, jak mówią niektórzy, jest prawdopodobne... Może to Miasto Kręgów należy do przyszłości, a nie do przeszłości?

Nonsens... oczywiście wszystko to tylko zwykła halucynacja!

Czerwony sygnał

— Jakież to fascynujące — powiedziała pani Eversleigh, otwierając szeroko swe piękne, choć nieco pozbawione wyrazu oczy. — Mówi się, że kobiety posiadają szósty zmysł; sądzi pan, że to prawda, Sir Alington?

Sławny psychiatra uśmiechnął się sardonicznie. Żywił bezgraniczną pogardę dla ładnych, lecz niemądrych kobiet, takich jak jego rozmówczynie. Alington West, nieco pompatyczny, potężnie zbudowany mężczyzna, był najwyższym autorytetem w dziedzinie chorób umysłowych i w pełni zdawał sobie sprawę ze swej pozycji oraz znaczenia.

— Wiem, że opowiada się na ten temat wiele bzdur, pani Eversleigh. Co właściwie oznacza ten termin: szósty zmysł?

— Wy, naukowcy, zawsze jesteście tacy serio. A przecież to nadzwyczajne, że człowiek po prostu coś czasem wie... wie czy raczej wyczuwa... to wręcz niesamowite. Claire rozumie, co mam na myśli, prawda Claire?

Zwróciła się w stronę pani domu, wydymając lekko usta i pochylając głowę.

Claire Trent nie odpowiedziała jej od razu. Rozmowa toczyła się przy kolacji, do której zasiedli — oprócz niej i jej męża. Jacka Trenta — Violet Eversleigh, Sir Alington West, i jego bratanek Dermot West, stary przyjaciel pana domu. Jack Trent, tęgawy, rumiany mężczyzna o zniewalającym uśmiechu, podjął rozpoczęty przez panią Eversleigh temat.

— Głupstwa, Violet! Twój najbliższy przyjaciel ginie w wypadku kolejowym. Ty natychmiast przypominasz sobie, że w ubiegły wtorek śnił ci się czarny kot — i jesteś głęboko przekonana, że przeczułaś jakieś nieszczęście!

— Och, nie, Jack, mylisz przeczucie z intuicją. Sir Alington, nie zaprzeczy pan chyba, że przeczucia naprawdę istnieją.

— Do pewnego stopnia, być może — zgodził się ostrożnie lekarz. — Ale wiele tego rodzaju zdarzeń można wytłumaczyć zbiegiem okoliczności. Musi też pani pamiętać, że każdy z nas ma skłonności do ubarwiania rzeczywistości i objawia je niekiedy już po fakcie.

— Nie wierzę, że istnieje coś takiego jak przeczucia — dość obcesowo stwierdziła Claire Trent. — Podobnie jak intuicja, szósty zmysł, czy jak byście to nazywali. Idziemy przez życie jak pociąg, pędzący w ciemności do nieznanego celu.

— Nie jest to dobre porównanie — odezwał się Dermot West po raz pierwszy, podnosząc głowę i włączając się do dyskusji. Miał opaloną twarz, a w jego jasnych, szarych oczach błyskały zagadkowe ogniki. — Bo widzisz, zapomniałaś o sygnałach.

— O sygnałach?

— Owszem, zielony oznacza wolną drogę, czerwony — niebezpieczeństwo!

— Czerwony — niebezpieczeństwo... jakież to podniecające! — westchnęła Violet Eversleigh.

Dermot odwrócił się od niej z irytacją.

— Można to oczywiście tak określić. Niebezpieczeństwo! Czerwony sygnał! Uwaga!

Trent spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Mówisz o tym tak, jakbyś coś podobnego przeżył, mój stary.

— Bo istotnie tak jest... a raczej: tak było.

— Opowiedz nam o tym.

— Proszę, oto przykład. Kiedyś w Mezopotamii, tuż po zawieszeniu broni, wchodząc pewnego wieczora do namiotu, poczułem, że coś mi zagraża. Niebezpieczeństwo! Uwaga! Nie miałem zielonego pojęcia, o co może chodzić. Obszedłem cały obóz, narobiłem niepotrzebnego zamieszania i kazałem podjąć wszelkie kroki ostrożności na wypadek ataku wrogo nastawionych Arabów. Potem wróciłem do namiotu. Gdy tylko się w nim znalazłem, uczucie zagrożenia powróciło ze zdwojoną siłą. Niebezpieczeństwo! W końcu zabrałem z namiotu koc, owinałem się nim i spałem na dworze.

— No i co?

— Kiedy następnego ranka wszedłem do namiotu, pierwszą rzeczą jaka rzuciła mi się w oczy był długi na pół metra nóż, wbity w moją pryczę, dokładnie w miejscu, gdzie powinienem był leżeć. Wkrótce odkryłem sprawcę — okazał się nim jeden z arabskich służących. Jego syn został rozstrzelany jako szpieg. I co ty na to, stryju Alington; czy nie jest to typowy przykład tego, co nazywam czerwonym sygnałem?

Psychiatra uśmiechnął się tajemniczo.

— Bardzo interesująca historia, mój drogi.

— Ale nie zaakceptowałbyś jej bez zastrzeżeń?

— Ależ tak, nie mam wątpliwości, że istotnie przeczułeś niebezpieczeństwo. Chociaż podważałbym źródło tego przeczucia. Według ciebie nadeszło ono z zewnątrz; zostało narzucone twojej psychice przez jakiś zewnętrzny bodziec. Ale dziś odkrywamy, że niemal wszystko pochodzi z wewnątrz, z naszej podświadomości.

— Dobra, stara podświadomość — mruknął Jack Trent. — Wszystko da się nią wytłumaczyć.

— Przypuszczam — ciągnął Sir Alington, nie zwracając uwagi na ten przerywnik — że ten Arab

musiał się zdradzić jakimś spojrzeniem, czy wyrazem twarzy. Twoja świadomość nie odnotowała tego, ale utrwaliło się to w twojej podświadomości. Podświadomość nigdy niczego nie zapomina. Uważamy też, że może ona racjonalnie myśleć i wyciągać wnioski całkiem niezależnie od wyższej, czy świadomej woli. Twoja podświadomość uznała zatem, że może nastąpić zamach na twoje życie i przekazała swój lęk twojej świadomości.

— Muszę przyznać, że brzmi to bardzo przekonująco — j rzekł z uśmiechem Dermot.

— Ale o wiele mniej fascynująco — dodała pani Eversleigh.

— Jest też możliwe, że wyczułeś podświadomie nienawiść j tego człowieka. To, co w dawnych czasach nazywano telepatią, z pewnością istnieje, choć niewiele wiemy o rządzących tym zjawiskiem prawach.

— Czy miałeś inne tego rodzaju przypadki? — spytała Claire, zwracając się do Dermota.

— Owszem, ale żaden z nich nie był tak spektakularny i myślę, że wszystkie można zaliczyć do zbiegów okoliczności. Kiedyś z powodu takiego „czerwonego sygnału” odrzuciłem zaproszenie do pewnej wiejskiej rezydencji. Dom ów spalił się właśnie w tym tygodniu, kiedy miałem tam przyjechać. Nawiasem mówiąc, powiedz mi, stryju Alington, co mogła mieć z tym wspólnego podświadomość.

— Chyba nic — odparł z uśmiechem pan West.

— Ale masz pewnie i na to równie przekonujące wyjaśnienie. Zdradź nam jakie. Nie musisz być taktowny wobec najbliższych krewnych.

— No cóż, mój bratanku, ośmielani się przypuszczać, że odrzuciłeś to zaproszenie z bardzo prostej przyczyny: najpewniej nie miałeś wielkiej ochoty tam jechać. Po pożarze wmówiłeś sobie, że przeczułeś niebezpieczeństwo, a teraz sam święcie w to wierzysz.

— To beznadziejne — roześmiał się Dermot. — Nie można; z tobą wygrać.

— Nic nie szkodzi, panie West — wtrąciła się pani Eversleigh. — Ja głęboko wierzę w pański czerwony sygnał. Czy wtedy, w Mezopotamii, zapalił się po raz ostatni? — Tak, aż do...

— Słucham?

— Nic, nic.

Dermot zamilkł. Słowa, które cisnęły mu się na usta, brzmiały: Tak, aż do dzisiejszego wieczora. Miały one wyrazić myśl, której poprzednio sobie nie uzmysłowił, ale teraz zdał sobie z niej wyraźnię sprawę. Z ciemności wyłaniał się czerwony sygnał. Niebezpieczeństwo! Namacalne niebezpieczeństwo!

Ale dlaczego? Jakie niebezpieczeństwo mogło zagrażać mu tutaj? W domu przyjaciół? W każdym razie... owszem, istniało pewne niebezpieczeństwo. Zerknął z zachwytem na Claire Trent; na jej

zgrabną figurę, jasną cerę i piękne złote włosy. Ale to niebezpieczeństwo istniało już od pewnego czasu i nie mogło poważnie mu zagrozić. Jack był jego najlepszym przyjacielem, co więcej, człowiekiem, który ocalił mu życie we Flandrii i otrzymał za to Krzyż Wiktorii. Wspaniały człowiek, jeden z najlepszych jakich znał. Miał pecha, że zakochał się w żonie Jacka. Przypuszczał jednak, że kiedyś mu to minie. Tego rodzaju bolesne uczucia nie mogą trwać wiecznie. Można je w sobie stłumić... tak jest, stłumić. Przecież ona z pewnością nawet się nie domyśla... a jeśli się domyśla, to nie ma mowy o tym, by darzyła go wzajemnością. Jest posągiem, pięknym posągiem ze złota, kości słoniowej i różowego koralu... zabawką dla jakiegoś króla, a nie prawdziwą kobietą.

Claire... na samą myśl o tym imieniu poczuł ból... Musi to w sobie pokonać. Przecież bywał już zakochany w innych kobietach. „Ale nie tak! — przemówił do niego jakiś głos. — Nie tak”. No cóż, rzeczywiście. Ale to uczucie nie było groźne, może bolesne, ale nie groźne. Nie na tyle, by zapalił się Czerwony Sygnał. Chodziło więc o coś innego.

Rozejrzał się po siedzących wokół stołu gościach i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ich dobór jest dość niezwykły. Na przykład jego stryj rzadko brał udział w takich kameralnych kolacjach. Państwo Trent nie byli zresztą jego bliskimi przyjaciółmi; do dzisiejszego wieczora Dermot nie wiedział nawet, że pan West ich zna.

Istniało jednak pewne wyjaśnienie. Po kolacji miał się odbyć *séance* z udziałem dość znanego medium. Sir Alington przyznawał, że interesuje się spirytyzmem. Tak, to mógł być pretekst do jego wizyty.

Słowo to narzuciło się jego uwadze. Pretekst. Czyżby *séance* był pretekstem, mającym usprawiedliwić udział sławnego psychiatry w tej kolacji? A jeśli tak, to jaka była prawdziwa przyczyna jego obecności? Przez umysł Dermo ta przemknął strumień szczegółów, drobiazgów, których dotąd nie dostrzegał, a raczej — jak powiedziałby jego stryj — których nie dostrzegała jego świadomość.

Wielki uczony kilkakrotnie bardzo dziwnie spoglądał na Claire. Zdawał się ją obserwować. Ona zaś czuła się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem. Drżały jej ręce. Była zdenerwowana, bardzo zdenerwowana... a może zalękniona? Dlaczego była zalękniona?

Drgnął i zaczął się ponownie przysłuchiwać toczącej się przy stole konwersacji. Pani Eversleigh nakłoniła wielkiego człowieka do rozmowy o jego zawodzie.

— Droga pani — mówił Sir Alington — czym jest obłąd? Mogę panią zapewnić, że im dłużej studiujemy to zjawisko, tym trudniej jest nam je zdefiniować. Wszyscy mamy skłonności do oszukiwania samych siebie; jeśli ktoś posuwa się tak daleko, by wierzyć, że jest carem Rosji, zostaje zamknięty w zakładzie dla psychicznie chorych. Ale zanim osiągniemy ten punkt, przebywamy długą drogę. W jakim konkretnym miejscu należy postawić słup z napisem: „Z tej strony normalność, z tamtej obłąd?” Widzi pani, tego nie da się dokładnie określić. I powiem pani coś jeszcze; jeśli człowiek cierpiący na urojenia nie mówi o nich głośno, to według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie odróżnimy go od ludzi normalnych. Niezwykła normalność osób nienormalnych to bardzo interesujący temat.

Sir Alington ze smakiem wypił łyk wina i uśmiechnął się do zebranych.

— Zawsze słyszałam, że oni są niezwykle przebiegli — wtrąciła pani Eversleigh. — Mam na myśli wariatów.

— Zdziwiająco przebiegli. A ukrywanie urojeń ma często katastrofalne skutki. Tłumienie swoich przeżyć jest zawsze niebezpieczne — tego uczy nas psychoanaliza. Nieszkodliwy dziwak, który może sobie pozwolić na swoje dziwactwo, rzadko przekracza tę linię graniczną. Ale mężczyzna — przerwał na chwilę — lub kobieta, która wydaje się z pozoru całkowicie normalna, jest potencjalnym zagrożeniem dla otoczenia.

Zerknął niepostrzeżenie na Claire. Potem spojrzął na swój kieliszek i wypił następny łyk wina.

Dermot poczuł się głęboko wstrząśnięty. Czy to właśnie miał na myśli? Do tego zmierzał? Wydawało się to niemożliwe, ale...

— A wszystko przez tłumienie naturalnych odruchów — dodała pani Eversleigh. — Teraz widzę, dlaczego należy zawsze swobodnie... uzewnętrzniać swą osobowość. Inaczej grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

— Droga pani Eversleigh — z wyrzutem przerwał jej psychiatra. — Zrozumiała mnie pani całkiem opacznie. Przyczyną nieszczęścia są zmiany w mózgu. Czasem wywołuje je jakiś bodziec zewnętrzny, na przykład uderzenie, czasem jednak, niestety, mają charakter wrodzony.

— Choroby dziedziczne są tak przygnębiające — westchnęła pani Eversleigh. — Na przykład suchoty.

— Gruźlica nie jest dziedziczna — oświadczył chłodno Sir Alington.

— Doprawdy? Zawsze sądziłam, że jest. Ale obłęd ma charakter dziedziczny! I co jeszcze?

— Podagra — odparł z uśmiechem Sir Alington. — I daltonizm. Ten ostatni przykład jest zresztą dość interesujący. Daltonizm przekazywany jest wyłącznie za pośrednictwem! mężczyzn, natomiast u kobiet występuje w postaci utajonej. Znamy więc wielu daltonistów płci męskiej, ale żeby kobieta i została daltonistką, choroba ta musi występować w postaci! utajonej u jej matki i w postaci jawnej u jej ojca... a taki splot okoliczności występuje niezwykle rzadko. Jest to tak zwana dziedziczność ograniczona płcią.

— To interesujące. Ale z obłędem jest inaczej, prawda?

— Obłęd można przekazać swym potomkom bez względu na ich płeć — z powagą odparł Sir Alington.

Claire wstała nagle, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że zachwiało się i upadło. Była bardzo blada, a jej palce drżały nerwowo.

— Nie będziecie tu długo siedzieć, prawda? — spytała błagalnym tonem. — Pani Thompson zjawi

się już za kilka minut.

— Jeden kieliszek porto i dołączymy do pań — obiecał Sir Alington. — Przecież przyszedłem tu po to, by zobaczyć występ tej niezwyklej pani Thompson, prawda? Ha ha! Nie żebym potrzebował zachęty — dodał z lekkim ukłonem.

Claire uśmiechnęła się blado i wyszła z pokoju, wsparta na ramieniu pani Eversleigh.

— Obawiam się, że niepotrzebnie mówiłem o sprawach zawodowych — stwierdził psychiatra, siadając z powrotem na krześle. — Zechce mi pan wybaczyć, drogi przyjacielu.

— Ależ nie ma o czym mówić — odparł zdawkowo Trent. Wydawał się napięty i zaniepokojony. Dermot po raz pierwszy czuł się w towarzystwie przyjaciela jak ktoś obcy. Tych dwóch mężczyzn łączyła najwyraźniej jakaś tajemnica, której nie mógł dzielić nawet stary przyjaciel. A jednak wszystko to było fantastyczne i niewiarygodne. Jakież miał podstawy do obaw? Kilka dziwnych spojrzeń i zdenerwowanie kobiety.

Siedzieli przy winie bardzo krótko i weszli do salonu w momencie, w którym zaanonsowano panią Thompson.

Była tęgawą kobietą w średnim wieku. Miała na sobie okropną suknię z karmazynowego aksamitu i mówiła głośno, dość pospolitym głosem.

— Mam nadzieję, że się nie spóźniłam, pani Trent — oznajmiła pogodnym tonem. — Byłyśmy umówione na dziewiątą, prawda?

— Jest pani bardzo punktualna, pani Thompson — odparła Claire. — Oto uczestnicy seansu.

Dalsza prezentacja zebranych nie nastąpiła, gdyż widocznie nie było to w zwyczaju. Pani Thompson obrzuciła obecnych bystrym, przenikliwym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, że wszystko się uda — oświadczyła stanowczo. — Nie umiem pani powiedzieć, jak bardzo jestem zawiedziona, kiedy nie potrafię zadowolić swoich klientów, że się tak wyrażę. Doprowadza mnie to do szału. Ale mam nadzieję, że Shiromako — mój japoński zwierzchnik — nawiąże dziś z nami kontakt bez większych trudności. Jestem w świetnej formie i odmówiłam zjedzenia zapiekanki z serem, choć za nią przepadam.

Dermot słuchał jej z rozbawieniem i zarazem niesmakiem. Jakież to było prozaiczne! Ale czy nie osądzał jej zbyt pochopnie? Bądź co bądź wszystko miało charakter naturalny; siły wykorzystywane przez media to siły naturalne, tyle że jak dotąd nie do końca zbadane. Skoro wielki chirurg mógł obawiać się niestrawności w przededniu skomplikowanej operacji, dlaczego pani Thompson miałaby się od niego różnić?

Ustawiono krzesła w koło i zawieszono lampy w taki sposób, by można je łatwo zapalać i gasić. Dermot zauważył, że Sir Alington nie kwestionuje warunków, w jakich *séance* ma się odbyć. Doszedł do wniosku, że cała wizyta pani Thompson jest tylko zasłoną dymną, a Sir Alington zjawił się tu w zupełnie innym celu. Przypomniawszy sobie, że matka Claire umarła za granicą. Wiązała się z

tym jakaś tajemnica... Dziedziczność...

Zmusił się, by powrócić do rzeczywistości.

Obecni zajęli miejsca, zgaszono wszystkie światła, z wyjątkiem małej lampy z czerwonym abażurem, która stała na bocznym stoliku.

Przez chwilę słychać było tylko równy oddech medium. Stopniowo stawał się on coraz bardziej chrapliwy. Potem Dermot podskoczył na krześle, bo w kącie pokoju rozległ się nagle głośny trzask. Taki sam dobiegł z drugiego kąta. Wreszcie nastąpiła cała seria coraz głośniejszych trzasków. Kiedy ucichły, w salonie rozległ się drwiący śmiech. W końcu zapadła cisza. Przerwał ją piskliwy, dziwnie modulowany głos, całkowicie niepodobny do głosu pani Thompson.

— Jestem tutaj, panowie. Tak, jestem tutaj. Czy chcecie mnie o coś spytać?

— Kim jesteś? Shiromako?

— Tak. Ja, Shiromako, umrzeć już dawno temu. Pracuję. Jestem bardzo szczęśliwy.

Nastąpiły dalsze szczegóły z życia Shiromako, bardzo przyziemne i mało interesujące. Dermot słyszał je wielokrotnie wcześniej. Wszyscy byli uszczęśliwieni, bardzo uszczęśliwieni. Medium przekazywało przesłania od krewnych, opisywanych j w sposób tak ogólnikowy, że treść przesłań mogła właściwie i pasować do każdej sytuacji. Przez pewien czas przemawiała; do nich jakaś starsza dama, matka jednej z obecnych osób, wygłaszając wyświechtane maksymy takim tonem, jakby były one odkrywcze i nowe.

— Teraz chce się objawić ktoś inny — oznajmił w pewnej chwili Shiromako. — Ma bardzo ważną wiadomość dla jednego z panów.

Nastąpiła pauza, a potem odezwał się jakiś inny głos, poprzedzając swą wypowiedź szatańskim wybuchem śmiechu.

— Cha, cha! Cha, cha, cha! Lepiej nie wracaj do domu. Lepiej nie wracaj do domu. Posłuchaj mojej rady.

— Do kogo mówisz? — spytał Trent.

— Do jednego z was trzech. Na jego miejscu nie wracałbym do domu. Niebezpieczeństwo! Krew! Niewiele krwi, ale wystarczy. Nie, nie wracaj do domu. — Głos stawał się coraz słabszy. — Nie wracaj do domu!

Wreszcie umilkł. Dermot poczuł, że krew szybciej mu krąży w żyłach. Nie miał wątpliwości, że ostrzeżenie było skierowane do niego. Czuł, że tego wieczora grozi mu niebezpieczeństwo.

Medium westchnęło, a potem wydało jęk. Pani Thompson odzyskiwała świadomość. Zapalono światła, a ona wyprostowała się na krześle, mrugając oczami.

— Czy wszystko poszło dobrze, moja droga? Mam nadzieję, że tak.

— Bardzo dobrze. Dziękuję, pani Thompson.

— To był Shłromako, prawda?

— Tak. I inne osoby. Pani Thompson ziewnęła.

— Jestem śmiertelnie zmęczona. Padam z nóg. To bardzo wyczerpujące. No, ale cieszę się, że wszystko poszło dobrze. Bałam się trochę, że może nam się nie udać, że dojdzie do jakiegoś nieprzyjemnego incydentu. Dziś wieczór wyczuwam w tym pokoju coś niepokojącego.

Rozejrzała się po obecnych, a potem wzruszyła swymi szerokimi ramionami.

— Nie podoba mi się to — oznajmiła. — Czy ktoś z państwa przeżył ostatnio czyjąś nagłą śmierć?

— Co pani ma na myśli?

— Śmierć bliskich krewnych... drogich przyjaciół? Nie? No cóż, gdybym chciała być melodramatyczna, powiedziałabym że tu dziś wieczorem unosi się w powietrzu śmierć. Ale to tylko moje gadanie. Do widzenia, pani Trent. Cieszę się, że jest pani zadowolona.

Pani Thompson i jej szkarłatna, aksamitna suknia zniknęły z pola widzenia.

— Mam nadzieję, że to pana zaciekało, Sir Alington — powiedziała cicho Claire.

— Niezwykle interesujący wieczór, droga pani. Dziękuję bardzo za zaproszenie na ten seans. Pozwolę sobie życzyć, pani dobrej nocy. Wybieracie się wszyscy na dancing, prawda?

— Nie pójdzie pan z nami?

— Nie, nie. Z zasady kładę się do łóżka o wpół do dwunastej. Dobranoc. Dobranoc, pani Eversleigh. Ach! Dermot, chciałbym zamienić z tobą dwa słowa. Czy możesz ze mną wyjść? Dołączysz do reszty towarzystwa w Grafton Galleries.

— Oczywiście, stryju. Do zobaczenia na miejscu, Trent. Podczas krótkiej jazdy samochodem na Harley Street, stryj i bratanek prawie ze sobą nie rozmawiali. Sir Alington poprosił Dermota, by ten zechciał mu wybaczyć, że wyciągnął go z domu państwa Trent i zapewnił, że zajmie mu tylko kilka minut.

— Czy samochód ma na ciebie poczekać, chłopcze? — spytał, kiedy wysiedli.

— Och, szkoda fady, stryju. Wezmę taksówkę.

— To świetnie. Nie lubię zatrzymywać Charlsona do późna, jeśli mogę tego uniknąć. Dobranoc, Charlson. Gdzież u diabła schowałem klucz?

Samochód zniknął w oddali, a Sir Alington nadal stał na schodkach, daremnie poszukując klucza od domu.

— Musiałem go zostawić w innym płaszczu — rzekł w końcu. — Naciśnij dzwonek, mój chłopcze. Przypuszczam, że Johnson jeszcze nie śpi.

Niezawodny Johnson istotnie otworzył drzwi w ciągu sześćdziesięciu sekund.

— Zgubiłem klucz, Johnson — wyjaśnił mu Sir Alington. — Czy możesz przynieść nam do biblioteki dwie whisky z wodą sodową?

— Oczywiście, Sir Alington.

Gospodarz wszedł do biblioteki, zapalił światła i poprosił Dermota o zamknięcie drzwi.

— Nie będę cię długo zatrzymywał, Dermot, ale chciałbym cię o coś zapytać. Czy mi się zdaje, czy też żywisz pewnego rodzaju... powiedzmy *tendresse* wobec pani Trent?

Dermot poczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Jack Trent jest moim najlepszym przyjacielem.

— Wybacz, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Z pewnością uważasz moje poglądy na temat rozwodów i tego rodzaju spraw za skrajnie purytańskie, ale muszę ci przypomnieć, że jesteś moim jedynym bliskim krewnym, co więcej, moim spadkobiercą.

— Nie ma mowy o żadnym rozwodzie — z gniewem oznajmił Dermot.

— Oczywiście, że nie ma, chociażby z przyczyn, które znam, być może, lepiej niż ty. Nie mogę ci teraz wyjaśnić, jakie to przyczyny, ale chcę cię ostrzec. Claire Trent nie jest dla ciebie.

Młody człowiek spojrzał w oczy swego stryja.

— Rozumiem... i pozwól sobie powiedzieć, że rozumiem może lepiej, niż to ci się wydaje. Wiem też, dlaczego wzięłeś udział w dzisiejszej kolacji.

— Co? — Sir Alington był wyraźnie zaskoczony. — Skąd to wiesz?

— Możesz to nazwać domysłem, stryju. Chyba jednak nie zaprzeczysz, że twoja wizyta miała charakter... zawodowy?

— Masz zupełną rację, Dermot. Nie mogłem, rzecz jasna, powiedzieć ci tego sam, choć obawiam się, że wkrótce przedostanie się to do wiadomości publicznej.

Dermot poczuł skurcz serca.

— Chcesz powiedzieć, że... że postawiłeś diagnozę?

— Tak. W tej rodzinie zdarzały się przypadki obłądu... w rodzinie ze strony matki. Smutny przypadek, bardzo smutny przypadek.

— Nie mogę w to uwierzyć, stryju.

— Nie dziwię się. Laik, w najlepszym razie, dostrzega tylko nieliczne objawy.

— A ekspert?

— Dla eksperta jest rzeczą oczywistą, że w takim wypadku pacjent musi zostać jak najszybciej umieszczony w domu dla obłąkanych.

— Wielki Boże! — jęknął Dermot. — Przecież nie można uwięzić kogoś, kto nie zrobił nic złego!

— Mój drogi, w domach dla obłąkanych umieszcza się jedynie osoby, których pobyt na wolności stanowiłby zagrożenie dla otoczenia. W tym wypadku chodzi o bardzo poważne zagrożenie. Mamy tu z pewnością do czynienia ze szczególną formą maniakałnych skłonności morderczych. Tak było w przypadku matki.

Dermot odwrócił się z jękiem od stryja i ukrył twarz w dłoniach. Claire... jego białozłota Claire.

— W tych okolicznościach — ciągnął spokojnie psychiatra — uznałem, że mam obowiązek cię ostrzec.

— Claire — szeptał Dermot. — Moja biedna Claire.

— Tak, istotnie, wszyscy musimy jej współczuć. Dermot nagle podniósł na niego wzrok.

— Nie wierzę w to.

— Co?

— Powiedziałem, że w to nie wierzę. Lekarze popełniają pomyłki. Każdy o tym wie. Zawsze u wszystkich doszukują się chorób, w których się specjalizują.

— Ależ Dermot! — zawołał z gniewem Sir Alington.

— Powiedziałem ci, że w to nie wierzę... a nawet gdyby tak było, nic mnie to nie obchodzi. Kocham Claire. Jeśli zgodzi się ze mną wyjechać, zabiorę ją stąd... daleko... z dala od wścibskich lekarzy. Będę ją chronił, dbał o nią, otoczę ją miłością.

— Nie zrobisz nic podobnego. Czyś ty oszalał?!

Dermot zaśmiał się szyderczo.

— Ty z pewnością skłonny byłbyś uznać mnie za szalonego.

— Zrozum mnie, Dermot. — Twarz Sir Alingtona stała się czerwona od tłumionej wściekłości. — Jeśli to zrobisz, jeśli zachowasz się tak haniebnie, z nami koniec. Przeszanę wypłacać ci stałe apanaże i sporządzą nowy testament, w którym zapiszę wszystko różnym szpitalom.

— Rób sobie co chcesz ze swoimi przeklętymi pieniędzmi — powiedział cicho Dermot. — Ja będę miał ukochaną kobietę.

— Kobietę, która...

— Powiedz tylko słowo przeciwko niej, a jak mi Bóg miły...! Zabiję cię! — krzyknął Dermot.

Usłyszeli delikatny brzęk szklanek i odwrócili się. Podczas ich kłótni Johnson wszedł cicho, niosąc tacę z drinkami. Był dobrym lokajem, nic więc nie można było wyczytać z jego twarzy, ale Dermot zaczął się zastanawiać, jak wiele mógł usłyszeć.

— Dziękuję, Johnson — rzekł Sir Alington szorstkim tonem. — Możesz już iść spać.

— Tak, sir. Dobranoc, sir — powiedział Johnson, wychodząc z pokoju.

Stryj i bratanek popatrzyli na siebie. Chwilowa przerwa w rozmowie sprawiła, że burza ucichła.

— Stryju — odezwał się pierwszy Dermot — nie powinienem był zwracać się do ciebie w taki sposób. Wiem, że z twojego punktu widzenia masz zupełną słuszość. Ale ja jestem zakochany w Claire Trent od dawna. Jack jest moim najlepszym przyjacielem, więc nie mogłem wyznać jej swoich uczuć. W istniejących okolicznościach nie ma to już znaczenia; nią. Żadne względy natury materialnej nie są w stanie mnie powstrzymać. Myślę, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, — co było do powiedzenia. Dobranoc.

— Dermot...

— Dalsza dyskusja jest chyba bezprzedmiotowa. Dobranoc, stryju Alington. Przykro mi, ale taka jest prawda.

Wszedł pośpiesznie, zamykając za sobą drzwi. W hallu było ciemno, ale dotarł jakoś do wyjścia i wybiegł na ulicę, zatraskując za sobą drzwi.

Przed którymś z sąsiednich domów dostrzegł taksówkę. Właśnie wysiadł z niej jakiś pasażer, więc zatrzymał ją i kazał się zawieźć do Grafton Galleries.

W drzwiach sali balowej przystanął na chwilę, czując zawrót głowy. Hałaśliwa muzyka jazzowa, roześmiane kobiety... wydawało mu się, że znalazł się w innym świecie.

Czyżby wszystko to mu się przyśniło? Miał wrażenie, że cała ta nieprzyjemna rozmowa ze stryjem była produktem jego wyobraźni. Oto przemknęła obok niego Claire; w białej—srebrnej sukni, uwydatniającej jej zgrabną figurę. Wydała mu się podobna do lilii. Kiedy uśmiechnęła się do niego, zobaczył na jej twarzy spokój i pogodę ducha. Z pewnością wszystko to było tylko złym snem.

Orkiestra przestała grać. Uśmiechnięta Claire znalazła się tuż obok niego. Poprosił ją do następnego tańca, wciąż czując się jak we śnie. Gdy zabrzmiały melodyjne rytmiczne dźwięki, wziął ją w ramiona.

W pewnym momencie poczuł, że jego partnerka traci siły.

— Jesteś zmęczona? Chcesz odpocząć?

— Owszem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Czy możemy pójść gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać? Mam ci coś do powiedzenia.

Nie, to nie był sen. Nagle ocknął się na ziemi, przeżywając niemiły wstrząs. Jak mógł przypuszczać, że jej twarz wyraża spokój i pogodę ducha? Malował się na niej niepokój, wręcz lęk. Jak wiele wiedziała?

Znaleźli ustronny zakątek i usiedli obok siebie.

— No więc? — spytał Dermot pozornie beztroskim tonem. — Podobno masz mi coś do powiedzenia.

— Owszem. — Oczy miała przymknięte. Bawiła się nerwowo jakąś ozdobą sukni. — To dosyć trudna sprawa.

— Powiedz mi, Claire.

— Chcę cię prosić, żebyś na jakiś czas wyjechał.

Dermot nie mógł ukryć zdziwienia. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

— Chcesz, żebym wyjechał? Dlaczego?

— Najlepiej rozmawiać o tym szczerze, prawda? Wiem... wiem, że jesteś dżentelmenem i moim przyjacielem. Chcę, żebyś wyjechał, bo... bo zaczęłam cię za bardzo lubić.

— Claire...

Gdy dotarł do niego sens jej słów, poczuł się oszołomiony i zaniemówił.

— Nie myśl, że jestem na tyle zarozumiała, by przypuszczać, że ty... że możesz się we mnie zakochać. Ale czuję się nieszczęśliwa i... och, chciałabym, żebyś wyjechał.

— Claire, czyż nie widzisz, że cię kocham... szalenie kocham... od chwili, w której cię poznałem?

Spojrzała mu w twarz szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

— Kochasz mnie?! Od dawna?!

— Od początku.

— Och! — krzyknęła. — Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś wtedy, kiedy mogłam jeszcze być twoja?! Dlaczego mówisz mi to teraz, gdy jest już za późno?! Nie, jestem szalona... sama nie wiem co mówię. Nigdy nie mogłam być twoja.

— Claire, co miałaś na myśli, mówiąc: „teraz, kiedy jest już za późno?” Czy to... czy to z powodu mojego stryja? Z powodu tego, o czym on wie? Tego, co podejrzewa?

Kiwnęła bezradnie głową. Po jej twarzy spływały łzy.

— Posłuchaj, Claire, zabraniam ci w to wszystko wierzyć. Nie wolno ci o tym myśleć. Wyjedź ze mną. Popłyniemy na morza południowe, gdzie wyspy przypominają zielone klejnoty. Będiesz tam szczęśliwa, a ja będę cię chronił... poczujesz się bezpieczna, na zawsze.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Zadrżała w jego ramionach, a potem nagle uwolniła się z uścisku.

— Och nie, proszę cię. Czy nie rozumiesz? Nie mogę tego teraz zrobić. To byłoby nikczemne... nikczemne. Przez cały czas chciałam postępować szlachetnie, a teraz... to też byłoby nikczemne.

Zawahał się, zaskoczony jej słowami. Patrzyła na niego błagalnie.

— Proszę cię — powtórzyła. — Chcę być dobra.

Dermot bez słowa wstał i odszedł, zostawiając ją samą. Jej słowa tak go wzruszyły i tak nim wstrząsnęły, że nie potrafił dalej jej przekonywać. Idąc po płaszcz i kapelusz, wpadł nieoczekiwanie na Trenta.

— Widzę, że wcześniej wychodzisz, Dermot.

— Tak, nie mam dziś ochoty na tańce.

— Okropny wieczór — przyznał posępnie Trent. — Ale ty masz przynajmniej moich kłopotów.

Dermot poczuł przerażenie na myśl, że Trent zacznie mu się zwierzać. Tylko nie to — pomyślał. — Wszystko, tylko to!

— A więc do zobaczenia — rzucił pospiesznie. — Pędzę do domu.

— Do domu, co? Więc nie przejąłeś się ostrzeżeniem tego ducha?

— Zaryzykuję. Dobranoc, Jack.

Mieszkał w pobliżu Grafton Galleries, poszedł więc do domu piechotą, w nadziei, że nocny chłód uspokoi jego rozgorączkowane myśli.

Otworzył drzwi własnym kluczem i zapalił światło w sypialni.

Natychmiast, po raz drugi tego wieczora, poczuł coś, co na własny użytek nazwał Czerwonym Sygnałem. Jego działanie było tak silne, że na chwilę zapomniał o Claire.

Niebezpieczeństwo! Zagrozało mu niebezpieczeństwo. Teraz, w tym pokoju, zagrozało mu niebezpieczeństwo.

Daremnie próbował w głębi duszy wyśmiać swoje obawy. Może zresztą nie robił tego zbyt przekonująco. Ostrzeżenia, jakich udzielał mu dotąd Czerwony Sygnał, pozwalały mu zawsze unikać katastrofy. Szydząc z własnej skłonności do ulegania przesądom obszedł ostrożnie całe mieszkanie, na wypadek gdyby czaił się w nim jakiś złoczyńca. Ale poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Jego lokaj, Milson, miał akurat wolny dzień, więc mieszkanie było zupełnie puste.

Wrócił do sypialni i zaczął się powoli rozbierać. Nagle zmarszczył brwi. Poczucie niebezpieczeństwa stało się jeszcze bardziej realne. Podszedł do szuflady, by wyciągnąć z niej chustkę do nosa i zastygł w bezruchu. Wyczuł jakiś nie znany mu kształt... coś twardego.

Drżącymi palcami odsunął nerwowo chustki i wyjął ukryty pod nimi przedmiot. Był to rewolwer.

Dermot przyjrzał mu się w osłupieniu. Była to nie znanego mu typu broń, z której niedawno oddano strzał. Nic więcej nie potrafił powiedzieć. Ktoś podrzucił rewolwer do szuflady tego wieczora. Mógłby przysiąc, że nie było go tam, gdy przebierał się do kolacji.

Miał właśnie odłożyć rewolwer na miejsce, gdy zaskoczył go dźwięk dzwonka. Powtarzał się uporczywie raz po raz, rozbrzmiewając w ciszy pustego mieszkania nienaturalnie głośno.

Kto mógł stać przy drzwiach frontowych o tej porze? Instynkt podszeptał mu tylko jedną odpowiedź.

Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo...

Wiedziony tym niewytłumaczalnym instynktem zgasił światło, włożył płaszcz i otworzył drzwi.

Na progu stali dwaj mężczyźni. Za nimi dostrzegł niebieski mundur. Policjant!

— Pan West? — spytał jeden z mężczyzn.

Dermotowi wydawało się, że zwleka z odpowiedzią wieki całe. W istocie udzielił jej już po kilku sekundach, mówiąc równie bezosobowym głosem jak jego niespodziewany gość.

— Pan West jeszcze nie wrócił. Czego chcecie od niego o taki późnej porze?

— Jeszcze nie wrócił, co? Dobrze więc, wejdziemy i zaczekamy na jego powrót.

— Nie macie prawa tu wchodzić.

— Posłuchaj, mój dobry człowieku, jestem inspektor Verall ze Scotland Yardu i mam nakaz aresztowania twego pana. Jeśli chcesz, mogę ci go pokazać.

Dermot przeczytał wręczony mu dokument, lub przynajmniej udał że go czyta, po czym spytał ze zdumieniem:

— Dlaczego? Co on zrobił?

— Popęłił morderstwo. Ofiarą jest Sir Alington West z Harley Street.

Dermot, czując zamęt w głowie, cofnął się i wpuścił niepożądanych gości. Wszedł do salonu i zapalił światło. Inspektor podążał tuż za nim.

— Przeszukajcie dom — polecił swemu koledze. Potem! zwrócił się do Dermota.

— Zostań tutaj, mój dobry człowieku. Nie pozwolimy ci się wymknąć i uprzedzić swego pana. Jak się nazywasz?

— Milson, sir.

— O której spodziewasz się powrotu pana Westa, Milson?

— Nie wiem, panie inspektorze, ale mam wrażenie, że wybierał się na dancing. Do Grafton Galleries.

— Wszedł stamtąd niecałą godzinę temu. Czy jesteś pewien, że nie było go tutaj?

— Nie sądzę, sir. Myślę, że usłyszałbym go, gdyby pojawił się w domu.

W tym momencie z sąsiedniego pokoju wszedł podwładny inspektora, niosąc w ręku rewolwer. Pokazał go swemu szefowi z wyraźnym podnieceniem. Na twarzy Veralla pojawił się wyraz zadowolenia.

— No więc wszystko jest jasne — powiedział. — Musiał wkraść się do domu i wymknąć z niego ponownie, tak cicho, że go nie usłyszałeś. Dał nogę. Muszę jechać na posterunek. Cawley, zostań tutaj, na wypadek gdyby podejrzany wrócił i miej na oku tego lokaja. Może wiedzieć o swoim panu więcej niżby się wydawało.

Inspektor pośpiesznie opuścił dom. Dermot spróbował wyciągnąć dalsze szczegóły z Cawleya, który okazał się nad wyraz rozmowny.

— Zupełnie jasna sprawa — zapewniał swego rozmówcę. — Morderstwo zostało odkryte niemal natychmiast. Johnson, lokaj Sir Alingtona, położył się właśnie do łóżka, i nagle wydało mu się, że usłyszał strzał, szedł więc ponownie na dół. Znalazł zwłoki swego pana, któremu ktoś strzelił prosto w serce. Niezwłocznie do nas zadzwonił, a my przyjechaliśmy na miejsce, by wysłuchać jego zeznań.

— I z tych zeznań wynika, że sprawa jest zupełnie jasna? — spytał Dermot.

— Absolutnie. Ten młody West wszedł do domu razem ze swoim stryjem. Kiedy Johnson wniósł tacę z drinkami, tamci zawzięcie się kłócili. Stary zapowiadał, że sporządzi nowy testament, a twój

pan groził, że go zastrzeli. W niecałe pięć minut później lokaj usłyszał strzał. No tak, wszystko jest jasne. Głupi smarkacz!

Istotnie wszystko było jasne. Dermot zdał sobie sprawę, że poszlaki świadczą niezbitnie przeciwko niemu i poczuł przyływ przerażenia. Naprawdę groziło mu niebezpieczeństwo, straszliwe niebezpieczeństwo. Nie widział żadnego wyjścia z opresji. Skupił myśli. Po chwili zaproponował Cawleyowi filiżankę herbaty. Policjant chętnie przyjął zaproszenie. Przeszukał już mieszkanie i wiedział, że nie ma w nim tylnego wyjścia.

Dermot poszedł do kuchni. Nastawił czajnik, a potem zaczął pobrzękiwać głośno filiżankami i spodkami. Następnie podszedł szybko do okna i uchylił je. Jego apartament mieścił się na drugim piętrze, a za oknem zwisały stalowe przewody od małej towarowej windy, zainstalowanej tam na użytek dostawców.

Dermot błyskawicznie wyszedł przez okno i zaczął się zsuwać po stalowej linie. Kabel wrzynał mu się w dłonie aż do krwi, ale on z determinacją zsuwał się coraz niżej.

W kilka minut później wychylił się ostrożnie z tylnej bramy budynku. Wychodząc zza rogu wpadł na stojącego na chodniku mężczyznę. Ku swemu zdumieniu rozpoznał w nim Jacka Trenta. Jego przyjaciel najwyraźniej zdawał sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji.

— Na Boga, Dermot! Szybko, zabierajmy się z tej okolicy! Wziął go pod ramię i prowadził bocznymi uliczkami, dopóki nie dostrzegli wolnej taksówki. Kiedy do niej pośpiesznie wsiedli, Trent podał kierowcy swój adres.

— To chwilowo najbardziej bezpieczne miejsce. Potem możemy się zastanowić, jak skierować tych durniów na fałszywy trop. Szedłem do ciebie, bo miałem nadzieję, że zdołam cię ostrzec, zanim zjawi się policja, ale przybyłem zbyt późno.

— Nie przyszło mi na myśl, że słyszałeś już o tej sprawie] Jack, chyba nie sądzisz...

— Oczywiście że nie, mój drogi, ani przez chwilę. Zbyt dobrze cię znam. Mimo to cała sprawa wygląda od twojej strony paskudnie. Byli u mnie i zadawali różne pytania: o której dotarłeś do Grafton Galleries, kiedy wyszedłeś i tak dalej. Dermot, kto mógł wykończyć tego starego?

— Nie mam pojęcia. Ale przypuszczam, że ktokolwiek to zrobił, podrzucił rewolwer do mojej szuflady. Musiał nas dokładnie obserwować.

— Ten cały *séance* był cholernie dziwny. „Nie wracaj do domu”. Ta wiadomość skierowana była do starego Westa. Wrócił do domu i został zastrzelony.

— Mogła też być skierowana do mnie — stwierdził Dermot. — Wróciłem do domu i znalazłem podrzucony rewolwer oraz inspektora policji.

— No cóż, mam nadzieję, że mnie nie spotka nic złego — powiedział Trent. — Jesteśmy na miejscu.

Zapłacił za taksówkę, otworzył drzwi frontowe i poprowadził Dermota po ciemnych schodach do swego gabinetu, małego pokoju na pierwszym piętrze.

Otworzył drzwi, puścił gościa przodem, wszedł za nim i zapalił światło.

— Tu jesteś na razie bezpieczny — oznajmił. — Teraz możemy zastanowić się wspólnie, co należy zrobić.

— Zrobiłem z siebie durnia — stwierdził nagle Dermot. — Powinienem być zostać w domu i stawić czoło oskarżeniom. Teraz widzę wszystko o wiele wyraźniej. Padłem ofiarą czyjegoś podstęp. Z czego do diabła się śmiejesz?

Trent rozwalony w fotelu, trząsł się od niepowstrzymanego chichotu. W jego głosie i wyglądzie było coś przerażającego, a w oczach pojawiły się niezdrowe błyski.

— Cholernie sprytny podstęp — wykrztusił. — Dermot, mój stary, jesteś skończony.

Przysunął do siebie telefon.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał Dermot.

— Zadzwoń do Scotland Yardu. Powiedzieć im, że ptaszek się znalazł i jest zamknięty w klatce. Tak, zamknąłem drzwi, a klucz znajduje się w mojej kieszeni. Nie patrz na drugie drzwi, które widzisz za moimi plecami. Prowadzą one do pokoju Claire, a ona zawsze zamyka je od swojej strony. Widzisz, boi się mnie. Boi się już od dłuższego czasu. Zawsze wie, kiedy zacznę myśleć o tym nożu, o długim, ostrym nożu. Nie, nie ruszaj się...

Dermot zamierzał się na niego rzucić, ale w ręku Trenta pojawił się nagle groźnie wyglądający rewolwer.

— To drugi — zachichotał. — Pierwszy podrzuciłem do twojej szuflady... ten, z którego zastrzeliłem starego Westa. Na co patrzysz? Na te drzwi? Nic ci z tego nie przyjdzie. Nawet gdyby Claire je otworzyła... a tobie mogłaby je otworzyć... strzelę do ciebie, zanim do nich podejdziesz. Nie w serce, nie tak, i żeby cię zabić. Zranię cię tylko, żebyś nie mógł uciec. A jak wiesz, doskonale strzelam. Kiedyś ocaliłem ci życie. No cóż, byłem głupcem. Nie... chcę, żeby cię powieszono... tak, powieszono. Nóż nie jest przeznaczony dla ciebie, tylko dla Claire... pięknej Claire, takiej alabastrowej i delikatnej. Stary; West wiedział o wszystkim. Po to właśnie przyszedł tu dziś wieczorem; żeby stwierdzić czy jestem obłąkany, czy nie. Chciał mnie zamknąć w zakładzie... żebym nie zabił Claire tym nożem. Ale ja byłem bardzo przebiegły. Zabrałem jego i klucz... twój również. Wymknąłem się z dancingu zaraz po przybyciu do Grafton Galleries. Widziałem jak opuszczasz jego dom, więc otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Zastrzeliłem go i natychmiast się oddaliłem. Potem pojechałem do ciebie i podrzuciłem ten rewolwer. Wróciłem do Grafton Galleries niemal równocześnie z tobą, a kiedy się żegnaliśmy, włożyłem ci do kieszeni klucz od twojego mieszkania. Mówię ci to wszystko bez obaw. Nikt nas nie słyszy, a kiedy będą cię wieszać, chcę żebyś wiedział, że mnie to zawdzięczasz... Boże, jakie to zabawne! O czym myślisz? Na co do diabła patrzysz?

— Myślę o tym, co przed chwilą powiedziałeś. Zrobiłbyś lepiej nie wracając do domu.

— Dlaczego?

— Obejrzyj się! — Trent odwrócił głowę. W drzwiach sąsiedniego pokoju stała Claire... a obok niej inspektor Verall.

Trent był szybki. Jego rewolwer przemówił tylko raz... a kula trafiła do celu. Upadł na stolik. Inspektor podbiegł pospiesznie i pochylił się nad nim, a Dermot patrzył na Claire. Miał wrażenie, że wszystko to dzieje się we śnie. Przez głowę przebiegały mu chaotyczne myśli. Stryj... ich kłótnia... straszliwe nieporozumienie... angielskie prawo rozwodowe, uniemożliwiające Claire uwolnienie się od obłąkanego męża....wszyscy powinniśmy jej współczuć"... jej spisek z Sir Alingtonem, który rozszyfrował przebiegły Trent... jej okrzyk: „nikczemne, nikczemne, nikczemne!” Tak, ale teraz...

Inspektor wyprostował się.

— Nie żyje — oznajmił z żalem.

— Nic dziwnego — odparł Dermot. — Zawsze był dobrym strzelcem...

Ten czwarty

Kanonik Parfitt trochę się zadyszał. Gonienie za pociągami nie jest zajęciem dla mężczyzny w tym wieku. Nie był już tak szczupły jak kiedyś, a utracie smukłej sylwetki towarzyszyła skłonność do zadyszki. Napomykając o tej skłonności, mówił zawsze z godnością: „Rozumiecie, moje serce!”

Z westchnieniem ulgi usiadł w kącie przedziału pierwszej klasy. Ciepło ogrzewanego wagonu wydało mu się bardzo na czasie. Na dworze padał śnieg. „Mam szczęście — pomyślał — że na tę długą nocną podróż udało mi się znaleźć miejsce w kącie przedziału. Byłoby okropne, gdybym siedział gdzie indziej. W tym pociągu powinien być wagon sypialny”.

Trzy pozostałe kąty były już zajęte i kanonik Parfitt zauważył, że siedzący w przeciwległym rogu mężczyzna uśmiecha się do niego serdecznie, jakby go rozpoznawał. Był gładko ogolony, miał zabawny wyraz twarzy i lekko siwiejące na skroniach włosy. Swoim wyglądem do tego stopnia przypominał prawnika, że nikt nawet przez chwilę nie mógłby go wziąć za człowieka innej profesji. I rzeczywiście Sir George Durand był bardzo znanym prawnikiem.

— I co, panie Parfitt — zauważył pogodnie. — Nabiegał się pan, prawda?

— Niestety, a jest to fatalne dla mojego serca — stwierdzili kanonik. — Cóż za niespodziewane spotkanie, Sir George. Czy jedzie pan daleko na północ?

— Newcastle — rzucił krótko Sir George. — Nawiasem mówiąc — dodał — czy zna pan doktora Campbella Clarka?

Mężczyzna siedzący po tej samej stronie przedziału co kanonik, uprzejmie skinął głową.

— Spotkaliśmy się na peronie — ciągnął prawnik. — Jeszcze jeden zbieg okoliczności.

Kanonik Parfitt spojrział na doktora Campbella Clarka z żywym zainteresowaniem. Często słyszał to nazwisko. Doktor Clark był znanym lekarzem i specjalistą chorób umysłowych, a jego ostatnia publikacja, zatytułowana: „Problem podświadomości”, stała się najbardziej kontrowersyjną książką roku.

Doktor Clark miał wydatną szczękę, spokojne niebieskie oczy i rudawe, nie tknięte siwizną, lecz gwałtownie rzednące włosy. Stwarzał wrażenie człowieka o silnej osobowości.

Drogą naturalnych skojarzeń, kanonik spojrział na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niego, jakby spodziewając się, że okaże się to również ktoś znajomy. Ale czwarty pasażer był człowiekiem zupełnie obcym... Cudzoziemiec — pomyślał Parfitt. Nieznajomy był szczupłym, niepozornym brunetem. Owinięty obszernym płaszczem robił wrażenie pogrążonego we śnie.

— Kanonik Parfitt z Bradchester? — spytał doktor Campbell Clark.

Duchownemu sprawiło to nieskrywaną przyjemność. Jego „naukowe kazania” nabrały wielkiego rozgłosu, szczególnie odkąd zaczęto o nich pisać w prasie. No cóż, tego właśnie potrzebował Kościół... współczesnego podejścia do życia.

— Przeczytałem pańską książkę z dużym zainteresowaniem, doktorze Clark — powiedział Parfitt. — Choć niektóre zawarte w niej sformułowania fachowe są dla mnie za trudne.

— Czy woli pan rozmawiać, czy spać? — spytał Durand. — Wyznam od razu, że cierpię na bezsenność i stąd wolę mawiać.

— Och, oczywiście! Chętnie się zgadzam — odparł kanonik — Rzadko sypiam podczas tych nocnych podróży, a książka którą wzięłem ze sobą jest bardzo nudna.

— Stanowimy ciekawy przekrój społeczeństwa — zauważył doktor, uśmiechając się. — Przedstawiciele kościoła, prawa i medycyny.

— Niewiele jest spraw, o których nie moglibyśmy dyskutować, prawda? — stwierdził ze śmiechem Durand. — Kościół będzie reprezentował podejście duchowe, ja — całkowicie świeckie podejście prawnicze, a pan, doktorze — najszerszy zakres tematów, od kwestii czysto patologicznych do superpsychologicznych! Razem jesteśmy w stanie zaprezentować wszechstronne podejście do każdego tematu.

— Chyba nie tak wszechstronne, jak pan to sobie wyobraża — powiedział doktor Clark. — Istnieje jeszcze jeden punkt widzenia, który pan pominął, choć jest on bardzo ważny.

— To znaczy? — spytał prawnik.

— Punkt widzenia Człowieka z Ulicy.

— Czy to istotnie aż takie ważne? Czyż Człowiek z Ulicy zazwyczaj się nie myli?

— Och, prawie zawsze. Ale ma coś, czego brakuje wszystkim ekspertom... własny punkt widzenia. Bądź co bądź nie można uciec od związków osobistych. Odkrycie to zawdzięczam memu zawodowi. Na każdego naprawdę chorego pacjenta przypada co najmniej pięciu, którym nie dolega nic, oprócz niemożności szczęśliwego współżycia z innymi domownikami. Określają to rozmaicie, wynajdują najróżnorodniejsze wyimaginowane przypadłości, a tymczasem wszystko sprowadza się do konfliktu osobowości.

— Ma pan zapewne wielu pacjentów, którzy skarżą się na „nerwy” — zauważył duchowny z poczuciem wyższości. Jego własne nerwy były w znakomitym stanie.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zachnął się doktor, odwracając szybko w jego stronę. — Nerwy! Ludzie kwitują to słowo śmiechem, podobnie jak pan. Mówią: „Temu a temu nic nie dolega. To tylko nerwy”. Ale, na Boga, w tym tkwi istota rzeczy! Można uleczyć dolegliwość czysto fizyczną, lecz do dziś nie udało nam się dowiedzieć więcej o ukrytych przyczynach różnych odmian chorób nerwowych niż wiedzieliśmy... powiedzmy, za rządów królowej Elżbiety I!

— Mój Boże — westchnął kanonik Parfitt, nieco zdumiony tym wybuchem. — Więc tak to naprawdę wygląda?

— Proszę zauważyć, że to i tak postępek — ciągnął doktor. — Dawniej uważaliśmy człowieka za zwykłe zwierzę, posiadające ciało oraz psychikę i zajmowaliśmy się przede wszystkim tym pierwszym.

— Ciało, psychikę i duszę — poprawił go łagodnie kanonik.

— Duszę? — Doktor uśmiechnął się dziwnie. — Cóż wy, duchowni, rozumiecie pod pojęciem duszy? Nigdy nie określiliście tego zupełnie jasno. Od tylu wieków boicie się podać ścisłą jej definicję.

Kanonik odchrząknął, przygotowując się do zabrania głosu, ale ku jego ubolewaniu nie dano mu do tego okazji.

— Czy jesteście przynajmniej pewni — kontynuował doktor — że to słowo brzmi dusza, a nie duchy?

— Duchy? — powtórzył Sir George Durand, unosząc ze zdziwieniem brwi.

— Owszem. — Campbell Clark podniósł na niego wzrok. Wychylił się do przodu i postukał go lekko po klatce piersiowej. — Czy jest pan całkiem pewny — spytał poważnie — że tę budowlę okupuje tylko jeden lokator?... Bo w gruncie rzeczy tym właśnie ona jest... atrakcyjną rezydencją, którą można wynająć na siedem, dwadzieścia jeden, czterdzieści jeden, siedemdziesiąt jeden, czy ileś tam lat. W końcu lokator stopniowo wnosi swoje rzeczy, a potem całkiem się z niej wyprowadza, budowla zaś rozpada się i zostaje po niej tylko kupa gruzów. Człowiek jest właścicielem tego domu, to oczywiste, ale przecież uświadamia sobie obecność innych; służących, którzy poruszają się tak cicho, że ich nie słyszy, widzi tylko efekty ich pracy... pracy, z której wykonania zdaje sobie sprawy. Lub przyjaciół — nastrojów, które go opanowują i czynią z niego na jakiś czas tak zwaną inną osobę. Człowiek jest istotnie panem tego zamku, ale czy może być zupełnie pewien, że nie mieszka w nim również jakiś „ohydny zbir”?

— Drogi panie Clark — wycedził prawnik. — To, co pan mówi napawa mnie niepokojem. Czyżby mój umysł był rzeczywiście polem bitwy, na którym ścierają się sprzeczne osobowości? Czy to ostatnie odkrycie Nauki?

Teraz z kolei doktor wzruszył ramionami.

— Jest nim pańskie ciało — stwierdził oschle. — A skoro tak, to dlaczego nie może nim być również pański umysł?

— To bardzo ciekawe — wtrącił kanonik Parfitt. — Och! Nauka to wspaniała rzecz... naprawdę wspaniała!

I pomyślał w duchu: Będę mógł oprzeć na tej hipotezie niezwykle interesujące kazanie.

Doktor Campbell Clark rozparł się wygodnie na siedzeniu. Jego chwilowe podniecenie minęło.

— Prawdę mówiąc — zauważył bezosobowym tonem profesjonalisty — właśnie przypadek rozdzielenia osobowości każe mi dzisiejszej nocy jechać do Newcastle. Bardzo interesujący przypadek. Oczywiście u jego podłoża leży nerwica. Ale pacjent autentycznie wierzy w swoje przeżycia.

— Rozdzielenie osobowości — rzekł z namysłem Sir George Durand. — O ile wiem, zdarza się to dość często. Towarzys mu na ogół zanik pamięci, prawda? Wiem, że identyczna sprawa trafiła niedawno na wokandę sądową, w trakcie pewnego postępowania spadkowego.

Doktor Clark przytaknął.

— Klasycznym przykładem takiego przypadku była oczywiście sprawa Felicie Bault. Zapewne słyszeliście o niej, panowie?

— Naturalnie — odparł kanonik Parfitt. — Pamiętam, że czytałem o tym w gazetach... co prawda dość dawno, przynajmniej przed siedmiu laty.

Doktor Campbell Clark ponownie skinął głową.

— Ta dziewczyna stała się jedną z najbardziej znanych osób we Francji. Naukowcy z całego świata przyjeżdżali, by ją zobaczyć. Miała co najmniej cztery różne osobowości. Określano je jako Felicie 1, Felicie 2, Felicie 3 i tak dalej.

— Czy nie podejrzewano jakiejś celowej mistyfikacji? — spytał czujnie Sir George.

— Osobowości Felicie 3 i Felicie 4 budziły pewne wątpliwości — przyznał doktor. — Ale to, co najważniejsze pozostawało poza podejrzeniami. Felicie Bault była wiejską dziewczyną z Bretanii. Trzecią z pięciorga dzieci; córką ojca-pijaka i upośledzonej umysłowo matki. Ojciec, w jednym ze swych pijackich wybuchów, udusił matkę, i jeśli dobrze pamiętam, został skazany na dożywocie. Felicie miała wtedy pięć lat. Dziećmi zainteresowali się jacyś dobrzy ludzie; Felicie wychowywała i kształciła pewna angielska dama, panna Slater, prowadząca coś w rodzaju domu dla biednych dzieci. Niestety nie umiała ona powiedzieć o Felicie wiele dobrego. Opisywała ją jako nadzwyczaj nierozgarniętą i głupią dziewczynę, którą z największym trudem nauczono czytać i pisać, w dodatku nie posiadającą żadnych zdolności manualnych. Panna Slater próbowała przysposobić ją na służącą, i kiedy Felicie osiągnęła odpowiedni wiek, kilkakrotnie wynajdowała dla niej posadę, ale dziewczyna nigdzie nie zagrzała miejsca, ponieważ była nie tylko głupia, ale i niezwykle leniwa.

Doktor przerwał na chwilę, a kanonik, założywszy nogę na nogę i owinąwszy się dokładniej pledem podróznym, nagle zauważył, że siedzący naprzeciw niego pasażer z lekka się Poruszył. Jego zamknięte dotąd oczy otworzyły się, a czcigodny duchowny dostrzegł w nich trudny do określenia, niepokojąco szyderyczy wyraz. Odniósł wrażenie, że mężczyźni przysłuchiwał się ich rozmowie i jest rozbawiony tym, ci usłyszał.

— Istnieje fotografia Felicie Bault w wieku siedemnastu — ciągnął doktor. — Przedstawia ona

prymitywną, niezgrabną wiejską dziewczynę, w której wyglądzie nie ma nic, co zapowiadałoby, iż stanie się ona wkrótce jedną z najbardziej znanych osób we Francji.

W pięć lat później, kiedy była dwudziestodwuletnią kobietą, przeszła poważną chorobę nerwową, a po wyzdrowieniu wystąpiły u niej różne dziwne objawy. Znane są następujące fakty, potwierdzone przez wielu wybitnych naukowców. Osobowość zwana Felicie 1 niczym nie różniła się od tej Felicie Bault, jaką była ona na przestrzeni dwudziestu dwóch lat swego życia. Felicie 1 pisała źle i nieudolnie po francusku;! nie znała obcych języków i nie umiała grać na fortepianie Felicie 2, w przeciwieństwie do niej, mówiła biegle po włosku i całkiem dobrze po niemiecku. Jej charakter pisma nie przypominał w niczym charakteru pisma Felicie 1. Pisała płynnie po francusku, używając kwiecistego stylu. Potrafiła rozprawiać o polityce, sztuce i pasjami lubiła grać na fortepianie. Felicie 3 miała wiele cech wspólnych z Felicie 2. Była inteligentna i najwyraźniej wykształcona, ale stanowiła zupełne jej przeciwieństwo, jeśli chodzi o oblicze moralne. Była osobą całkowicie zdeprawowaną, i to zdeprawowaną na sposób paryski, a nie prowincjonalny. Znała biegle paryski *argot* i wyrażenia modne w eleganckim *demi-monde*. Posługiwała się wulgarnym językiem i drwiła z religii oraz tak zwanych porządnych ludzi, używając najbardziej bluźnierczych określeń. Istniała też Felicie 4, osoba nierozgarnięta, niemal przygłupia, bardzo pobożna, wykazująca podobno zdolność jasnowidzenia. Ale ta czwarta osobowość wydawała się mglista i niepełna do tego stopnia, że traktowano ją czasami jako świadomą mistyfikację ze strony Felicie 3 — coś w rodzaju złośliwego żartu na użytek łatwowiernych ludzi. Trzeba dodać, że każda osobowość, być może z wyjątkiem Felicie 4, była wyraźnie określona i odrębna, i nie zdawała sobie sprawy z istnienia pozostałych. Felicie 2 niewątpliwie dominowała i trwała niekiedy przez dwa tygodnie. Potem pojawiała się nagle na dzień lub dwa Felicie 1. Później Felicie 3 lub Felicie 4, ale żadna z nich nie pozostawała na ogół dłużej niż przez kilka godzin. Każdej zmianie towarzyszył dotkliwy ból głowy i głęboki sen oraz całkowity zanik pamięci tego, co przeżyła w pozostałych wcieleniach. Każda osobowość wkraczała w życie w momencie, w którym z niego odeszła, nie uświadamiając sobie upływu czasu.

— To niezwykle — mruknął Parfitt. — Naprawdę niezwykle. Nie wiemy dotąd prawie nic o tajemnicach wszechświata.

— Ale wiemy, że jest w nim sporo bardzo przebiegłych oszustów — wtrącił prawnik.

— Przypadek Felicie Bault badali nie tylko lekarze i naukowcy, lecz również prawnicy — dodał pospiesznie doktor Campbell Clark. — Jak pan zapewne pamięta, mecenas Quimbellier przeprowadził nadzwyczaj drobiazgowe dochodzenie i potwierdził poglądy naukowców. Bądź co bądź, dlaczego miałyby to nas tak bardzo zaskakiwać? Przecież zdarzają się jajka o dwóch żółtkach, prawda? I bliźniacze banany? Dlaczegoż więc nie miałyby istnieć podwójna dusza w jednym ciele?

— Podwójna dusza? — zaprotestował kanonik.

Doktor Clark spojrział na niego przenikliwie swymi niebieskimi oczami.

— A jak inaczej moglibyśmy to nazwać? Zakładając, oczywiście, że osobowość jest duszą.

— Jak to dobrze, że tego rodzaju przypadki to tylko wybryk natury — zauważył Sir George. — Gdyby stały się one powszechne, mogłyby to doprowadzić do strasznych komplikacji.

— Okoliczności istotnie były niezwykle — przyznał doktor. Wielka szkoda, że badania nie mogły być kontynuowane, ponieważ nagła śmierć Felicie położyła wszystkiemu kres.

— O ile dobrze pamiętam było w niej coś niesamowitego powiedział powoli prawnik.

Doktor Campbell Clark przytaknął ruchem głowy.

— Trudno to wyjaśnić. Pewnego ranka dziewczynę znaleziono martwą w jej własnym łóżku. Została najwyraźniej uduszona. Ale ku zdumieniu wszystkich dowiedziono ponad wszelką wątpliwość, że w rzeczywistości udusiła się sama! Ślady na szyi Felicie okazały się odciskami jej własnych palców. Taka metoda samobójstwa nie jest wprawdzie fizycznie niemożliwa, ale wymagała nadludzkiej siły mięśni i woli. Nigdy nie odkryto, co doprowadziło tę dziewczynę do tak ostatecznego kroku. Oczywiście była z pewnością niezrównoważona psychicznie. Tak wygląda prawda. Tajemnica Felicie Bault nie zostanie nigdy wyjaśniona.

W tym momencie siedzący w czwartym kącie przedziału mężczyzna, parsknął głośno śmiechem.

Pozostali trzej pasażerowie podskoczyli jak rażeni gromem. Zupełnie zapomnieli o istnieniu tego czwartego. Kiedy zwrócili wzrok w stronę miejsca, na którym siedział, nadal owinięty swym płaszczem, roześmiał się ponownie.

— Musicie mi wybaczyć, panowie — odezwał się doskonałą angielszczyzną, w której pobrzmiewał cudzoziemski akcent.

Wyprostował się i odsłonił swą bladą twarz, której dominujący element stanowiły kruczoczarne wąsiki.

— Tak, musicie mi wybaczyć — powtórzył, kłaniając się z przesadną uniżonością. — Ale doprawdy, czy w nauce można kiedykolwiek wypowiedzieć ostatnie słowo?

— Czyżby wiedział pan coś na temat przypadku, o którym rozmawialiśmy? — spytał uprzejmie doktor.

— Tego przypadku? Nie. Ale znałem tę dziewczynę.

— Felicie Bault?

— Zgadza się. I Annette Ravel. Widzę, że nigdy panowie nie słyszeli o Annette Ravel? A jednak historia jednej jest historią drugiej. Proszę mi wierzyć, nie wie się nic o Felicie Bault, jeśli nie zna się losów Annette Ravel.

Wyciągnął z kieszonki zegarek i rzucił okiem na tarczę.

— Mamy dokładnie pół godziny do następnej stacji. Zdążę więc opowiedzieć panom tę historię, o ile zechcecie mnie wysłuchać.

— Ależ z największą przyjemnością — oznajmił doktor.

— Będziemy zachwyceni — dodał duchowny. — Naprawdę zachwyceni.

Sir George Durand zamienił się w słuch.

— Nazywam się Raoul Letardeau — rozpoczął ich dziwny towarzysz podróży. — Przed chwilą rozmawialiście panowie o pewnej angielskiej damie, pannie Slater, która zajmowała się działalnością dobroczynną. Urodziłem się w tej bretońskiej, rybackiej wiosce, a kiedy moi rodzice zginęli w wypadku kolejowym, właśnie panna Slater przyszła mi z pomocą i uratowała mnie od tego, co wy w Anglii nazywacie przytułkiem. Miała pod opieką około dwudziestu dzieci, dziewcząt i chłopców. Znajdowały się wśród nich Felicie Bault i Annette Ravel. Jeśli nie uda mi się opisać wam, panowie, osobowości Annette, niczego nie zrozumiecie. Jej matka, tak zwana *fille de joie*, zmarła na gruźlicę, porzucona przez swego kochanka. Była tancerką, a Annette także pragnęła nią zostać. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy miała jedenaście lat. Była drobną dziewczynką, w której oczach malowały się na przemian drwina i obietnica, małym stworzeniem pełnym energii i życia. I od razu, tak, od razu, uczyniła mnie swym niewolnikiem. Zawsze mówiła: „Raoul, zrób dla mnie to. Raoul, zrób dla mnie tamto”. A ja posłusznie wykonywałem jej polecenia. Już wtedy ją uwielbiałem, a ona o tym wiedziała.

Chodziliśmy często na plażę, we troje, gdyż Felicie zwykle nam towarzyszyła. Annette zdejmowała buty i pończochy, i tańczyła na piasku. A kiedy padała bez tchu, opowiadała nam, czym zamierza, w przyszłości zostać i co robić.

„Wiecie — mówiła — będę sławna. Tak, niezwykle sławna. Będę mieć niezliczone ilości jedwabnych pończoch... z najdelikatniejszego jedwabiu. Będę mieszkać w pięknym apartamencie. Wszyscy moi kochankowie będą młodzi, przystojni i bogaci. A kiedy będę tańczyć, cały Paryż przyjdzie mnie podziwiać. Będą krzyczeć, wołać, wyc i szaleć z zachwytu. W zimie przestanę tańczyć. Wyjadę na południe, by rozkoszować się słońcem. Są tam wille otoczone drzewami pomarańczy. Jedna z nich będzie należała do mnie. Będę wylegiwać się w słońcu na jedwabnych poduszkach i jeść pomarańcze. Ale nigdy o tobie nie zapomnę, Raoul, choćbym była nie wiem jak sławna i bogata. Będę cię chronić i pomagać ci w twojej karierze. Felicie zostanie moją pokojówką... nie, jest zbyt niezdarna. Popatrz tylko jakie ma duże, szorstkie ręce”.

Felicie wybuchła wtedy gniewem. A Annette dalej z niej szydziła.

„Felicie jest prawdziwą damą: wytworną i subtelną. Jest księżniczką w przebraniu... cha! cha! cha!”

„Ale moi rodzice byli małżeństwem, czego nie można powiedzieć o twoich” — złośliwie odcinała się Felicie.

„Tak, i twój ojciec zabił twoją matkę. Jak to miło być córką mordercy”.

„A twój ojciec porzucił twoją matkę na pastwę losu” — odgryzała się Felicie.

„Ach, tak. — Annette popadła w zadumę. — *Pauvre Maman*” Trzeba być silnym i zdrowym. Tak, to jest najważniejsze: siła i zdrowie”.

„Ja jestem silna jak koń” — chełpiła się Felicie.

I rzeczywiście była. Miała dwukrotnie więcej sił niż jakakolwiek dziewczyna w Domu. I nigdy nie chorowała.

Była przy tym głupia, rozumiecie panowie, tępa niczym bezrozumne zwierzę. Często zastanawiałem się, dlaczego, wciąż jak zauroczona chodzi za Annette. Myślę, że niekiedy naprawdę jej nienawidziła, a Annette nie była, bynajmniej, dla niej dobra. Drwiła z jej powolności i głupoty i znęcała się nad nią w obecności innych. Nie raz widziałem jak Felicie bladła z wściekłości. Niekiedy bałem się, że zaciśnie palce na szyi Annette i udusi ją na śmierć. Nie była na tyle błyskotliwa, by rewanzować się Annette za jej złośliwości. Ale nauczyła się z czasem jednej niezawodnej repliki, która dotyczyła zdrowia i siły. Domyśliła się tego, co ja zawsze wiedziałem: że Annette zazdrości jej siły fizycznej i instynktownie uderzała w słaby punkt swej przeciwniczki.

Pewnego dnia Annette przyszła do mnie bardzo rozradowana.

„Raoul — oznajmiła. — Zabawimy się dzisiaj kosztem tej głupiej Felicie. Umrzemy ze śmiechu”.

„Co zamierzasz zrobić?”

„Chodź ze mną za tę szopę, to ci powiem”.

Okazało się, że Annette zdobyła pewną książkę, jakieś stare dzieło poświęcone hipnozie. Nie rozumiała niektórych jej fragmentów, gdyż książka ta była dla niej zbyt trudna.

„Piszą, że trzeba wziąć jakiś błyszczący przedmiot. Odkręciłam więc mosiężną gałkę od mojego łóżka. Wczoraj wieczorem pokazałam ją Felicie. — Patrz na nią uważnie — powiedziałam. — Nie odrywaj od niej wzroku. A potem zaczęłam obracać gałkę w palcach. Raoul, byłam przerażona. Jej oczy wyglądały tak niesamowicie... tak niesamowicie. — Felicie, będziesz zawsze robiła to, co ci każę — zapytałam. — Będę zawsze robiła to, co mi każesz, Annette — odparła. A potem... a potem... powiedziałam: — Jutro, punktualnie o dwunastej przyniesiesz na podwórko łojową świecę i zaczniesz ją jeść. A jeśli ktoś cię zapyta, odpowiesz, że jest to najlepszy *galette*, jaki kiedykolwiek miałaś w ustach. Och, Raoul, pomyśl tylko!”

— Ależ ona nigdy nie robi czegoś takiego” — zaprotestowałem.

„Tak piszą w tej książce. Sama nie do końca w to wierzę ale... och! Raoul, jeśli piszą w niej prawdę, to wspaniale się zabawimy!”

Ja również uważałem ten pomysł za bardzo zabawny. Opowiedzieliśmy o tym naszym kolegom i o dwunastej zebraliśmy się wszyscy na podwórku. Punktualnie co do minuty zjawiała się Felicie z ogarkiem świecy w rękę. Czy dacie wiarę, *Messieurs*, że zaczęła naprawdę ją nadgryzać? Byliśmy zaszokowani. Co jakiś czas któreś z dzieci podchodziło do niej i pytało z powagą: „Czy smakuje ci to, co jesz, Felicie?” — A ona odpowiadała: „Ależ tak, to jest najlepszy *galette*, jaki kiedykolwiek miałam w ustach”. Pękaliśmy ze śmiechu. Śmialiśmy się tak głośno, że hałas wyrwał ją z letargu. Zdała sobie sprawę z tego, co robi, zamrugła ze zdziwieniem oczami i spojrzała na świecę, a potem

na nas. Później przesunęła dłonią po czole.

„Co ja tu robię?” — wymamrotała.

„Jesz świecę” — wrzasnęliśmy.

„To ja kazałam ci ją jeść — zawołała Annette, tańcząc wokół niej. — Ja cię do tego zmusiłam”.

Felicie przez chwilę patrzyła w przestrzeń. Potem podeszła! wolno do Annette.

„A więc to ty... to ty mnie ośmieszyłaś? Tak, przypominam sobie. Och! Zabiję cię za to”.

Mówiła bardzo spokojnym tonem, ale Annette odbiegła od niej nagle i schowała się za moimi plecami.

„Ratuj mnie, Raoul! Boję się jej. To był tylko żart, Felicie. Tylko żart”.

„Nie znoszę takich żartów — stwierdziła Felicie. Rozumiesz? Nienawidzę cię. Wszystkich was nienawidzę”.

Wybuchnęła nagle płaczem i uciekła.

Anette przestraszył chyba rezultat tego eksperymentu, toteż nie próbowała go powtarzać. Ale od tego dnia jej wpływ na Felicie zaczął się nasilać. Teraz myślę, że Felicie zawsze nienawidziła Annette, ale mimo to nie potrafiła trzymać się od niej z dala. Chodziła za nią jak pies.

Wkrótce potem, Messieurs, znaleziono mi pracę i przyjeżdżałem do Domu tylko z okazji świąt. Nikt nie traktował poważnie marzeń Annette o karierze tancerki, ale kiedy podrosła okazało się, że ma bardzo ładny głos i panna Slater pozwoliła jej brać lekcje śpiewu.

Annette nie była leniwa. Ćwiczyła gorączkowo bez wytchnienia. Panna Slater musiała powstrzymać ją od zbyt wyczerpującej pracy. Pewnego razu zaczęła rozmawiać ze mną o swej podopiecznej.

„Zawsze lubiłeś Annette — powiedziała. — Przekonaj ją, by nie pracowała zbyt ciężko. Ostatnio nęka ją kaszel, który bardzo mi się nie podoba”.

Wkrótce potem moje obowiązki zawodowe zmusiły mnie do wyjazdu. Początkowo Annette pisywała do mnie od czasu do czasu, ale później umilkła. Pięć następnych lat spędziłem za granicą.

Po powrocie do Paryża, przypadkowo zwróciłem uwagę na afisz, zapowiadający występ Annette Ravelli. Kiedy zobaczyłem na nim jej podobiznę, natychmiast ją rozpoznałem. Wieczorem poszedłem do tego teatru. Annette śpiewała po francusku i po włosku. Była na scenie wspaniała. Po spektaklu udałem się do jej garderoby. Natychmiast mnie przyjęła.

„Och, Raoul! — zawołała, wyciągając do mnie swe upudrowane ręce. — To cudownie. Gdzie podziwiałeś się przez te wszystkie lata?”

Chciałem odpowiedzieć, ale w gruncie rzeczy nie zależało jej, by to usłyszeć.

„Widzisz, jestem już tak blisko celu!”

Triumfalnym gestem pokazała mi wnętrze garderoby, wypełnione bukietami kwiatów.

„Pocziwa panna Slater musi być dumna z twoich sukcesów”.

„Ta stara? Ależ skąd. Wiesz, ona chciała, żebym studiowała w konserwatorium i śpiewała na uroczystych koncertach. Ale ja jestem artystką. Właśnie tu, w teatrze rewiowym, mogę wyrazić samą siebie”.

W tym momencie wszedł do garderoby przystojny mężczyzna w średnim wieku. Wyglądał dystyngowanie. Widząc jego zachowanie zorientowałem się od razu, że jest jej protektorem. Spojrzał na mnie z ukosa.

„To mój przyjaciel z dzieciństwa — wyjaśniła Annette. — Przejeżdżając przez Paryż, zobaczył na afiszu moje zdjęcie *et voilá!*”

Mężczyzna stał się bardzo uprzejmy. W mojej obecności wyjął z kieszeni bransoletkę wysadzaną rubinami i brylantami i zapiął ją na nadgarstku Annette. Kiedy szykowałem się do wyjścia, spojrzała na mnie triumfalnie i szepnęła:

„Dopięłam swego, widzisz? Cały świat stoi przede mną otworem”.

Ale wychodząc z garderoby, usłyszałem jej ostry, suchy kaszel. Wiedziałem, co to oznacza. Odziedziczyła go po chorej na gruźlicę matce.

Ponownie zobaczyłem Annette dopiero po dwóch latach. Schroniła się wtedy u panny Slater. Jej kariera była przekreślona. Miała zaawansowaną gruźlicę, a lekarze orzekli, że jej stan jest beznadziejny.

Och! Nigdy nie zapomnę tego widoku! Leżała w ogrodowej altanie. Trzymano ją na dworze w dzień i w nocy. Jej zapadnięte policzki pokrywał niezdrowy rumieniec, a oczy błyszczały gorączkowo. Ciągłe kaszlała.

Kiedy mnie powitała, dostrzegłem w niej desperację, która mnie przeraziła.

„Miło cię widzieć, Raoul. Wiesz, co oni mówią?... Że może już nigdy nie wyzdrowieję. Mówią to za moimi plecami, rozumiesz? Rozmawiając ze mną, uspokajają mnie i pocieszają. Ale to nieprawda, Raoul, to nieprawda! Nie pozwolę sobie umrzeć. Umrzeć? Teraz, kiedy czeka mnie tak piękna przyszłość? Najważniejsza jest wola życia. Tak twierdzą obecnie wszyscy wielcy lekarze. Nie należę do słabych, którzy łatwo rezygnują. Już teraz czuję się nieporównanie lepiej... nieporównanie lepiej, czy słyszysz?”

Uniosła się na łokciu, by podkreślić wymowę swoich słów, a potem opadła na poduszki w ataku kaszlu, który wstrząsał jej szczupłym ciałem.

„Ten kaszel... to nic takiego — powiedziała, z trudem chwytając powietrze. — Krwotoki też mnie nie przerażają. Jeszcze zaskoczę tych lekarzy. Liczy się tylko siła woli. Pamiętaj, Raoul, zamierzam żyć”.

To było żalosne, naprawdę żalosne.

W tym momencie pojawiła się Felicie Bault z tacą, na której stała szklanka gorącego mleka. Podała szklankę Annette a potem patrzyła jak ta pije. Nie potrafiłem zgłębić wyrazu jej twarzy. Malowało się na niej coś w rodzaju złośliwej satysfakcji.

Annette też dostrzegła to spojrzenie. Z wściekłością strąciła szklankę, która rozbiła się na kawałki.

„Widzisz ją? Zawsze tak na mnie patrzy. Cieszy się, że mam umrzeć! Tak, jest z tego bardzo zadowolona. Ona, zdrowa i silna! Spójrz na nią, nigdy w życiu nie chorowała, nawet przez jeden dzień! A wszystko to na nic. Co z tego, że jest taka duża i mocna? Co jej z tego przyjdzie?”

Felicie schyliła się i zaczęła zbierać kawałki potłuczonej szklanki.

„Nie przejmuję się tym, co ona wygaduje — odezwała się wreszcie bezbarwnym głosem. — Jakie to ma znaczenie? Ja jestem uczciwą dziewczyną, ot co. Nie tak jak ona. Ona niedługo odpokutuje za swoje grzechy w czyścicu. Jestem chrześcijanką, więc nic nie mówię”.

— Nienawidzisz mnie! — krzyknęła Annette. — Zawsze mnie nienawidziłaś! Ach, ale ja i tak potrafię cię zauroczyć. Mogę cię zmusić do robienia tego, co zechcę. Gdybym cię teraz poprosiła, uklęknąbyś przede mną tu, na trawie”.

„Głupstwa gadasz” — powiedziała Felicie z zakłopotaniem.

„Ależ tak, zrobisz to. Zrobisz. Żeby sprawić mi przyjemność. Uklęknij. Proszę cię o to, ja, Annette. Na kolana, Felicie”.

Nie wiem, czy wpłynął na to błagalny ton jej głosu, czy jakiś głębszy motyw, ale Felicie usłuchała. Osunęła się powoli na kolana, rozpościerając ramiona. Na jej twarzy malowały się bezmyślność i głupota.

Annette odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się perlistym śmiechem.

„Spójrz na nią, na tę bezmyślną twarz! Popatrz jaka jest śmieszna. Możesz już wstać, Felicie, dziękuję! Niepotrzebnie się na mnie boczysz. Jestem twoją panią. Musisz robić to, co ci każe”.

Wyczerpana opadła na poduszki. Felicie wzięła tacę i powoli odeszła. Raz obejrzała się przez ramię, a ja, widząc w jej oczach błysk nienawiści, znów poczułem lęk.

Nie byłem przy śmierci Annette. Ale podobno było to straszne. Rozpaczliwie trzymała się życia. Walczyła ze; śmiercią jak oszalała. Wciąż powtarzała, ciężko dysząc: „Ja nie umrę... czy mnie słyszycie? Nie umrę. Będę żyła... żyła...”

Panna Slater opowiedziała mi to wszystko, kiedy w sześć miesięcy później przyjechałem do niej z wizytą.

„Mój biedny Raoul — zwróciła się do mnie życzliwie. — Kochałeś ją, prawda?”

„Zawsze... zawsze. Ale cóż mogłem dla niej zrobić? NI mówmy o tym. Ona nie żyje... ona, taka utalentowana, pełna życia...”

Panna Slater była taktowną kobietą. Zaczęła mówić o innych sprawach. Powiedziała mi, że jest poważnie zaniepokojona stanem Felicie. Dziewczyna przeżyła jakieś zagadkowe załamanie nerwowe i od tej pory zachowywała się bardzo dziwnie.

„Czy wiesz — dodała panna Slater po chwili wahania — że ona uczy się grać na fortepianie?”

Nie wiedziałem o tym i wiadomość ta bardzo mnie zaskoczyła. Felicie gra na fortepianie! Mógłbym przysiąc, że ta dziewczyna nie potrafi nawet odróżniać dźwięków.

„Podobno ma talent — ciągnęła panna Slater. — Nie jestem w stanie tego pojąć. Zawsze uważałam ją za... no cóż, Raoul, przecież wiesz... za głupią dziewczynę”. Przytaknąłem ruchem głowy. „Zachowuje się niekiedy tak dziwnie... naprawdę nie wiem, co o tym sądzić”.

W kilka minut później wszedłem do *Salle de Lecture*. Felicie grała na fortepianie melodię jednej z piosenek, które słyszałem w wykonaniu Annette w Paryżu. Zdajecie sobie chyba sprawę, Messieurs, że byłem wstrząśnięty. A potem, kiedy zauważyła moją obecność, nagle przerwała i spojrzała na mnie, a ja dostrzegłem w jej oczach przekorną inteligencję. Przez chwilę myślałem... mniejsza o to, nie powiem panom, co myślałem.

„*Tiens!* — zwróciła się do mnie. — Więc to pan... *Monsieur Raoul*”.

Nie potrafię opisać sposobu, w jaki to powiedziała. Dla Annette nigdy nie przestałem być po prostu Raoulem. Felicie natomiast, odkąd spotkaliśmy się jako dorośli, zawsze mówiła do mnie *Monsieur Raoul*. Ale teraz zabrzmiało to w jej ustach jakoś inaczej... jakby słowo *Monsieur*, lekko zaakcentowane, wydawało jej się zabawne.

„Ależ Felicie — wyjąkałem. — Wyglądasz dzisiaj zupełnie inaczej”.

„Naprawdę? — spytała z namysłem. — To zadziwiające. Ale nie bądź taki poważny, Raoul... postanowiłam mówić do ciebie Raoul... czyż nie bawiliśmy się razem jako dzieci?... Życie jest zabawne. Porozmawiajmy o biednej Annette... która umarła i została pochowana. Chciałabym wiedzieć, czy jest teraz w czyścicu czy gdzieś indziej”.

Zanuciła fragment innej piosenki... niezbyt wprawnie, ja zwróciłem uwagę na słowa.

„Felicie — zawołałem. — To ty znasz włoski?”

„A dlaczegoż by nie, Raoul? Może nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam”.

Widząc moje osłupienie wybuchnęła śmiechem.

„Nie rozumiem...” — zacząłem.

„Więc ci powiem. Jestem świetną aktorką, choć nikt tego nie podejrzewa. Potrafię grać wiele ról... i to grać bardzo dobrze”.

Zaśmiała się ponownie i wybiegła z sali tak szybko, że niej zdążyłem jej zatrzymać.

Przed wyjazdem widziałem ją jeszcze raz. Spała, siedząc w fotelu. Głośno chrapała. Przyglądałem jej się, czując jednocześnie fascynację i niechęć. Nagle obudziła się. Spojrzała mi w oczy tępym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

„*Monsieur Raoul*” — mruknęła odruchowo.

„Tak, Felicie, zaraz wyjeżdżam. Czy zechcesz raz jeszcze dla mnie zagrać?”

„Ja? Zagrać? Wyśmiewa się pan ze mnie, *Monsieur Raoul*”.

„Jak to, nie pamiętasz, że grałaś dla mnie dziś rano?”

Potrząsnęła głową.

„Ja miałabym grać? Skąd taka biedna dziewczyna jak ja umiałaby grać na fortepianie?”

Milczała przez chwilę pogrążona w myślach, po czym przywołała mnie gestem.

„*Monsieur Raoul* — powiedziała, kiedy podszedłem bliżej — w tym domu dzieją się dziwne rzeczy! Oni robią różne sztuczki. Przystawiają zegary. Tak, tak, wiem, co mówię, wszystko jej sprawka”.

„Czyja?”

„Tej Annette. Tej niedobrej dziewczyny. Kiedy żyła ciągle mnie dręczyła. Teraz, po śmierci, wraca z za grobu, żeby dalej mnie dręczyć”.

Spojrzałem na nią uważnie. Dostrzegłem w jej wzroku lęk, wręcz przerażenie.

„Ona jest niedobra. Mówię panu... ona jest niedobra. Odjęłaby człowiekowi chleb od ust, zdana mu ubranie z grzbietu, wydarła duszę z ciała...” Nagle chwyciła mnie kurczowo za rękę. „Boję się, mówię panu... naprawdę się boję. Słyszę jej głos... nie w uszach... nie, nie w uszach. Tu, w mojej głowie... — Popukała się w czoło. — Ona mnie stąd wygna... wygna mnie stąd na zawsze, i co wtedy zrobię, co się ze mną stanie?”

Jej głos przerodził się niemal w skowyt. Miała wzrok dzikiego, zaszczutego zwierzęcia...

Nagle uśmiechnęła się. Był to uśmiech przebiegłej chłopki. Miał w sobie coś, co przyprawiło mnie

o dreszcz.

„Gdyby do tego doszło, *Monsieur Raoul*, to mam bardzo silne ręce... naprawdę bardzo silne”.

Nigdy przedtem nie zwróciłem szczególnej uwagi na jej dłonie. Spojrzałem na nie teraz i mimo woli zadrzałem. Jej grube, krótkie... i jak powiedziała sama Felicie, bardzo mocne palce, wyglądały niemal jak szpony... Nie potrafię opisać panom uczucia odrazy, jakie wzbudził we mnie ich widok. Takimi właśnie rękami ojciec Felicie musiał udusić jej matkę...

Było to moje ostatnie spotkanie z Felicie Bault. Zaraz potem wyjechałem za granicę... do Ameryki Południowej. Wróciłem stamtąd w dwa lata po jej śmierci. Czytałem w gazetach o jej życiu i nagłym zgonie. Dzisiaj poznałem bliższe szczegóły... od was, panowie! Felicie 3 i Felicie 4... kto wie? Była dobrą aktorką?

Pociąg gwałtownie zwolnił. Raoul Letardeau podniósł się płaszcz.

— A co wy o tym sądzicie? — spytał prawnik, pochylając się do przodu.

— Nie bardzo mogę uwierzyć... — zaczął kanonik Parfitt i przerwał.

Doktor milczał. Przyglądał się uważnie nieznanemu.

— „... ubranie z grzbietu... duszę z ciała...” — zacytował cicho Francuz i wstał. — Powiadam wam, Messieurs, że historia Felicie Bault jest historią Annette Ravel. Nie znaliście jej, panowie, lecz ja ją znałem. Bardzo kochała życie...

Stojąc już w drzwiach przedziału, odwrócił się nagle i popukał kanonika po klatce piersiowej.

— Obecny tu *Monsieur le docteur* powiedział niedawno, że to wszystko... — Dźgnął duchownego palcem w żołądek tak mocno, że kanonik skrzywił się z bólu. — ... jest tylko rezydencją. Proszę mi powiedzieć, co pan robi, jeśli zastanie pan w swojej rezydencji włamywacza? Zastrzeli go pan?

— Nie — krzyknął Parfitt. — Na pewno nie... to znaczy... nie w naszym kraju.

Ale ostatnie słowa padły już w próżnię. Drzwi przedziału zatrzęsły się z hałasem.

Duchowny, prawnik i doktor zostali sami. Miejsce w czwartym kącie przedziału było wolne.

Cyganka

Macfarlane niejednokrotnie miał okazję zauważyć, że jego przyjaciel Dickie Carpenter odczuwa dziwną niechęć do Cyganów. Nie znane mu były tego przyczyny. Ale gdy zaręczyny Dickie'ego z Esther Lawes zostały zerwane, obaj młodzi ludzie jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli.

Mniej więcej przed rokiem Macfarlane oświadczył się Rachel, młodszej siostrze Esther. Znał obie córki państwa Lawes od dzieciństwa. Zawsze powolny i nieśmiały, wstydził się przyznać, nawet przed samym sobą, że dziecinna twarz i szczerze, piwne oczy Rachel coraz bardziej go pociągają. Nie była tak piękna jak Esther. Ale nieporównanie bardziej autentyczna i czuła. Kiedy Dickie poprosił o rękę starszej panny Lawes, przyjaźń między dwoma mężczyznami wyraźnie się zacieśniła.

Teraz, po upływie zaledwie kilku tygodni, zaręczyny zostały zerwane, a Dickie, prostoduszny Dickie, ciężko to przeżył. Dotąd wszystko w jego życiu układało się pomyślnie. Postąpił słusznie wybierając karierę w marynarce wojennej. Miał wrodzony pociąg do morza. Było w nim coś z Wikinga: jako człowiek otwarty i bezpośredni nie wdawał się w subtelne rozważania. Należał do tej kategorii młodych Anglików, którzy nie lubią okazywać uczuć i nie potrafią przełożyć swego procesu myślowego na język słów.

Macfarlane, beznamiętny Szkot, nie uzewnętrzniający swej celtyckiej wyobraźni, palił papierosa i słuchał przyjaciela dryfującego po morzu słów. Czuł, że nadchodzi chwila wyznań. Spodziewał się jednak, że dotyczyć one będą innego tematu. Jego przyjaciel nie wspomniał dotąd o Es—ther Lawes. Zdawał się opowiadać mu historię dziecięcego lęku.

— Wszystko zaczęło się od snu, który miałem jako dziecko. Właściwie nie był to koszmar. Ona... no wiesz, ta Cyganka... pojawiała się we wszystkich moich snach... nawet w tych miłych (rozumiesz, co dziecko uważa za miły sen — jakieś przyjęcie, łakocie i tak dalej). Świetnie się bawiłem, ale potem czułem... wiedziałem, że gdy podniosę wzrok, zobaczę ją... że jak zwykle będzie tam stała, obserwując mnie... Miała tak smutne oczy... jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem... Nie potrafię pojąć, dlaczego tak mnie to przerażało... Ale tak było! Za każdym razem! Budziłem się, becząc ze strachu, a moja stara niańka mówiła: „No proszę! Paniczowi Dickie'emu znów przyśniła się ta Cyganka!”

— Może przestraszyli cię kiedyś prawdziwi Cyganie?

— Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Cyganę dopiero później. To również niezwykła historia. Goniłem mojego pieska, który uciekał. Wypadłem przez ogrodową furtkę i pobiegłem jedną z leśnych ścieżek. Jak zapewne wiesz, mieszkaliśmy wtedy w New Forest. Dotarłem do jakiejś polany i dostrzegłem drewniany mostek nad strumieniem. Tuż obok niego stała Cyganka w czerwonej chustce na głowie... ta sama, która pojawiała się w moim śnie. Natychmiast poczułem strach! Popatrzyła na mnie... zrozum, to było to samo spojrzenie... jakby wiedziała coś, czego nie wiedziałem ja i było jej przykro z tego powodu... A potem powiedziała łagodnie, kiwając do mnie głową: Na pańskim miejscu nie szłabym tędy. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale śmiertelnie mnie to przerażyło.

Wyminąłem ją i wbiegłem na mostek. Musiał być spróchniały. Tak czy owak zarwał się pode mną, a ja wpadłem do rwącego strumienia i omal nie utonąłem. To było okropne. Nigdy tego nie zapomniałem. I czułem, że ma to jakiś związek z tą Cyganką...

— Chociaż cię ostrzegła?

— Można chyba tak to ująć. — Dickie przerwał, a potem ciągnął dalej: — Opowiedziałem ci o moim śnie nie dlatego, że ma on związek z tym, co wydarzyło się później (bo nie przypuszczam, żeby miał), ale dlatego, że jest on jakby punktem wyjścia. Teraz już chyba rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc o „cygańskiej obsesji”. Przejdę więc do tego pierwszego wieczoru u państwa Lawes. Wróciłem właśnie z Zachodniego Wybrzeża. Ogromnie cieszyłem się, że jestem znów w Anglii. Państwo Lawes przyjaźnili się od dawna z moją rodziną. Ostatni raz widziałem ich córki, kiedy miałem siedem lat, ale Arthur był moim serdecznym przyjacielem. Kiedy umarł, Esther pisywała do mnie i przysyłała mi gazety. Jej listy, bardzo pogodne i zabawne, ogromnie podnosiły mnie na duchu. Zawsze żałowałem, że moje odpowiedzi nie są równie błyskotliwe. Miałem wielką ochotę ją zobaczyć. Wydawało mi się dziwne, że znam tę dziewczynę dobrze, ale tylko z jej listów. No więc zaraz po powrocie udałem się z wizytą do państwa Lawes. Kiedy przyszedłem, Esther nie było, ale miała niebawem wrócić. Podczas kolacji siedziałem obok Rachel, a kiedy popatrzyłem na długi stół, doznałem dziwnego uczucia. Odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wprawilo mnie to w zażenowanie. Potem zobaczyłem ją...

— Kogo?

— Panią Haworth... przecież to o niej ci opowiadam. Macfarlane miał już na końcu języka słowa: „Myślałem, że opowiadasz mi o Esther Lawes”. Zachował jednak milczenie.

— Było w niej coś — ciągnął Dickie — co odróżniało ją od wszystkich pozostałych osób. Siedziała obok starego pana Lawes i pochyliwszy głowę przysłuchiwała się temu, co mówi, z wielką uwagą. Miała na szyi chustkę z czerwonego tiulu, która chyba się przesunęła, bo jej róg sterczał z tyłu jak język ognia...

— Kim jest ta kobieta? — spytałem Rachel. — Ta brunetka w czerwonej chustce?

— Masz na myśli Alistair Haworth? Ona ma wprawdzie czerwoną chustkę. Ale jest blondynką. Bardzo jasną blondynką.

— I wyobraź sobie, że tak właśnie było. Miała piękne. lśniące, złotoblond włosy. A ja jeszcze przed chwilą mógłbym przysiąc, że jest brunetką. Wzrok płata człowiekowi dziwne figle... Po kolacji Rachel przedstawiła nas sobie i zaczęliśmy spacerować po ogrodzie. Rozmawialiśmy o reinkarnacji...

— Ależ, Dickie, to do ciebie zupełnie niepodobne!

— Raczej nie. Powiedziałem, jeśli dobrze pamiętam, iż wiara w reinkarnację pozwala nam wyjaśnić w sposób logiczny, dlaczego stykając się z niektórymi ludźmi po raz pierwszymi mamy wrażenie, że ich dobrze znamy... że spotkaliśmy ich już przedtem... A ona zapytała: „Ma pan na

myśli kochanków...” Ton, jakim to wypowiedziała, zdziwił mnie... było w nim coś łagodnego, a zarazem pełnego entuzjazmu. Z czymś mi się on kojarzył, ale nie mogłem sobie przypomnieć z czym. Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę, po czym stary pan Lawes zawołał nas z tarasu, oznajmiając, że wróciła Esther i chce się ze mną zobaczyć. Pani Haworth położyła dłoń na moim ramieniu i spytała: „Czy idzie pan tam?” „Owszem — odparłem. — Chyba tak...” I wtedy... i wtedy...

— Co wtedy?

— To zabrzmiało okropnie głupio. Wtedy pani Haworth powiedziała: „Na pańskim miejscu nie wchodziłabym do tego domu...” — Przerwał. — Wiesz, to mnie przestraszyło... bardzo przestraszyło. Dlatego właśnie opowiedziałem ci o moim śnie... Bo widzisz, powiedziała to w ten sam sposób... łagodnie, jakby wiedziała coś, czego ja nie wiedziałem. Nie prowadziła rozmowy jak przystojna kobieta, która chce zatrzymać mnie w ogrodzie, w jej głosie brzmiała życzliwość i... wielki smutek. Jakby przewidywała, co nastąpi... Chyba zachowałem się niezbyt uprzejmie, bo odwróciłem się i zostawiłem ją samą... niemal pobiegłem w kierunku domu. Sądziłem, że tam będę bezpieczny. Już wtedy zdałem sobie sprawę, że od samego początku budziła we mnie lęk. Z ulgą zobaczyłem starego pana Lawesa. Esther stała obok niego... — Zawahał się przez chwilę, a potem mruknął dość niewyraźnie: — Nie miałem żadnych wątpliwości... Gdy tylko ją ujrzałem, wiedziałem, że wpadłem.

Myśli Macfarlane’a poszybowały ku Esther Lawes. Słyszał kiedyś, jak nazwano ją w jego obecności „sześciostopowym pomnikiem żydowskiej perfekcji”. — To trafne określenie — pomyślał, przypominając sobie jej niezwykle wzrost i smukłość sylwetki, marmurową biel twarzy, subtelny orli nos, czarne oczy i wspaniałe ciemne włosy. Tak, nie dziwiło go, że Dickie, w swej chłopięcej naiwności, skapitulował przed jej urodą. U niego samego Esther nigdy nie wywoływała przyspieszonego bicia serca, ale musiał przyznać, że jest prawdziwą pięknoscią.

— A potem — ciągnął Dickie — zaręczyliśmy się.

— Od razu?

— No cóż, mniej więcej po tygodniu. W ciągu następnych dwóch tygodni doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy wcale nie ma ochoty wyjść za mnie... — Roześmiał się gorzko. — To był ostatni wieczór przed moim powrotem na okręt. Wracałem z miasteczka przez las i... i zobaczyłem ją, to znaczy panią Haworth. Miała na głowie czerwony beret, a ja... w pierwszej chwili, domyślasz się chyba... aż podskoczyłem z wrażenia! Opowiedziałem ci o moim śnie, więc nie zdziwi ci? to... Pospacerowaliśmy jakiś czas po lesie. Nie padło ani jedno słowo, którego nie mógłbym powtórzyć w obecności Esther, rozumiesz...

— Doprawdy? — Macfarlane z ciekawością zerknął na przyjaciela. Jakie to dziwne — pomyślał — że ludzie mówią innym różne rzeczy, z których sami nie zdają sobie sprawy!

— A potem, kiedy zamierzałem już wracać do domu, zatrzymała mnie, mówiąc: „I tak pan zdaży. Na pańskim miejscu, nie wracałabym zbyt wcześnie...” A ja wiedziałem, że czeka tam na mnie coś okropnego... a... a kiedy tylko dotarłem na miejsce, Esther wyszła mi naprzeciw i oznajmiła, że w gruncie rzeczy wcale nie chce za mnie wyjść...

Macfarlane wydobyl z siebie wspolczujacy pomruk.

— A pani Haworth? — spytal.

— Od tamtej pory nigdy wiecej jej nie widzialem, az do dzisiejszego wieczora.

— Dzisiejszego wieczora?

— Tak. W lecznicy tego, jak-mu-tam, doktora. Chcialem, zeby obejrzel noge, w ktora bylem ranny, kiedy nasz okret zostal storpedowany. Mialem z nia ostatnio troche klopotow. Ten stary zalecil mi operacje, twierdzac, ze to calkiem prosty zabieg. Wychodzac od niego, wpadlem na dziewczynę w czerwonym swetrze, narzuconym na kitel pielęgniarki. „Na pańskim miejscu nie zgadzałabym się na tę operację...” — powiedziała do mnie. Dopiero wtedy zorientowałem się, że to pani Haworth. Oddaliła się tak szybko, że nie zdążyłem jej zatrzymać. Spytałem o nią jakąś inną pielęgniarkę, ale ta stwierdziła, że w tej lecznicy nie pracuje nikt o rym nazwisku... Dziwne...

— Jesteś pewien, że to była ona?

— Ależ, tak! Widzisz, ona jest bardzo piękna... — Przerwał, a potem dodał: — Oczywiście, pójdę na tę operację, ale... ale na wypadek, gdyby okazało się, że nadszedł mój czas...

— Bzdura!

— Jasne, że to bzdura. Ale mimo to cieszę się, że opowiedziałem ci o tej „cygańskiej obsesji”... Wiesz, mógłbym ci podać inne przykłady, ale nie jestem w stanie ich sobie teraz przypomnieć...

Macfarlane szedł stromą drogą wśród wrzosów. U szczytu wzgórza dostrzegł furtkę wiodącą do domu. Z determinacją zaciskając zęby, nacisnął dzwonek.

— Czy zastałem panią Haworth?

— Tak, sir. Zaraz jej powiem, że pan przyszedł. — Pokojówka zostawiła go w niskim, długim pokoju, z oknami wychodzącymi na dzikie wrzosowiska. Zmarszczył lekko brwi. Zastanawiał się, czy zrobi z siebie kompletnego osła.

Nagle drgnął. Na górze ktoś cicho śpiewał:

„Cyganka, mieszka na wrzosowiskach...”

Śpiew urwał się. Macfarlane poczuł, że jego serce bije trochę szybciej. Drzwi otworzyły się.

Jej olśniewający, niemal skandynawski typ urody, zaskoczył go. Choć Dickie bardzo sugestywnie mu ją opisał, wyobrażał sobie, że jest ciemnowłosą Cyganką... Nagle przypomniały mu się słowa przyjaciela i jego dziwny ton: „Wiesz, ona jest bardzo piękna...” Doskonała, niekwestionowana piękność zdarza się rzadko, a taką właśnie piękną była Alistair Haworth.

Odzyskał panowanie nad sobą i podszedł do niej.

— Obawiam się, że moje nazwisko nic pani nie powie. Dostałem adres pani od państwa Lawes. Ale... jestem przyjacielem Dickie'ego Carpentera.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, a potem oznajmiła:

— Właśnie wychodzę. Na wrzosowiska. Czy pójdzie pan ze mną?

Otworzyła drzwi na taras i wyszła na dwór. Macfarlane podążył za nią. Na wyplatany fotelu siedział potężnie zbudowany mężczyzna o tępym wyrazie twarzy i palił fajkę.

— To mój mąż! Idziemy na wrzosowiska, Maurice. A później, pan Macfarlane wróci, by zjeść z nami lunch. Mam nadzieję, że przyjmie pan zaproszenie?

— Bardzo dziękuję.

Pani Haworth lekkim krokiem ruszyła pod górę, a on podążył za nią, myśląc: „Dlaczego? Dlaczego, na miły Bóg, wyszła za tego człowieka?”

Alistair dotarła do jakichś skałek.

— Usiądźmy tutaj — zaproponowała. — A pan powie mi to... co zamierzał mi pan powiedzieć.

— A więc pani wie?

— Zawsze wiem, kiedy ma się wydarzyć coś złego. Ma pan jakieś niepomysłne wiadomości, prawda? Na temat Dickie'ego?

— Przeszedł drobną operację... która się udała. Ale widocznie miał słabe serce. Umarł pod narkozą.

Sam nie wiedział, co spodziewał się ujrzeć na jej twarzy, nie oczekiwał jednak wyrazu śmiertelnego znużenia... Usłyszał jej szept.

— Znowu... trzeba czekać... tak długo... tak długo... — Podniosła wzrok i spytała: — No więc, co chciał mi pan powiedzieć?

— Tylko to, że ktoś ostrzegął go przed tą operacją. Jakaś pielęgniarka. Myślał, że to była pani. Czy miał rację? Pani Haworth zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, to nie byłem ja. Ale mam kuzynkę, pielęgniarkę. W przyćmionym świetle można nas pomylić. Przypuszczam, że to była ona. — Znow na niego spojrzała. — To już nie ma znaczenia, prawda? — Potem nagle jej oczy rozszerzyły się. Wciągnęła głęboko powietrze. — Och! — zawołała. — Och! Jakie to dziwne! Pan nie rozumie...

Macfarlane poczuł się dezorientowany. Alistair nadal przyglądała mu się uważnie.

— Sądziłam, że pan ma... Powinien pan to mieć. Wygląda pan tak, jakby pan też to miał, ten...

— Co?

— Ten dar... to przekleństwo... może pan to nazywać jak chce. Tak, chyba pan to ma. Niech pan zatrzyma wzrok na tym zagłębieniu w skale. Proszę o niczym nie myśleć, tylko patrzeć... Och! — zawołała, widząc, że lekko drgnął. — I co... dostrzegł pan coś?

— Musiał to być produkt mojej wyobraźni. Przez chwilę wydawało mi się, że jest ono wypełnione krwią!

Kiwnęła głową.

— Wiedziałam, że pan to ma. W dawnych czasach, w tym właśnie miejscu czciciele słońca składali swoje ofiary. Wiedziałam to, zanim ktokolwiek powiedział mi o tym. Czasami dokładnie wiem, jak czuły się te ofiary... wiem prawie tak dobrze, jakbym była jedną z nich... Czuję się na tym wrzosowisku tak, jakbym kiedyś tu już była... Oczywiście, to naturalne, że posiadam ten dar. Pochodzę z Ferguessonów; w tej rodzinie zdarzali się jasnowidze. Moja matka, zanim poślubiła mego ojca, była dość znanym medium. Używała imienia Cristing.

— Czy przez słowo „dar” rozumie pani zdolność widzenia przyszłości?

— Tak, przyszłości i przeszłości... wszystko jedno. Dostrzegłam na przykład, że pan się

zastanawia, dlaczego poślubiłam Maurice'a. Ależ, tak! Zastanawiał się pan nad tym!... Wyszłam za niego po prostu dlatego... zawsze wiedziałam, że wisi nad nim coś strasznego... Chciałam go przed tym ocalić... Takie są kobiety. Dzięki mojemu darowi, powinnam móc temu zapobiec... jeśli w ogóle jest to możliwe... Nie mogłam pomóc Dickie'emu. A Dickie nie potrafił zrozumieć... Bał się. Był bardzo młody.

— Miał dwadzieścia dwa lata.

— A ja mam trzydzieści. Nie to jednak chciałam powiedzieć. Można być podzielonym na wiele sposobów: wzdłuż, na wysokość i na szerokość... ale najgorzej jest być podzielonym przez czas...
— Zapadła w długie ponure milczenie.

Dochodzący z wnętrza domu niski dźwięk gongu przywrócił ich do rzeczywistości.

Podczas lunchu Macfarlane obserwował uważnie Maurice'a Hawortha. Był niewątpliwie szaleńczo zakochany w swojej żonie. W jego oczach malowało się psie przywiązanie. Macfarlane zauważył także, że ona zwraca się do męża czule, z macierzyńską niemal troskliwością. Po lunchu zaczął się żegnać.

— Zatrzymałem się na dzień lub dwa w tutejszej gospodzie. Czy mógłbym znów państwa odwiedzić? Może jutro?

— Oczywiście, ale... — Ale...?

Na chwilę przysłoniła oczy dłonią.

— Nie wiem. Myślałam, że już się nie zobaczymy... to wszystko... Do widzenia.

Powoli schodził w dół. Mimo woli miał wrażenie, że wokół jego serca zaciska się jakaś lodowata dłoń. Nie było to związane z tym, co powiedziała pani Haworth, lecz...

Zza zakrętu wypadł jakiś samochód. Macfarlane w ostatniej chwili uskoczył i przywarł do żywopłotu... Jego twarz poszarzała z przerażenia...

— O Boże, moje nerwy są w okropnym stanie — mruknął Macfarlane, budząc się następnego ranka. Roztrząsał beznamiętnie wydarzenia poprzedniego popołudnia. Samochód, prowadzący do gospody skrót, nagle mgła, w której zgubił drogę i błąkał się po okolicy, wiedząc, że nie opodal są trzęsawiska.

Obudowa komina, która spadła z dachu gospody. Unoszący się w nocy swąd spalenizny, wywołany przez nie dopalony kawałek drewna, który wypadł z kominka i potoczył się na dywanik. Nie było w tym nic szczególnego! Nie byłoby w tym nic szczególnego... gdyby nie jej słowa i jego głęboka, nieświadomiona pewność, że ona wiedziała...

W nagłym przypiływie energii odrzucił pościel. Doszedł do wniosku, że musi się z nią jak najszybciej zobaczyć. To przełamanie urok. To znaczy, o ile dotrze tam bezpiecznie... Boże —pomyślał — jaki ze mnie głupiec!

Śniadanie zjadł niewielkie. O dziesiątej znalazł się na drodze wiodącej do domu państwa Haworth. O dziesiątej trzydzieści trzymał dłoń na dzwonku. Dopiero wtedy pozwolił sobie na długie westchnienie ulgi.

— Czy zastałem pana Hawortha?

W progu stanęła ta sama stara kobieta, która poprzedniego dnia otworzyła mu drzwi. Ale twarz jej była zmieniona... malował się na niej głęboki smutek.

— Och, sir! Och, sir! Więc nic pan nie słyszał?

— Co miałbym słyszeć?

Panna Alistair, kochana dziecinka. To było jej lekarstwo. Zążywała 'je co wieczór. Biedny kapitan nie może dojść do siebie z rozpaczy, odchodzi niemal od zmysłów. Po ciemku zdjął z półki niewłaściwą buteleczkę... Posłano po doktora, ale było już za późno...

Macfarlane natychmiast przypomniał sobie słowa Alistair: Zawsze wiedziałam, że wisi nad nim coś strasznego. Powinnam móc temu zapobiec, jeśli w ogóle jest to możliwe... Ach!... ale nie można oszukać Losu... Ślepy dar jasnowidzenia okazał się dla niej zgubny, a nie zbawienny...

— Moja kochana dziecinka! — ciągnęła dalej stara służąca. — Była taka miła i łagodna, tak współczuła wszystkim, którzy znaleźli się w tarapatkach. Nie mogła znieść cudzego cierpienia. — A po chwili wahania, dodała: — Czy zechciałby pan pójść na górę i zobaczyć ją, sir? Z tego, co mówiła, wnoszę że znał ją pan od dawna. Od bardzo dawna...

Macfarlane poszedł za nią do położonego nad salonem pokoju, z którego dobiegł go poprzedniego dnia czyś śpiew. Górne szyby okien zdobiły witraże. Rzuciły one czerwone światło na wezgłowie

łóżka... Cyganka w czerwonej chustce na głowie... Nonsens, jego nerwy znów pętały mu figła.
Rzucił przeciągłe, ostatnie spojrzenie na Alistair Haworth.

— Przyszła do pana jakaś dama, sir.

— Co? — Macfarlane spojrział z roztargnieniem na właścicielkę gospody. — Och! Przepraszam, pani Rowse, rozmyślałem o duchach.

— Naprawdę, sir? Wiadomo, że na wrzosowiskach pojawiają się po zmroku dziwne postacie. Biała dama, diabeł–kował, marynarz i Cyganka...

— Kto? Marynarz i Cyganka?

— Tak mówią, sir. Za moich młodych lat wszyscy opowiadali tę historię. Kiedyś bardzo się kochali... Ale nie widziano ich już od dawna.

— Nie? Ciekaw jestem, czy przypadkiem... teraz nie pojawią się znowu...

— Boże! Co też pan mówi, sir! Ta młoda dama...

— Jaka młoda dama?

— Ta, która chce się z panem zobaczyć. Czeka w saloniku. Powiedziała, że nazywa się panna Lawes.

— Och!

Rachel! Miał dziwne uczucie, że ogląda wszystko z innej perspektywy. Że zagląda do innego świata. Zapomniał o Rachel, bo Rachel należała tylko do tego życia... Znów zobaczył wszystko pod innym kątem i odniósł wrażenie, że wraca do świata, który ma tylko trzy wymiary.

Otworzył drzwi saloniku. Ujrzał szczerę piwnę oczy Rachel i nagle, jak człowiek obudzony ze snu, uzmysłowił sobie że spływa na niego ożywcze, radosne poczucie rzeczywistości, żyję... żyję! — pomyślał. — Jest tylko jedno życie, którego można być pewnym! Właśnie to życie!

— Rachel! — powiedział i unosząc jej podbródek, pocałował ją w usta.

Lampa

Był to naprawdę stary dom. Cały skwer zresztą był stary i odznaczał się surowym dostojeństwem wieku, często spotykanym w katedralnych miastach. Ale numer 19 sprawiał wrażenie starca nad starcami i cechowała go prawdziwie patriarchalna powaga; zdawał się wyróżniać szarością wśród szarych, wyniosłością wśród wyniosłych, ponurością wśród ponurych. Surowy, posepny, naznaczony tym szczególnym piętnem zniszczenia, charakterystycznym dla wszystkich od dawna nie zamieszkanym domów, dominował nad innymi budynkami.

W każdym innym mieście nazwano by go „domem, w którym straszy”, lecz mieszkańcy Weyminster byli niechętni duchom i szanowali tylko te, które stanowiły atrybut arystokratycznych rodzin. Tak więc numer 19 nigdy nie był nazywany „domem, w którym straszy”; a jednak pozostawał rok po roku DO WYNAJĘCIA lub DO SPRZEDANIA.

Pani Lancaster zajechała pod ten dom i popatrzyła na niego z aprobatą. Towarzyszył jej gadatliwy agent handlu nieruchomościami, który na samą myśl o tym, że pozbędzie się numeru 19 ze swych ksiąg wpadł w niezwykle radosny nastrój. Włożył klucz do zamka, nie przestając zachwalać tego obiektu.

— Od jak dawna ten dom stoi pusty? — spytała pani Lancaster, obcesowo przerywając potok jego wymowy.

Pan Raddish (z firmy Raddish i Foplow) nieco się zmieszał.

— Ee... ee... od pewnego czasu — odparł uprzejmie.

— Tak właśnie myślałam — zauważyła oschle pani Lancaster.

Słabo oświetlony hali zionął złowieszczyim chłodem. Kobieta obdarzona większą wyobraźnią mogłaby poczuć ciarki na plecach, ale pani Lancaster odznaczała się niezwykle praktycznym podejściem do życia. Była wysoką ciemną szatynką o włosach lekko przyprószonych siwizną i zimnych błękitnych oczach.

Obeszła cały dom od strychu po piwnicę, zadając od czasu do czasu rzeczowe pytania. Po zakończeniu inspekcji wróciła do jednego z pokoi frontowych z widokiem na skwer i stanęła przed agentem ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

— Na czym polegają mankamenty tego domu? Pan Raddish wydawał się zaskoczony.

— Oczywiście, nie umeblowany budynek jest zawsze trochę ponury — odpowiedział bez przekonania.

— Absurd — zachnęła się pani Lancaster. — Czynnosc jest śmiesznie niski, jak na taki dom — po

prostu symboliczny. Muszą być jakieś tego powody. Zapewne ma on opinię domu, w którym straszy?

Pan Raddish drgnął nerwowo, ale nic nie odpowiedział. Pani Lancaster baczenie mu się przyjrzała. Po chwili odezwała się ponownie:

— Oczywiście, wszystko to absurd, nie wierzę w duchy ani w żadne tego rodzaju historie i nic mnie nie odstraszy od wynajęcia tego domu; ale służba, niestety, jest bardzo łatwowierna i nietrudno ją przerazić. Może zechciałby mi pan uprzejmie wyjaśnić, co... co właściwie nawiedza to miejsce.

— Ja... ee... ja naprawdę nie wiem — wyjąkał agent.

— Doskonale pan wie — powiedziała spokojnie pani Lancaster. — Nie wynajmę domu bez tej informacji. Co tu się wydarzyło? Morderstwo?

— Ależ nie! — zawołał pan Raddish, wstrząśnięty myślą o czymś, co tak uwłaczałoby szacowności tej dzielnicy. — To... to tylko dziecko.

— Dziecko?

— Tak.

— Nie znam dokładnie całej historii — ciągnął niechętnie. — Naturalnie istnieją różne wersje, ale z tego, co słyszałem, dom numer 19 wynajął przed mniej więcej trzydziestu laty pewien człowiek nazwiskiem Williams. Nikt nic o nim nie wiedział; nie trzymał służby; nie miał przyjaciół; rzadko wychodził w ciągu dnia. Miał jedno dziecko, małego chłopca. Po dwumiesięcznym pobycie w tym domu pojechał do Londynu i zaledwie znalazł się w stolicy został rozpoznany jako człowiek „poszukiwany przez policję” pod jakimś zarzutem... nie wiem dokładnie jakim. Musiało to jednak być coś poważnego, gdyż pan Williams, chcąc uniknąć aresztowania, po prostu się zastrzelił. Chłopiec pozostał w tym domu sam. Miał zapas jedzenia na jakiś czas, więc czekał na powrót ojca, licząc, że ten lada dzień się pojawi. Na nieszczęście ojciec wbił mu do głowy, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno mu wychodzić z domu, ani z kimkolwiek rozmawiać. Chłopiec był wątłym, chorowitym, drobnym dzieckiem i nawet nie przyszło mu na myśl, że mógłby nie zastosować się do tego polecenia. Sąsiedzi, którzy nie wiedzieli, że jego ojciec wyjechał, często słyszeli nocami płacz tego osamotnionego malca porzuconego w pustym domu.

Pan Raddish przerwał.

— No więc... ee... dziecko umarło z głodu — zakończył takim tonem, jakby oznajmiał, że zaczął padać deszcz.

— I to właśnie duch tego dziecka rzekomo nawiedza ten dom? — spytała pani Lancaster.

— W gruncie rzeczy nic konkretnego nie wiadomo — zapewnił ją pospiesznie pan Raddish. — Nikt nigdy nic nie widział, ale ludzie mówią — co oczywiście jest śmieszne — że słyszą czasem płacz tego dziecka.

Pani Lancaster ruszyła w kierunku frontowych drzwi.

— Bardzo mi się ten dom podoba — stwierdziła. — Za taką cenę nie znajdę równie dobrej okazji. Przemyszę to i zawiadomię pana.

— To wygląda naprawdę niezwykle wesoło, czyż nie, papo? Pani Lancaster z aprobatą oglądała swą nową posiadłość.

Jaskrawe dywany, lśniące meble i liczne dekoracyjne drobiazgi całkiem zmieniły ponure wnętrze numeru 19.

Zwracała się do szczupłego, zgiętego wpół staruszka o przygarbionych ramionach i subtelnej twarzy marzyciela. Pan Winburn nie był podobny do swej córki; w istocie, jego marzycielskie roztargnienie żywo kontrastowało z jej zdecydowaną rzeczowością.

— Tak — odparł z uśmiechem — nikomu nie przyszłoby do głowy, że w tym domu straszy.

— Papo, nie pleć głupstw! I to pierwszego dnia pobytu. Pan Winburn znów się uśmiechnął.

— Dobrze, kochanie, zgódźmy się, że coś takiego jak duchy nie istnieje.

— I proszę cię — ciągnęła pani Lancaster — ani słowa w obecności Geoffa. — Ma taką bujną wyobraźnię.

Geoff był synkiem pani Lancaster. Rodzina składała się z pana Winburna, jego owdowiałej córki i Geoffreya.

W okno zaczęły uderzać krople deszczu... kap, kap, kap... tap, tap, tap.

— Posłuchaj — powiedział pan Winburn. — Czy nie przypomina ci to odgłosu drobnych kroków?

— Bardziej przypomina deszcz — odparła z uśmiechem pani Lancaster.

— Ależ to najwyraźniej są kroki — zawołał jej ojciec i pochylił się do przodu nasłuchując.

Pani Lancaster wybuchnęła śmiechem. Pan Winburn zmuszony był również się roześmiać. Jedli właśnie podwieczorek w hallu, a staruszek siedział tyłem do schodów. Teraz obrócił się na krześle, by spojrzeć w ich kierunku.

Mały Geoffrey powoli schodził na dół, wykazując typowy dla dziecka lęk przed nieznanym otoczeniem. Stopnie z polerowanego dębu nie były pokryte chodnikiem. Geoff przemierzył hali i stanął obok matki. Pana Winburna przeszył lekki dreszcz. Gdy chłopiec podążał w ich kierunku, staruszek wyraźnie usłyszał na schodach odgłosy innych kroków, kroków kogoś, kto podążał za Geoffreyem ociężale, powłócząc nogami. To tylko deszcz — pomyślał pan Winburn, z niedowierzaniem wzruszając ramionami.

— Widzę, że jecie biszkopty — powiedział Geoff z godną podziwu obojętnością osoby, która komentuje jakiś interesujący szczegół.

Matka pojęła aluzję i pospiesznie spełniła jego oczekiwanie.

— No i co, synku, jak ci się podoba twój nowy dom? — spytała.

— Bardzo — odparł Geoffrey z pełnymi ustami. — Jest ogromny, ogromny, ogromny. — Po tym ostatnim stwierdzeniu, niewątpliwie wyrażającym stan najgłębszego zadowolenia, znów zamilkł, starając się jak najszybciej zjeść swój biszkopt.

Gdy przełknął ostatni kęs, wyrzucił z siebie potok słów.

— Och! Mamusiu, Jane mówi, że tu jest strych; czy mogę pójść tam zaraz i trochę na nim pomyszkować? Może tam są jakieś tajemne drzwi, Jane mówi, że nie ma, ale ja myślę, że muszą być, w każdym razie wiem, że będą tam rury, wodne rury, i czy mogę się nimi pobawić, i, och! czy mogę pójść i obejrzeć Bo...boj...ler? — Ostatnie słowo wypowiedział z ogromnym entuzjazmem, a pan Winburn stwierdził z przykrością, że wszystko, co budzi dziecięcy zachwyty jego wnuka, kojarzy mu się tylko z gorącą wodą, która nie jest gorąca, oraz z wysokimi i licznymi rachunkami wystawianymi przez hydraulika.

— Strychem, kochanie, zajmiemy się jutro — powiedziała pani Lancaster. — Może przyniosłbyś swoje klocki i zbudował ładny dom, albo jakąś maszynę.

— Nie chcę budować domu.

— Nie chcesz?

— Ani domu, ani maszyny.

— Więc zbuduj bojler — zaproponował dziadek. Geoffrey rozpromienił się.

— Z rurami?

— Tak, z mnóstwem rur.

Geoffrey pobiegł z radością po swoje klocki.

Deszcz nadal padał. Pan Winburn nadśluchiwał. Tak — pomyślał — to musiał być deszcz, ale brzmiało to jak odgłosy kroków.

Tej nocy miał dziwny sen.

Śniło mu się, że chodził po mieście, które wydawało mu się ogromne. Ale było to miasto dzieci; nie było tam dorosłych, tylko dzieci, tłumy dzieci. Wszystkie podbiegały do niego, wołając: „Czy przyprowadziłeś go?” Miał wrażenie, że rozumie, o co im chodzi, i ze smutkiem potrząsał głową. Wtedy dzieci odwróciły się od niego i zaczęły gorzko szlochać.

Miasto i dzieci zniknęły, a on obudził się w swoim łóżku, ale w uszach nadal dźwięczał mu ich szloch. Choć już całkiem oprzytomniał, słyszał go wyraźnie. Przypomniał sobie, że Geoffrey śpi

piętro niżej, natomiast ten rozpaczliwy płacz dochodził z góry. Usiadł i zapalił zapałkę. Szloch natychmiast ustał.

Pan Winbum nie powiedział córce o swoim śnie, ani o tym, co się wydarzyło później. Był przekonany, że ten szloch nie zrodził się w jego wyobraźni. Usłyszał go ponownie w ciągu dnia. Co prawda wiatr wył wtedy w kominie, ale to był inny dźwięk... wyraźne, żalosne, rozpaczliwe łkanie.

Odkrył wkrótce, że nie tylko on je słyszy. Przypadkowo dotarły do niego słowa służącej, która mówiła do pokojówki, że „nie sądzi, by niańka była dobra dla panicza Geoffreya, nie dalej jak dziś rano słyszała jego rozdzierający płacz. Geoffrey zszedł na śniadanie, a potem na lunch, tryskając zdrowiem i radością, a pan Winburn miał całkowitą pewność, że płakał nie jego wnuk, lecz to drugie dziecko, którego ciężkie stąpanie nieraz już wzbudziło jego niepokój.

Jedynie pani Lancaster nic nie słyszała. Być może jej uszy nie były dostrojone do chwywania dźwięków pochodzących z tamtego świata.

Ale pewnego dnia i ona doznała wstrząsu.

— Mamusiu — zwrócił się do niej błagalnym tonem Geoff. — Pozwól mi pobawić się z tym małym chłopcem.

Pani Lancaster podniosła oczy znad swego biurka i uśmiechnęła się.

— Z jakim małym chłopcem, kochanie?

— Nie wiem, jak on się nazywa. Był na strychu, siedział na podłodze i płakał, ale uciekł, gdy mnie zobaczył. Chyba się zawstydził — dodał nieco pogardliwie — że nie zachowuje się jak duży chłopiec, a potem, kiedy układałem klocki w pokoju dziecinnym, widziałem jak stał w drzwiach, patrząc, co buduję. Wydał mi się strasznie samotny i chyba chciał się ze mną pobawić. Powiedziałem: „Chodź, zbudujemy maszynę” — ale nie odezwał się i wyglądał jak... jakby widział stos czekoladek, a jego mamusia nie pozwoliła mu ich dotykać. — Westchnął na wspomnienie tego smutnego przeżycia. — Ale kiedy spytałem Jane, kto to jest i powiedziałem jej, że chciałbym się z nim pobawić, odparła, że nie ma w domu żadnego małego chłopca i że bym nie opowiadał głupstw. Wcale jej nie kocham.

Pani Lancaster wstała.

— Jane miała rację. Nie ma tu żadnego małego chłopca.

— Ale ja go widziałem. Och! Mamusiu, pozwól mi się z nim pobawić, wydaje mi się taki samotny i nieszczęśliwy. Tak bardzo chcę coś zrobić, żeby poczuł się lepiej.

Pani Lancaster miała właśnie znów się odezwać, ale jej ojciec potrząsnął głową.

— Geoff — powiedział bardzo łagodnie — ten biedny mały chłopiec jest samotny i chyba mógłbyś coś zrobić, by go pocieszyć; ale sam musisz znaleźć sposób... to jest jak łamigłówka, rozumiesz?

— Czy muszę to zrobić zupełnie sam, dlatego że staję się dużym chłopcem?

— Tak, dlatego że stajesz się dużym chłopcem.

Kiedy Geoff wyszedł z pokoju, pani Lancaster zwróciła się do ojca z irytacją.

— Ależ papo, to absurdalne. Zachęcasz go, by wierzył w plotki powtarzane z nudów przez służbę!

— Nikt ze służby niczego dziecku nie powiedział — odparł łagodnie staruszek. — On zobaczył to... co ja słyszę, co mógłbym zapewne zobaczyć, gdybym był w jego wieku.

— Ależ to kompletny nonsens! Dlaczego ja tego nie widzę ani nie słyszę?

Pan Winburn uśmiechnął się ze znużeniem, ale nie odpowiedział.

— Dlaczego? — powtórzyła jego córka. — I dlaczego powiedziałeś mu, że może pomóc temu... temu... stworzeniu. To... to wszystko jest nieprawdopodobne.

Staruszek popatrzył na nią zamyślony.

— Dlaczego nie? — odparł. — Czy przypominasz sobie te słowa:

Cóż to za lampa, którą Los oświecla

drogę swym dzieciom, błądzącym w ciemności?

„To ślepy instynkt” — odparty Niebiosa.

— Geoffrey posiada ten ślepy instynkt. Jak wszystkie dzieci. Tracimy go dopiero z wiekiem, odrzucamy go od siebie. Czasem, gdy jesteśmy już starzy, powraca do nas jego słaby odblask, ale ta lampa świeci najjaśniej w dzieciństwie. Dlatego właśnie przypuszczam, że Geoffrey może mu pomóc.

— Nie rozumiem — wyszeptała pani Lancaster.

— Ja też nie. To... to dziecko cierpi i pragnie, by... by ktoś je wyzwolił. Ale jak? Nie wiem, lecz okropna jest myśl o tym, że to dziecko płacze tak żałośnie.

W miesiąc po tej rozmowie Geoffrey poważnie zachorował. Wiał porywisty, wschodni wiatr, a on nie był odpornym dzieckiem. Doktor pokiwał głową i orzekł, że to ciężki przypadek. Panu Winburnowi wyjawiał więcej i wyznał, że stan pacjenta jest beznadziejny.

— Bez względu na okoliczności, to dziecko nie dożyłoby dojrzałego wieku — dodał. — Od dawna

cierpi na poważną chorobę płuc.

Pielęgnując Geoffa, pani Lancaster zdała sobie sprawę z istnienia tego... tego drugiego dziecka. Początkowo jego łkanie stapiało się z wyciem wiatru, ale stopniowo stawało się coraz bardziej wyraźne, coraz łatwiejsze do rozróżnienia. W końcu usłyszała je w chwilach martwej ciszy: głuchy, rozpaczliwy, rozdzierający szloch dziecka.

Stan Geoffa stale się pogarszał. Coraz częściej mówił w malignie, wciąż mówił o „małym chłopcu”.

— Naprawdę chcę pomóc mu się uwolnić, naprawdę! — krzyczał.

Po okresach majaczenia zapadał w letarg. Leżał wtedy zupełnie nieruchomo, oddychając z wysiłkiem, pogrążony w nieświadomości. Można było jedynie czekać i czuwać. Wiatr ustał, nastała spokojna jasna, cicha noc.

Nagle chłopiec poruszył się. Otworzył oczy. Spojrzał w kierunku znajdujących się za plecami matki otwartych drzwi. Próbował coś powiedzieć, więc pochyliła się nad nim, by dosłyszeć niemal bezdźwięczne słowa.

— No dobrze, już idę — wyszeptał Geoff, po czym znów stracił przytomność.

Pani Lancaster w przypiływie nagłego lęku podeszła do swego ojca. Gdzieś obok nich śmiało się to drugie dziecko. Pokój rozbrzmiewał radosnym, dźwięcznym, triumfalnym śmiechem.

— Boję się, boję się — jęknęła pani Lancaster.

Ojciec otoczył ją opiekuńczo ramieniem. Gwałtowny podmuch wiatru, który przeszył oboje dreszczem, szybko minął i znów zapanowała cisza.

Śmiech ustał, a do ich uszu dotarł inny słaby dźwięk, tak słaby, że ledwie mogli go usłyszeć. Ale stawał się coraz donośniejszy, tak, że w końcu mogli go rozpoznać. Był to odgłos kroków... lekkich, szybko oddalających się kroków.

Tap, tap, tap... kap, kap, kap... drobne kroki powłóczącego nogami dziecka. A po chwili usłyszeli ponad wszelką wątpliwość kroki innego dziecka, zmierzającego w kierunku drzwi, stąpającego szybciej i lżej.

Tap, tap, tap... kap, kap, kap... teraz na schodach rozbrzmiewał tupot niewidzialnych stóp dwojga małych dzieci.

Pani Lancaster błędnym wzrokiem spojrzała na ojca.

— Teraz jest ich dwóch... dwóch!

Poszarzała z przerażenia odwróciła się w kierunku stojącego w kącie pokoju dzieciennego łóżka, ale pan Winburn łagodnie ją powstrzymał, wskazując palcem jakiś niewidoczny odległy punkt.

— Tam — powiedział tylko.

Tap, tap, tap... kap, kap, kap... — coraz dalej i dalej. Potem nastąpiła cisza.

Radio

— Przede wszystkim, proszę unikać zmartwień i zdenerwowania — powiedział doktor Meynell, typowym dla lekarzy łagodnym tonem.

W pani Harter, podobnie jak w wielu innych, te uspokajające, lecz nic nie znaczące słowa wzbudziły więcej wątpliwości niż otuchy.

— Serce jest trochę osłabione — ciągnął ze swadą doktoi — ale zapewniam panią, że nie ma powodów do niepokoju. — Mimo to — dodał — może warto by było zainstalować sobie windę. Co pani na to?

Pani Harter sprawiała wrażenie zatroskanej.

Doktor Meynell natomiast wyglądał na zadowolonego z siebie. Wolał leczyć bogatych pacjentów niż biednych, ponieważ mógł wtedy, zalecając im terapię, wykorzystywać swą bujną wyobraźnię.

— Tak, windę — powtórzył doktor Meynell, próbując wymyślić coś jeszcze bardziej ekstrawaganckiego, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. — Pozwoli to uniknąć wszelkich nadmiernych wysiłków. Może pani spacerować w pogodne dni, ale chodzenie pod górę nie jest wskazane.; A przede wszystkim — dodał zadowolony z siebie — zalecam dużo ćwiczeń dla umysłu. I proszę nie rozmyślać o swoim zdrowiu.

W rozmowie z siostrzeńcem starej damy, Charlesem Ridgewayem, doktor był nieco bardziej otwarty.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — powiedział. — Pańska ciotka może, i z pewnością będzie żyć jeszcze wiele lat. Ale równocześnie jakiś wstrząs lub nadmierny wysiłek może ją zabić, ot tak! — Strzelił palcami. — Musi zatem wieść bardzo spokojny tryb życia. Unikać przemęczenia. Ale, oczywiście, nie wolno jej pozwolić na ponure rozmyślania. Trzeba zapewnić jej pogodę ducha i zająć czymś jej umysł.

— Zająć umysł — powtórzył Charles Ridgeway z namysłem. Charles był rozsądnym młodzieńcem. Uważał też, że w miarę możliwości należy dbać o własne interesy.

Tego wieczora zaproponował, by w domu zainstalowano radioodbiornik.

Pani Harter, i tak już wstrząśnięta myślą o windzie, była tej propozycji niechętna i mocno nią zaniepokojona. Charles natomiast z zapałem ją do tych innowacji przekonywał.

— Nie przepadam za tymi nowomodnymi wymysłami — powiedziała pani Harter posępnie. — Te fale, no wiesz... elektryczne fale. Mogą mi zaszkodzić.

Charles, pełnym wyższości, lecz uprzejmym tonem, dowodził niesłuszności tych obaw.

Pani Harter nic wprawdzie na ten temat nie wiedziała, ale uparcie obstawała przy swoim zdaniu i nie dawała się przekonać.

— Cała ta elektryczność — gderała z obawą. — Możesz sobie mówić co chcesz, Charles, ale niektórym ludziom elektryczność naprawdę szkodzi. Przed burzą zawsze miewam okropne bóle głowy. Wiem coś o tym.

Triumfująco kiwnęła głową.

Charles był cierpliwym młodym człowiekiem. I upartym.

— Droga ciociu Mary — powiedział — pozwól, że ci wyjaśnię istotę tej sprawy.

Uchodził za autorytet w tej dziedzinie. Wygłosił więc nieco przydługi wykład na ten temat. Podniecając się w trakcie mówienia, opowiadał o emisji fal dalekiego i bliskiego zasięgu, o wysokiej i niskiej częstotliwości, o wzmacniaczach i kondensatorach.

Pani Harter, zasypana lawiną niezrozumiałych dla siebie słów, poddała się w końcu.

— Oczywiście, Charles — mruknęła — jeśli naprawdę uważasz. ..

— Droga ciociu Mary — powiedział z entuzjazmem Charles. — Tego właśnie ci potrzeba, żeby odegnać czarne myśli i tak dalej.

Wkrótce potem zainstalowano zaleconą przez doktora Meynella windę, co niemal przyprawiło o śmierć panią Harter, która podobnie jak wiele starych dam czuła głęboką niechęć do kręcących się po domu obcych ludzi. Wszystkich ich, bez wyjątku, podejrzewała o złe zamiary wobec jej starych sreber.

Po windzie w domu pojawił się radioodbiornik. Pani Harter długo i nieufnie przyglądała się temu odpychającemu przedmiotowi — wielkiej, paskudnej, najeżonej pokrętłami skrzynce.

Charles musiał wykrzesać z siebie cały entuzjazm, by ją do radia przekonać.

Czuł się w swoim żywiole, kręcąc gałkami i elokwentnie perorując.

Pani Harter siedziała w fotelu, słuchając cierpliwie i uprzejmie jego wywodów. Ale w jej umyśle zakorzenione było przeświadczenie, że wszystkie te nowomodne wynalazki są po prostu skończoną bzdurą.

— Posłuchaj, ciociu Mary, złapaliśmy Berlin. Czy to nie wspaniałe? Czy słyszysz tego jegomościa?

— Nie słyszę niczego z wyjątkiem głośnych szumów i trzasków — odparła pani Harter.

Charles nadal kręcił gałkami.

— Bruksela — oznajmił triumfalnie.

— Doprawdy? — spytała bez cienia entuzjazmu pani Harter.

Charles dalej obracał pokrętłami, dopóki do pokoju nie wdarło się jakieś dzikie wycie.

— Wygląda na to, że złapaliśmy jakąś psią budę — oznajmiła pani Harter, która była starą damą o dość silnej osobowości.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Charles. — Widzę, że masz poczucie humoru, czyż nie tak, ciociu Mary? To bardzo dobrze!

Pani Harter mimowoli uśmiechnęła się do niego. Bardzo lubiła swojego siostrzeńca. Przez kilka lat mieszkała z nią bratanica jej męża Miriam Harter. Stara dama zamierzała uczynić dziewczynę swoją spadkobierczynią, ale Miriam nie przypadła jej do serca. Była niecierpliwa, a towarzystwo ciotki wyraźnie ją nudziło. Rzadko bywała w domu, i stale gdzieś się „szwendała”, jak to określała pani Harter. W końcu zadała się z pewnym młodym człowiekiem, który wzbudzał żywiołową niechęć jej ciotki. Miriam została więc odesłana do swej matki wraz z krótkim listem, jaki pisze się zazwyczaj do sklepu, zwracając dostarczony na próbę towar. Wyszła za wspomnianego młodego człowieka, a pani Harter wysyłała jej zwykle na gwiazdkę paczkę chusteczek do nosa lub serwetkę na stół.

Rozczarowawszy się do swych siostrzenic, pani Harter zwróciła uwagę na siostrzeńców. Charles od początku zrobił na niej doskonałe wrażenie. Zawsze traktował ciotkę z należnym respektem i zdawał się słuchać jej wspomnień z młodości z żywym zainteresowaniem. Pod tym względem wyraźnie kontrastował z Miriam, która była szczerze znudzona tymi wspomnieniami i nie omieszkiwała tego okazywać. Charles nigdy się nie nudził i zawsze był w pogodnym nastroju. Wiele razy w ciągu dnia powtarzał ciotce, że jest czarującą starą damą.

Pani Harter, bardzo zadowolona ze swego nabytku, napisała do adwokata, polecając mu sporządzenie nowego testamentu. Kiedy został on jej przysłany, zaaprobowała go i podpisała.

Nawet w sprawie radia Charles rychło pozyskał jej dodatkowe względy.

Pani Harter, początkowo przeciwna temu wynalazkowi, z czasem zaczęła go tolerować, a w końcu zaczął on ją nawet fascynować. Chętnie korzystała z radia, kiedy Charlesa nie było w domu. Kłopot z Charlesem polegał bowiem na tym, że nie potrafił ani przez chwilę zostawić skrzynki w spokoju. Pani Harter, siedząc wygodnie w fotelu i słuchając jakiegoś koncertu symfonicznego, wykładu o Lukrecji Borgii czy audycji poświęconej faunie stawów, czuła się szczęśliwa i pogodzona ze światem. Z Charlesem wyglądało to zupełnie inaczej. Panującą w jej duszy harmonię zakłócały piskliwe dysonanse, kiedy z entuzjazmem usiłował on łapać zagraniczne stacje. Dopiero gdy Charles udawał się wraz z przyjaciółmi na kolację do miasta, pani Harter mogła naprawdę cieszyć się radiem. Przekręcała dwie gałki, zasiadała wygodnie w fotelu i słuchała wieczornych programów.

Mniej więcej w trzy miesiące po zainstalowaniu radia wydarzyła się przedziwna historia. Charles

był wówczas na brydżu.

Wieczorny program przewidywał koncert ballad. Znana sopranistka śpiewała „Annie Laurie”; mniej więcej w połowie utworu miało miejsce zaskakujące zdarzenie. Muzyka nagle zamilkła, a do uszu pani Harter zaczęły dolatywać jakieś trzaski. Potem zapadła martwa cisza, po której rozległo się brzęczenie.

Pani Harter, sama nie wiedząc dlaczego, odniosła wrażenie, że radio odbiera program z jakiejś bardzo odległej stacji. Potem dotarł do niej wyraźny, męski, zabarwiony lekkim irlandzkim akcentem głos.

— Mary... czy mnie słyszysz, Mary? To mówi Patrick... Przyjdę po ciebie niedługo. Będziesz gotowa, prawda, Mary?

Niemal natychmiast po tym, pokój znów wypełniły dźwięki piosenki „Annie Laurie”. Pani Harter siedziała sztywno w swym fotelu, zacisnąwszy dłonie na poręczach. Czyżby jej się to przyśniło? Patrick! Głos Patricka! Patrick przemówił do niej właśnie tu, w tym pokoju. Doszła do wniosku, że musiał to być sen, a może halucynacja. Że po prostu na chwilę zasnęła i wszystko jej się przyśniło: na falach eteru dotarł do niej głos nieżyjącego męża. Trochę ją to przestraszyło. Usiłowała przypomnieć sobie jego słowa.

„Przyjdę po ciebie niedługo, Mary. Będziesz gotowa, prawda?”

Czyżby to było przecucie? Miała osłabione serce. Bądź co bądź nie była już młoda.

— Było to ostrzeżenie, ot co — powiedziała pani Harter z trudem wstając z fotela i w charakterystyczny dla siebie sposób dodała:

— I pomyśleć, że zmarnowałam tyle pieniędzy na instalację tej windy!

Nie powiedziała nikomu o swoim przeżyciu, ale przez kilka następnych dni wydawała się zamyślona i roztargniona.

Potem wydarzenie powtórzyło się. I tym razem znajdowała się sama w pokoju. Radio, z którego rozbrzmiewały dźwięki orkiestry, ucichło równie nagle jak poprzednio. Znów zapanowała cisza, która zdawała się dochodzić z daleka. W końcu usłyszała zmieniony, rozrzedzony, dobiegający z oddali, jakby dziwnie nieziemski głos Patricka:

— Mary, to mówi Patrick. Przyjdę po ciebie już niedługo... Potem trzask, brzęczenie i znów głośnie dźwięki orkiestry. Pani Harter zerknęła na zegar. Nie, tym razem nie spała.

Słyszała głos Patricka, choć była w pełni przytomna. To nie mogła być halucynacja. Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie wszystko, co mówił jej Charles o teorii fal eteru.

Czy to możliwe, żeby Patrick naprawdę do niej przemówił? Żeby Jego głos unosił się w przestrzeni? Przypomniła sobie, jak Charles mówił jej o istnieniu „luk na skali”, jakby „pustych fal”. Może właśnie te „puste fale” tłumaczyły wszystkie tak zwane zjawiska parapsychologiczne?

Tak, ta teoria wydała jej się całkiem prawdopodobna. W tej chwili wierzyła, że Patrick naprawdę do niej przemówił. Wykorzystał nowoczesną technikę, by przygotować ją na to, co niebawem musi nastąpić.

Pani Harter zadzwoniła na swą pokojówkę Elizabeth.

Elizabeth była wysoką, chudą, sześćdziesięcioletnią kobietą. Choć sprawiała wrażenie osoby oschłej, w gruncie rzeczy żywiła wobec swojej pani uczucie głębokiego przywiązania i miłości.

— Elizabeth — spytała pani Harter, kiedy pojawiła się jej wierna sługa — czy pamiętasz, co ci kiedyś mówiłam? Lewa górna szuflada mojego biurka. Jest zamknięta na długi kluczyk. Wszystko jest tam przygotowane.

— Na co przygotowane, proszę pani?

— Na mój pogrzeb — zachnęła się pani Harter. — Doskonale wiesz, co mam na myśli, Elizabeth. Przecież sama pomagałaś mi chować tam te papiery.

Na twarzy Elizabeth pojawił się wyraz bólu.

— Och, proszę pani — zawołała płacząco — proszę nawet nie myśleć o takich rzeczach. Sądziłam, że czuje się pani znacznie lepiej.

— Wszyscy musimy wcześniej czy później odejść — odparła rzeczowo pani Harter. — Dźwigani już ósmy krzyżyk, Elizabeth. Dobrze, już dobrze, nie rób z siebie idiotki. Jeśli musisz płakać, idź i płacz gdzie indziej.

Elizabeth odeszła, pociągając nosem.

Pani Harter popatrzyła za nią z wielką sympatią.

— Głupia, stara wariatka — mruknęła — ale bardzo wierna. Nie mogę sobie przypomnieć, czy zapisałam jej sto funtów czy tylko pięćdziesiąt. Powinna dostać sto. Bądź co bądź pracuje u mnie już tyle lat.

Ta kwestia zaniepokoiła starą damę do tego stopnia, że następnego dnia napisała do swego adwokata prosząc go o przysłanie jej testamentu, ponieważ chce go ponownie przejrzeć. Tego samego dnia Charles powiedział podczas lunchu coś, co ją przestraszyło.

— Powiedz mi, ciociu — odezwał się — kim jest ten śmieszny jegomość, który wisi w gościnnym pokoju? Chodzi mi o portret nad kominkiem. Stary jegomość z brodą i bokobrodami?

Pani Harter spojrzała na niego z powagą.

— To jest twój wuj Patrick jako młody człowiek — odparła.

— Och, ciociu Mary, bardzo przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

Pani Harter z godnością pochyliła głowę, dając do zrozumienia, że przyjmuje jego przeprosiny.

— Bo widzisz — ciągnął niepewnie Charles — zastanawiałem się, czy...

Zawiesił głos, jakby nie mogąc się zdecydować.

— No więc? — spytała ostro pani Harter. — Co zamierzałeś mi powiedzieć?

— Nic — odparł pospiesznie Charles. — To znaczy nic, co miałoby jakikolwiek sens.

Stara dama chwilowo na tym poprzestała, ale później, kiedy znaleźli się sami, wróciła do tematu.

— Chcę, żebyś mi powiedział, Charles, o co chciałeś mnie spytać w związku z portretem twego wuja.

Charles wydawał się zakłopotany.

— Mówiłem ci, ciociu Mary. To po prostu mój głupi wymysł... całkowity absurd.

— Charles — oświadczyła pani Harter najbardziej apodyktycznym tonem, na jaki umiała się zdobyć — życzę sobie, abys mi to natychmiast powiedział.

— No cóż, droga ciociu, skoro nalegasz. Zdawało mi się, że on... to znaczy ten mężczyzna z portretu... wyglądał z ostatniego okna, kiedy wczoraj wieczorem zbliżałem się do domu. Musiała to być widocznie jakaś gra świateł. Zastanawiałem się kim, na Boga, może być ten mężczyzna o tak... tak wiktoriańskiej twarzy, jeśli wiesz co mam na myśli. Elizabeth powiedziała mi, że w domu nie ma żadnego gościa ani nikogo obcego. A kiedy w chwilę później znalazłem się przypadkiem, w pokoju gościnnym, zobaczyłem wiszący nad kominkiem portret. To był właśnie on! Myślę, że można to całkiem łatwo wytłumaczyć. Podświadomość i tak dalej. Musiałem zauważyć ten portret wcześniej, nie zdając sobie z tego sprawy, a potem wyobraziłem sobie, że widzę w oknie właśnie tę twarz.

— Ostatnie okno? — spytała ostro pani Harter.

— Tak, a dlaczego ciocia pyta?

— Mniejsza o to — odparła pani Harter.

W głębi duszy poczuła się zaniepokojona. Bowiem ten, właśnie pokój był garderobą jej męża.

Tego wieczora Charles znów wyszedł z domu, a pani Harter z gorączkową niecierpliwością włączyła radio. Jeśli po raz trzeci usłyszę ów tajemniczy głos — pomyślała — będzie to ponad wszelką wątpliwość dowód, że istotnie docierają do mnie sygnały z innego świata.

Choć serce jej zabiło szybciej, nie była zaskoczona, kiedy jak zwykle nastąpiła przerwa w programie i po chwili śmiertelnej ciszy ponownie usłyszała dobiegający z oddali głos, przemawiający do niej z lekkim irlandzkim akcentem.

— Mary... teraz jesteś już gotowa... W piątek przyjdę po ciebie... W piątek o wpół do dziesiątej... Nie bój się... to nie będzie bolało... Bądź gotowa...

Potem, niemal ucinając ostatnie słowo, rozbrzmiały znowu hałaśliwe i nieharmonijne dźwięki orkiestry.

Pani Harter przez parę minut siedziała zupełnie nieruchomo. Jej twarz pobladła, a wokół zaciśniętych ust utworzyła się sina obwódka.

Potem wstała z fotela i usiadła przy swym biurku. Lekko drżącą ręką napisała następujący list:

Dziś wieczorem o 9.15 wyraźnie usłyszałam głos mego nieżyjącego męża. Powiedział mi, że przyjdzie po mnie w piątek o 9.30 wieczorem. Jeśli umrę tego wiośnie dnia i o tej godzinie, chciałabym, aby fakt ten został ujawniony, gdyż dowodziłby on bezspornie możliwości kontaktowania się ze światem duchów.

Mary Harter

Pani Harter raz jeszcze przeczytała swój list, schowała go do koperty, którą następnie zaadresowała. Potem zadzwoniła na Elizabeth. Kiedy pokojówka zjawiła się, pani Harter wstała od biurka i wręczyła jej przed chwilą napisany list.

— Elizabeth — oznajmiła — jeśli umrę w piątek wieczorem, chciałabym, abyś oddała ten list doktorowi Meynell. Nie... —dodała, ponieważ odniosła wrażenie, że Elizabeth zamierza zaprotestować — nie spieraj się ze mną. Nie raz mówiłaś mi, że wierzysz w przeczucia. Ja właśnie teraz mam takie przecucie. I jeszcze jedno. Zapiisałam ci w testamencie pięćdziesiąt funtów. Chciałabym, abyś dostała sto. Jeśli nie zdołam przed śmiercią pójść do banku, pan Charles dopilnuje tego.

Pani Harter, tak jak przedtem, ucięła płacziwe protesty Elizabeth. Zgodnie ze swym postanowieniem, stara dama następnego ranka powiadomiła Charlesa o swej decyzji.

— Pamiętaj, Charles, jeśli cokolwiek mi się stanie, Elizabeth ma dostać dodatkowe pięćdziesiąt funtów.

— Jesteś ostatnio bardzo przygnębiona, ciociu Mary — powiedział pogodnie Charles. — Cóż miałoby ci się stać? Według doktora Meynella, za jakieś dwadzieścia lat będziemy obchodzić twoje setne urodziny!

Pani Harter uśmiechnęła się do niego czule, ale nie odpowiedziała.

— Co zamierzasz robić w piątek wieczorem, Charles? — spytała po dłuższej chwili.

Charles wydawał się nieco zdziwiony.

— Prawdę mówiąc, państwo Ewings zaprosili mnie do siebie na brydża, ale jeśli wolałabyś, żebym został w domu...

— Nie — odparła pani Harter stanowczym tonem. — Oczywiście, że nie. Mówię poważnie, Charles. Tego właśnie wieczora, bardziej niż kiedykolwiek, chciałam być sama.

Charles spojrział na nią zdziwiony, ale pani Harter nie raczyła udzielić mu dalszych wyjaśnień. Była odważną i stanowczą starą damą. Czuła, że musi o własnych siłach przebrnąć przez ten epizod swego życia.

W piątek wieczorem w domu panowała zupełna cisza. Pani Harter zasiadła jak zwykle w ustawionym obok kominka fotelu. Wszystko zostało przygotowane. Tego ranka poszła do banku, pobrała pięćdziesiąt funtów w banknotach i wręczyła je Elizabeth mimo jej płaczliwych protestów. Uporządkowała wszystkie swoje rzeczy osobiste i przyczepiła do kilku sztuk biżuterii karteczki z nazwiskami przyjaciół lub krewnych. Sporządziła również listę poleceń dla Charlesa: serwis do herbaty z worcesterskiej porcelany ma dostać kuzynka Emma; wazy z Sevres — młody William i tak dalej.

Popatrzyła na długą kopertę, którą trzymała w dłoni; wyciągnęła z niej złożony dokument. Był to jej testament, o przysłanie którego poprosiła pana Hopkinsona. Przeczytała go już wcześniej bardzo uważnie, ale teraz raz jeszcze przejrzała dokument, by odświeżyć sobie w pamięci jego treść. Był krótki i zwięzły: zapis w wysokości pięćdziesięciu funtów dla Elizabeth Marshall w uznaniu jej wiernej służby, po pięćset funtów dla siostry oraz dla brata ciotecznego. Całą resztę miał otrzymać jej ukochany siostrzeniec, Charles Ridgeway.

Pani Harter kilkakrotnie kiwnęła głową. Kiedy umrę — pomyślała — Charles zostanie bardzo bogatym człowiekiem.

Cóż, był dla mnie dobrym chłopcem. Zawsze uprzejmy i czuły... zawsze potrafił rozerwać mnie wesołą rozmową.

Zerknęła na zegar. Jeszcze trzy minuty. Była gotowa. I spokojna... całkiem spokojna. Choć kilka razy powtarzała sobie w duchu te ostatnie słowa, jej serce biło dziwnie i nierówno. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej nerwy napięte są do granic możliwości.

Wpół do dziesiątej. Radio było włączone. Zastanawiała się co usłyszy. Znajomy głos spikera zapowiadającego pogodę, czy też płynący z oddali głos mężczyzny, który umarł przed dwudziestu pięciu laty?

Ale nie usłyszała żadnego z nich. Dobięł ją natomiast dźwięk, dźwięk, który dobrze знаła, ale który tego wieczora sprawił, że poczuła, jakby ktoś położył jej na sercu swą lodowatą dłoń. Był to jakiś chrobot przy drzwiach...

Potem wydało jej się, że przez pokój przeleciał zimny powiew wiatru. Pani Harter nie miała już

wątpliwości, jakie ogarnęło ją uczucie. Był to strach... Była przestraszona, wręcz przerażona...

I nagle przyszła jej do głowy pewna myśl: Dwadzieścia pięć lat to długo. Patrick jest teraz dla mnie obcym człowiekiem.

Ogarnął ją paniczny lęk.

Za drzwiami rozległy się ciche kroki... ciche szuranie nogami. Potem drzwi otworzyły się bezszmerowo...

Pani Harter z trudem podniosła się i wbiła wzrok w drzwi. Coś wysunęło się z jej dłoni i wpadło do paleniska.

Wydała stłumiony okrzyk, który zamarł jej na ustach. W przyćmionym świetle uchylonych drzwi dostrzegła znajomą postać z kasztanową brodą i bokobrodami, ubraną w staromodny wiktoriański żakiet. Patrick przyszedł po nią!

Jej owładnięte strachem serce zabiło raz jeszcze i znieruchomiało.

Bezwładnie osunęła się na podłogę.

W godzinę później znalazła ją Elizabeth.

Natychmiast wezwano doktora Meynella, a Charlesa Ridgewaya oderwano od partii brydża. Ale nic nie można było już zrobić. Żaden człowiek nie mógł już pomóc pani Harter.

Dopiero w dwa dni później Elizabeth przypomniała sobie o liście, który wręczyła jej pani Harter. Doktor Meynell przeczytał jego treść z wielkim zainteresowaniem, po czym pokazał go Charlesowi Ridgewayowi.

— Co za dziwny zbieg okoliczności — powiedział. — Wszystko wskazuje na to, że pańska ciotka miewała halucynacje; zdawało jej się, że słyszy głos swego nieżyjącego męża. Musiała być napięta nerwowo do tego stopnia, że podniecenie okazało się fatalne w skutkach. Kiedy nadszedł wyznaczony czas, doznała szoku i umarła.

— Autosugestia? — spytał Charles.

— Coś w tym rodzaju. Zawiadomię pana jak najszybciej o wynikach sekcji zwłok, choć osobiście nie mam co do ich wyniku żadnych wątpliwości. W tych okolicznościach sekcja zwłok jest jedynie czystą formalnością.

Charles kiwał głową ze zrozumieniem.

Poprzedniej nocy, kiedy wszyscy domownicy byli już w łóżkach, usunął przewody biegnące od radioodbiornika do swojej sypialni, mieszczącej się piętro wyżej. A ponieważ wieczór był chłodny, poprosił Elizabeth, by napaliła w kominku i wrzucił do niego kasztanową brodę oraz bokobrody. Należące zaś do zmarłego wuja części garderoby włożył z powrotem do pachnącego kamforą kufra

na strychu.

Nie miał wątpliwości, że jest całkowicie bezpieczny. Plan, który zrodził się w jego umyśle, kiedy doktor Meynell powiedział mu, że pani Harter, przy odpowiedniej dbałości o siebie może pożyć jeszcze wiele lat, wspaniale się powiódł. „Nagły wstrząs” — powiedział doktor Meynell. Charles, ten czuły młody człowiek, uwielbiany przez stare damy, uśmiechnął się do siebie.

Po wyjściu doktora, Charles przystąpił do swych obowiązków. Trzeba było załatwić sprawy związane z pogrzebem. Należało wyszukać w rozkładzie jazdy pociągi dla przybywających z daleka krewnych. Niektórzy z nich musieli zatrzymać się na noc. Charles zajął się tym wszystkim sprawnie i metodycznie, choć wszystkim tym czynnościom towarzyszył ukryty nurt jego własnych myśli.

Ich istota sprowadzała się do zachwytu nad niezwykle pomyślnym obrotem spraw. Nikt nie wiedział o niebezpiecznym położeniu, w jakim się znajdował; ostatnią osobą, która mogłaby mieć o tym pojęcie, była jego zmarła ciotka. Jego poczynania, starannie skrywane przed światem, doprowadziły go do sytuacji, w której zagrażało mu więzienie.

Wiedział, że jeśli nie zdobędzie w ciągu najbliższych miesięcy znacznej sumy pieniędzy, zostanie zdemaskowany i zrujnowany. Ale teraz zagrożenie minęło. Charles uśmiechnął się do własnych myśli. Dzięki niewinnemu żarcikowi, który nie nosił przecież żadnych znamion przestępstwa, został ocalony. Był teraz bardzo bogatym człowiekiem. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, gdyż pani Harter nigdy nie ukrywała przed nim swych zamiarów.

Elizabeth, jakby pragnąc dostroić się do jego myśli, wsunęła głowę przez drzwi i oznajmiła, że przyszedł pan Hopkinson, który chciałby z nim porozmawiać,

„Najwyższy czas” — pomyślał Charles. Z trudem powstrzymując się od wesołego pogwizdywania, przybrał stosownie poważny wyraz twarzy i udał się do biblioteki, by powitać pedantycznego, starego gentlemana, który od ponad ćwierćwiecza był doradcą prawnym pani Harter.

Na zaproszenie Charlesa prawnik usiadł, zakaszłał sucho i przystąpił do rzeczy.

— Niezupełnie rozumiem treść pańskiego listu do mnie, panie Ridgeway. Najwyraźniej uważa pan, że testament zmarłej pani Harter jest w naszym posiadaniu, czyż tak? Charles spojrział na niego uważnie.

— Ależ oczywiście... tak przynajmniej mówiła moja ciotka.

— Och! Istotnie, istotnie. On był w naszym posiadaniu.

— Był?

— To właśnie mówię. W ubiegły wtorek pani Harter napisała do nas list z prośbą, by go jej odesłać.

Charlesa ogarnął niepokój. Miał mgliste przecucie, że czeka go coś nieprzyjemnego.

— Niewątpliwie znajduje się wśród dokumentów zmarłej — ciągnął spokojnie prawnik.

Charles milczał. Obawiał się, że powie coś niestosownego. Przejrzał już dokumenty pani Harter na tyle dokładnie, by mieć całkowitą pewność, że nie ma wśród nich testamentu. Odzyskawszy po chwili panowanie nad sobą, oznajmił to prawnikowi. Kiedy mówił, wydawało mu się, że jego własny głos brzmi nienaturalnie, a po plecach spływa mu zimny pot.

— Czy ktoś przeglądał jej rzeczy osobiste? — spytał prawnik.

Charles odparł, że zrobiła to pokojówka pani Harter, Elizabeth. Pan Hopkinson zaproponował, by ją wezwać. Zjawiła się natychmiast, ponura i sztywna, by odpowiedzieć na zadawane jej pytania.

Oznajmiła, że przejrzała całą garderobę i rzeczy osobiste swej pani. Miała całkowitą pewność, że nie było wśród nich testamentu. Stwierdziła, że wie, jak on wygląda, ponieważ jej pani miała go w ręku rano w dniu swej śmierci.

— Czy jest pani tego pewna? — spytał ostro prawnik.

— Owszem, sir. Tak mi powiedziała moja pani i wręczyła mi pięćdziesiąt funtów w banknotach. Testament był w długiej, niebieskiej kopercie.

— Zgadza się — potwierdził pan Hopkinson.

— Przyszło mi teraz do głowy — ciągnęła Elizabeth — że taka sama niebieska koperta leżała na tym stole następnego ranka... ale była pusta. Położyłam ją na biurku.

— Przypominam sobie, że ją tam widziałem — powiedział Charles.

Wstał i podszedł do biurka. Po chwili odwrócił się z kopertą w ręku i wręczył ją panu Hopkinsonowi. Prawnik obejrzał ją i pokiwał głową.

— Tak, to właśnie jest koperta, w której w ubiegły wtorek wysłałem testament.

Obaj mężczyźni obrzucili Elizabeth badawczym spojrzeniem.

— Czy życzy pan sobie ode mnie czegoś jeszcze, sir? — spytała pełnym szacunku tonem.

— To na razie wszystko, dziękuję. Elizabeth ruszyła w stronę drzwi.

— Chwileczkę — zatrzymał ją prawnik. — Czy tego wieczora paliło się w kominku?

— Owszem, sir, zawsze się w nim pali.

— Dziękuję, to wystarczy.

Elizabeth wyszła. Charles wychylił się do przodu i oparł drżącą dłoń na stole.

— Co pan ma na myśli? Do czego pan zmierza? Pan Hopkinson potrząsnął głową.

— Miejmy nadzieję, że testament się znajdzie. Jeśli nie...

— No właśnie, co będzie, jeśli się nie znajdzie?

— Niestety, nasuwa się tylko jeden wniosek. Pańska ciotka poprosiła o przysłanie jej tego testamentu po to, żeby go zniszczyć. Nie chcąc, by Elizabeth na tym straciła, dała jej równowartość zapisu w gotówce.

— Ale dlaczego? — wykrzyknął wzburzony Charles. — Dlaczego?

Pan Hopkinson zakaszłał sucho.

— Czy nie miał pan... eee... jakiejś sprzeczki ze swoją ciotką, panie Ridgeway? — wymamrotał.

Charles z trudem łapał oddech.

— Ależ skąd! — zawołał z oburzeniem. — Aż do samego końca łączyły nas jak najlepsze, najserdeczniejsze stosunki.

— Ach tak! — powiedział pan Hopkinson, nie patrząc na niego.

Charles przeżył wstrząs domyślając się, że prawnik mu nie wierzy. Kto wie, co ten zasuszony staruch mógł usłyszeć? Może dotarły do niego pogłoski o wyczynach Charlesa? Czy . nie uważał więc za naturalne, że mogły one dotrzeć również do uszu pani Harter i stały się przyczyną kłótni między ciotką a siostrzeńcem?

Ale przecież tak nie było! Charles przeżywał jeden z najbardziej gorzkich momentów w życiu. Wierzono w jego kłamstwa. A teraz, gdy mówił prawdę, spotyka się z nieufnością. Cóż za ironia losu!

Był przekonany, że jego ciotka nie spaliła tego testamentu! Przecież...

Tok jego myśli urwał się nagle. Przed jego oczami pojawił się sugestywny obraz... stara dama chwyta się ręką za serce... coś wyslizguje się z jej dłoni... kartka papieru... i spada wprost na rozżarzone węgle...

Charles posiniał na twarzy. Usłyszał jakiś chrapliwy głos... swój własny głos... który pyta:

— A jeśli ten testament nigdy się nie znajdzie...?

— Istnieje poprzedni testament pani Harter z września 1920 roku. Pańska ciotka zapisała w nim wszystko bratanicy swego męża Miriam Harter, obecnie Miriam Robinson.

Co ten stary głupiec wygaduje? Miriam? Miriam, jej niepozorny mąż i czwórka wrzeszczących bachorów. Cała jego pomysłowość... i wszystko to dla Miriam?

Rozległ się ostry dzwonek telefonu. Charles podniósł słuchawkę. Usłyszał w niej serdeczny, miły głos doktora.

— To pan, panie Ridgeway? Sądziłem, że zechce pan wiedzieć. Właśnie zakończono sekcję zwłok. Nie pomyliłem się co do przyczyny śmierci. Ale dolegliwości sercowe były w istocie znacznie poważniejsze niż to podejrzewałem za jej życia. Stosując się ściśle do moich zaleceń mogła przeżyć najwyżej dwa miesiące. Pomyślałem sobie, że powinienem to panu powiedzieć. Może to przynajmniej pana trochę pocieszy.

— Przepraszam — spytał Charles — czy mógłby pan to powtórzyć?

— Mogła żyć najwyżej dwa miesiące — powtórzył doktor, tym razem nieco głośniejszym głosem. — Niech pan spróbuje spojrzeć na to od tej strony, drogi chłopcze, a przekona się pan...

Ale Charles odłożył już z trzaskiem słuchawkę. Jak przez mgłę dotarł do niego głos prawnika.

— Wielki Boże, panie Ridgeway, czy źle się pan czuje? Niech ich wszystkich diabli porwą! Tego zadowolonego z siebie kauzyperdę. Tego jadowitego starego błazna Meynella. Nie miał przed sobą żadnej nadziei... tylko cień więziennego muru...

Miał wrażenie, że Ktoś zabawił się jego kosztem... zabawił się z nim w kotka i myszkę. Jakże ten Ktoś musiał się teraz śmiać...

Tajemnica błękitnej wazy

Jack Hartington ze smutkiem oglądał efekt swego nieprawidłowego uderzenia. Stojąc przy piłce, patrzył na punkt startowy, oceniając odległość. Jego twarz wyrażała pogardliwe rozgoryczenie. Z westchnieniem wyciągnął kij, machnął nim wściekle dwa razy, niszcząc przy tym mlecz i kępę trawy, po czym skupił uwagę na piłce.

Kiedy ktoś ma dwadzieścia cztery lata i jego jedyną ambicją jest doskonalenie formy w grze w golfa, trudno mu poświęcić czas i uwagę problemom zarabiania na życie. Przez pięć i pół dnia w tygodniu Jack uwięziony był w czymś w rodzaju mahoniowego grobowca w mieście. W sobotnie popołudnia i niedziele z fanatyzmem oddawał się swej prawdziwej pasji życiowej i w przypiływie przesadnego zapału wynajął pokój w małym hotelu w pobliżu pola golfowego Stourton Heath. Wstawał codziennie o szóstej rano, by poćwiczyć przez jakąś godzinę, zanim złapie pociąg o 8.46 do miasta.

Jedyny mankament tego planu polegał na tym, że o tak wczesnej porze czuł się organicznie niezdolny do trafienia w piłkę. Bez względu na to, jakiego kija używał, piłka toczyła się w niewłaściwym kierunku, a umieszczenie jej na równej, zielonej trawie wymagało co najmniej czterech uderzeń.

Jack westchnął, ścisnął mocno kij i powtórzył w myślach magiczne słowa: „Prowadź kij lewą ręką aż do końca i nie poruszaj głową”.

Zamachnął się i zastygł w bezruchu, usłyszawszy przenikliwy okrzyk, który brutalnie zakłócił ciszę letniego poranka.

— Morderstwo! Ratunku! Morderstwo!

Głos kobiecy ucichł nagle, a następnie dało się słyszeć coś w rodzaju rżenia.

Jack rzucił kij i popędził w kierunku, z którego dochodził głos. Dobiegał on z bliska. Ten odcinek pola golfowego znajdował się na odludziu, w pobliżu stały tylko nieliczne domki. Tuż obok znajdował się malowniczy, mały dworek, na który Jack często zwracał uwagę z powodu otaczającej go aury staroświeckiej elegancji. Ruszył więc w tym kierunku. Porośnięty wrzosami pagórek zasłaniał dworek. Jack okrążył go i w niespełna minutę znalazł się przy małej furtce.

W ogrodzie stała jakaś dziewczyna. Jack był przekonany, że to właśnie ona wołała o pomoc. Ale szybko zmienił zdanie. Trzymała w ręku mały koszyk, wypełniony do połowy chwastami, i najwyraźniej rozprostowywała się właśnie po wypieleniu szerokiej rabaty bratków. Jack zauważył, że ma oczy jak bratki: aksamitne, łagodne i ciemne, bardziej fiołkowe niż błękitne. W swej prostej, lnianej pąsowej sukience cała wyglądała jak bratek.

Spojrzenie, którym obrzuciła Jacka, wyrażało jednocześnie irytację i zaskoczenie.

— Bardzo przepraszam — zapytał młody człowiek. — Czy to pani przed chwilą krzyczała?

— Ja? Bynajmniej.

Jej zdziwienie było tak szczere, że Jack poczuł się zakłopotany. Mówiła bardzo łagodnym i miłym głosem z lekkim cudzoziemskim akcentem.

— Ale musiała pani słyszeć ten krzyk — dopytywał się. — Dochodził gdzieś stąd.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Nic nie słyszałam.

Teraz z kolei Jack nie ukrywał zdziwienia. Wydawało mu się zupełnie niewiarygodne, że nie słyszała tego rozpaczliwego wołania o pomoc. Ale widząc jej spokój, nie śmiał podejrzewać, że go okłamuje.

— Dobiegał gdzieś z bliska — powtórzył z uporem. Teraz ona spojrzała na niego podejrzliwie.

— Jak brzmiał ten okrzyk? — spytała.

— Morderstwo! Ratunku! Morderstwo!

— Morderstwo! Ratunku! Morderstwo! — powtórzyła dziewczyna. — Ktoś zrobił panu głupi kawał, *Monsieur*. Któż miałby tu zostać zamordowany?

Jack rozejrzał się, jakby oczekując, że nagle dostrzeże na ogrodowej ścieżce jakieś zwłoki. Miał nadal całkowitą pewność, że naprawdę słyszał krzyk, że nie powstał on w jego wyobraźni. Zerknął w stronę okien domku. Panował tam idealny spokój i cisza.

— Czy chce pan przeszukać nasz dom? — spytała lodowatym tonem dziewczyna.

Jej wyraźny sceptycyzm wprowadził Jacka w jeszcze większe zakłopotanie. Zamierzał się oddalić.

— Przepraszam — powiedział. — Widocznie ten głos dochodził z głębi lasu.

Uchylił czapki i odszedł. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że dziewczyna zabrała się ponownie do pielienia grządek.

Przez jakiś czas przeszukiwał las, ale nie znalazł niczego, co wskazywałoby, że wydarzyło się tu coś niezwykłego. A jednak nadal był przeświadczony, że naprawdę słyszał krzyk. W końcu zrezygnował z poszukiwań i pognął do hotelu, by w pośpiechu przełknąć śniadanie i zdążyć na pociąg o 8.46. Zazwyczaj docierał na stację parę sekund przed jego odjazdem. Kiedy zajął miejsce w przedziale, odezwały się w nim lekkie wyrzuty sumienia. Czy nie powinien był natychmiast zawiadomić o wszystkim policji? Powstrzymał go od tego wyłącznie sceptycyzm dziewczyny. Najwyraźniej podejrzewała go o bujną wyobraźnię. Być może policja potraktowałaby go podobnie. Czy był absolutnie pewny, że słyszał ten krzyk?

Teraz nie miał już takiej pewności jak przedtem, tak bywa, kiedy próbuje się odtworzyć minione wrażenia. A może był to dobiegający z oddali krzyk jakiegoś ptaka, który on wziął za głos kobiety?

Z gniewem odrzucił tę możliwość. Głos, który usłyszał, był z całą pewnością głosem kobiecym. Pamiętał, że zanim rozległ się krzyk, zerknął na zegarek. Było około dwadzieścia pięć po siódmej. Ten fakt mógł okazać się przydatny dla policji, o ile... o ile coś odkryje.

Wracając wieczorem do hotelu, przerzucił nerwowo popołudniowe gazety, chcąc sprawdzić, czy nie ma w nich jakiejś wzmianki o popełnionym przestępstwie. Nie znalazł jednak nic i sam nie wiedział, czy powinien odczuwać ulgę czy zawód.

Następnego ranka padał deszcz. Taka pogoda musiała ostudzić zapał nawet najbardziej zapalonego gracza. Jack wstał w ostatniej chwili, przełknął śniadanie, pobiegł do pociągu i znów gorączkowo wertował dzienniki. Nadal nie znajdował w nich najmniejszej wzmianki o dokonaniu jakiegoś makabrycznego odkrycia. Nie było jej również w gazetach popołudniowych.

— To dziwne — powiedział do siebie — ale tak wygląda prawda. Zapewne jacyś niezośni smarkacze bawili się w lesie.

Nazajutrz rano zjawił się na polu golfowym bardzo wcześnie. Kiedy przechodził obok domku, zauważył kątem oka, że dziewczyna znów piełi ogrodowe rabatki. Najwyraźniej miała taki zwyczaj. Wykonał wyjątkowo udane uderzenie i miał nadzieję, że to dostrzegła. Szykując się do następnego, zerknął na zegarek.

— Dokładnie dwadzieścia pięć po siódmej — mruknął. — Ciekawe, czy...

Słowa zamarły mu na ustach. Za jego plecami rozległ się ten sam krzyk, który poprzednio tak bardzo go przeraził. Był to rozpaczliwy głos kobiety, której życiu zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo.

— Morderstwo! Ratunku! Morderstwo!

Jack pognał w stronę domku. Dziewczyna stała przy furtce. Wydawała się zaskoczona, gdy Jack podbiegł do niej, wołając triumfująco:

— Tym razem chyba pani słyszała!

W jej szeroko otwartych oczach odbijało się coś, czego nie potrafił zgłębić. Zauważył jednak, że kiedy do niej podszedł, zrobiła krok do tyłu i zerknęła w stronę domku, jakby rozważając możliwość schronienia się w nim.

Patrząc mu w oczy potrząsnęła głową.

— Nic nie słyszałam — odparła stanowczo.

Jack poczuł się, jakby zadała mu cios między oczy. Jej słowa brzmiały tak szczerze, że musiał jej wierzyć. Ale przecież ten krzyk nie mógł zrodzić się w jego wyobraźni... nie mógł... nie mógł...

— Przeżył pan wstrząs nerwowy podczas bombardowania, prawda? — spytała łagodnie, niemal ze współczuciem.

W mgnieniu oka zrozumiał, dlaczego wydawała mu się zalękniona i zerkąła w stronę domu. Przypuszczała, że on cierpi na urojenia...

Nagle, jak zimny prysznic, poraziła go straszliwa myśl. Może dziewczyna ma rację? Może rzeczywiście cierpi na urojenia? Przerażony tą myślą, odwrócił się i odszedł bez słowa.

Dziewczyna obserwowała go przez chwilę, po czym westchnęła, potrząsnęła głową i pochyliła się znów nad rabatką.

Jack próbował w myślach znaleźć logiczne rozwiązanie tej zagadki.

— Jeśli dwadzieścia pięć po siódmej znów usłyszę ten cholerny wrzask — powiedział do siebie — będzie jasne, że mam jakieś halucynacje. Ale nie usłyszę go.

Przez cały dzień dręczył go niepokój i wczesnie położył się do łóżka z postanowieniem przeprowadzenia następnego ranka jeszcze jednej próby.

Jak można było się spodziewać, przez pół nocy nie zmrużył oka, toteż w końcu zaspał. Wyszedł z hotelu dwadzieścia po siódmej i ruszył pędem w kierunku pola golfowego. Zdawał sobie sprawę, że nie zdąży dotrzeć na czas do fatalnego miejsca. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli ten głos był tylko zwykłą halucynacją, usłyszy go wszędzie. Biegł dalej, wpatrując się we wskazówki swego zegarka.

Dwadzieścia pięć po siódmej. Z oddali dotarł do niego odbity przez echo krzyk kobiety. Nie mógł rozróżnić poszczególnych słów, ale był przekonany, że to ten sam krzyk, który słyszał poprzednio i że dobiega on z tego samego miejsca, z sąsiedztwa małego domku.

O dziwo, fakt ten dodał mu otuchy. Bądź co bądź, mogła to być jakaś mistyfikacja. Być może, choć wydawało się to mało prawdopodobne, dziewczyna spłatała mu figła. Wyprostował się z determinacją i wyjął z torby kij. Postanowił przeciwyczyć kilka uderzeń i zbliżyć się do domku.

Dziewczyna jak zwykle była w ogrodzie. Tym razem podniosła na niego wzrok, a kiedy uchylił czapki, powitała go nieśmiało... Wyglądała jeszcze bardziej uroczo niż przedtem.

— Ładny dzień, prawda? — zawołał pogodnie Jack, przeklinając w duszy banalność tego postrzeżenia.

— Owszem, istotnie jest piękny.

— Dobry dla ogrodu, jak sądzę?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, ujawniając urzekające dołeczki w policzkach.

— Niestety nie! Moim kwiatom potrzebny jest deszcz. Widzi pan jakie są wyschnięte.

Jack potraktował jej gest jako zaproszenie, podszedł więc do niskiego żywopłotu, oddzielającego ogród od pola golfowego i popatrzył ponad nim w stronę rabatek.

— Wyglądają całkiem nieźle — zauważył niezręcznie, zdając sobie sprawę, że dziewczyna spogląda na niego współczująco.

— To dobrze, że świeci słońce — powiedziała. — Kwiaty zawsze można podlać. Ale słońce daje siłę i poprawia stan zdrowia. Widzę, że *Monsieur* czuje się dziś znacznie lepiej.

Pobłażliwy ton jej głosu zdenerwował Jacka. Niech to diabli! — powiedział do siebie. — Najwyraźniej próbuje mnie leczyć metodą sugestii.

— Czuję się świetnie — oznajmił.

— To doskonale — odparła szybko uspokajającym głosem. Jack wyczuł, że dziewczyna mu nie wierzy i wzbudziło to w nim irytację. Wykonał jeszcze kilka uderzeń i pospiesznie wrócił do hotelu. Jedząc śniadanie, zauważył, zresztą nie po raz pierwszy, iż siedzący przy sąsiednim stole starszy mężczyzna bacznie mu się przygląda. Miał on małą, ciemną brodę i bardzo przenikliwe, szare oczy, a jego pewny siebie sposób bycia sugerował, że zajmuje wysoką pozycję zawodową. Jack wiedział, że nazywa się Lavington i słyszał od kogoś, iż jest on bardzo znanym specjalistą w dziedzinie medycyny, ale ponieważ rzadko bywał na Harley Street, nazwisko to mówiło mu niewiele lub zgoła nic.

Tego ranka zdał sobie jednak sprawę, że pan Lavington obserwuje go skrycie i poczuł się tym lekko zaniepokojony. Czyżby swoją tajemnicę miał wypisaną na twarzy? Czy ten człowiek z racji swego zawodu zorientował się, że w jego szarych komórkach coś szwankuje?

Na samą myśl o tym wstrząsnął nim dreszcz. Czyżby to była prawda? Czyżby rzeczywiście popadał w obłąd? Czy wszystko to było wynikiem halucynacji, czy też jakąś kolosalną mistyfikacją?

Nagle wpadł mu do głowy bardzo prosty sposób rozwiązania zagadki. Do tej pory chodził po polu golfowym sam. A gdyby tak ktoś dotrzymał mu towarzystwa? Mogła wtedy zaistnieć jedna z trzech sytuacji. Głos mógł się nie odezwać, mogli usłyszeć go obaj, albo mógł go usłyszeć tylko on.

Tego wieczora zaczął wcielać swój plan w życie. Chciał, by towarzyszył mu Lavington. Z łatwością nawiązał z nim rozmowę. Starszy pan zdawał się tylko czekać na tę okazję. Nie ulegało wątpliwości, że z jakichś przyczyn Jack go interesuje. Jackowi udało się w sposób naturalny zaproponować mu, by przed śniadaniem rozegrali partię golfa. Umówili się na następną ranek.

Wyruszyli trochę przed siódmą. Był piękny, bezwietrzny, niezbyt upalny dzień. Doktor grał dobrze, a Jack beznadziejnie. Myślał wyłącznie o zbliżającym się kryzysie. Zerkał ukradkiem na zegarek. Dotarli do siódmego dołka, znajdującego się w pobliżu domku mniej więcej dwadzieścia po siódmej.

Kiedy przechodzili obok niego, dziewczyna jak zwykle znajdowała się w ogrodzie. Nie podniosła głowy. Na równym, zielonym trawniku leżały dwie piłki. Jack stał blisko dołka, doktor trochę dalej.

— Nie ma rady — powiedział Lavington — chyba będę musiał zaryzykować.

Pochylił się, by ocenić siłę i kierunek uderzenia. Jack stał wyprostowany, nie odrywając oczu od zegarka. Było dokładnie dwadzieścia pięć po siódmej.

Piłka pomknęła szybko po trawie, zatrzymała się na brzegu dołka, zawahała się i wpadła do środka.

— Dobrze uderzenie — stwierdził Jack. Jego głos zabrzmiał chrapliwie i nienaturalnie... Z westchnieniem ulgi przesunął zegarek powyżej nadgarstka. Nic się nie wydarzyło. Zła passa została przełamana.

— Jeśli zgodzi się pan chwilę poczekać — poprosił — to chciałbym zapalić fajkę.

Zatrzymali się przy ósmym dołku. Jack napełnił i zapalił fajkę, nie mogąc opanować drżenia palców. Czuł się tak, jakby spadł mu z serca ogromny ciężar.

— Boże, co za piękny dzień — zauważył, patrząc z zadowoleniem na rozpościerający się przed nim krajobraz. — Proszę, panie Lavington, pańska kolej.

I wtedy to usłyszał. Dokładnie w momencie, w którym doktor uderzał piłkę. Przerażliwy, rozzwierający krzyk kobiety.

— Morderstwo! Ratunku! Morderstwo!

Fajka wypadła mu z drżącej dłoni, odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos, ale przypomniał sobie o swoim planie i spojrzął z niepokojem na swego towarzysza.

Lavington, przysłaniając oczy, spoglądał na pole golfowe.

— Trochę za słabo, ale chyba ominąłem ten piaszczysty skrawek.

Najwyraźniej nie usłyszał nic.

Jack miał wrażenie, że cały świat wiruje mu przed oczami. Słaniając się na nogach zrobił parę kroków. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na trawie, a Lavington pochylał się nad nim.

— Spokojnie, spokojnie.

— Co mi się stało?

— Zemdlął pan, miody człowieku, a w każdym razie usilnie próbował pan tego dokonać.

— Mój Boże! — jęknął Jack.

— Na czym polega pański problem? Czy coś pana gnębi?

— Opowiem o tym za chwilę, ale najpierw chciałbym pana o coś zapytać.

Doktor zapalił fajkę i usiadł na ławce.

— Proszę, niech pan pyta o co pan chce — rzekł łagodnie.

— Obserwuje mnie pan od paru dni. Dlaczego?

Oczy Lavingtona zalśniły.

— To dość krępujące pytanie. Każdy ma prawo przyglądać się bliźnim.

— Proszę mi odpowiedzieć. Mówię serio. Dlaczego? Mam bardzo istotny powód, by o to pytać.

Lavington spoważniał.

— Odpowiem panu całkiem szczerze. Dostrzegłem w panu wszystkie objawy ostrego napięcia i zastanawiałem się, co może być tego źródłem.

— Mogę to panu z łatwością wyjaśnić — oznajmił z goryczą Jack. — Zaczynam popadać w obłąd.

Zrobił dramatyczną pauzę, ale ponieważ stwierdzenie to nie wzbudziło w jego rozmówcy ani zainteresowania, ani konsternacji, jakich oczekiwał, powtórzył.

— Powiadam panu, że zaczynam popadać w obłąd.

— Hm, bardzo interesujące — mruknął Lavington. — Naprawdę, bardzo interesujące.

Jack poczuł irytację.

— Przypuszczam, że dla pana to tylko kolejny interesujący przypadek. Lekarze są cholernie bezduszni.

— Ależ, mój młody przyjacielu, mówi pan głupstwa. Zacznijmy od tego, że choć posiadam dyplom, nie jestem praktykującym lekarzem. Ściślej mówiąc, nie jestem lekarzem, to znaczy, nie jestem lekarzem ciała.

Jack spojrział na niego przenikliwie.

— Tylko lekarzem umysłu?

— Owszem, w pewnym sensie, choć prawdę mówiąc, nazywam siebie lekarzem duszy.

— Och!

— Wyczuwam w pańskim tonie lekceważenie, ale przecież musimy użyć jakiegoś słowa na określenie tego aktywnego składnika, który może być oddzielony od swej cielesnej powłoki, czyli ludzkiego ciała, i istnieć niezależnie od niego. Musi pan, młody człowieku, pogodzić się z istnieniem duszy; nie jest to tylko termin religijny, wynaleziony przez księży. Możemy nazywać ją psychiką czy

podświadomością lub też posłużyć się jakimkolwiek innym określeniem, które będzie panu bardziej odpowiadało. Oburzył pana przed chwilą mój ton, ale naprawdę wydało mi się bardzo interesujące, że tak zrównoważony i całkiem normalny młody człowiek jak pan, może wmawiać w siebie, iż popada w obłąd.

— Ja naprawdę popadam w obłąd. Zupełnie zwariowałem.

— Proszę mi wybaczyć to, co powiem, ale nie wierzę panu.

— Cierpię na urojenia.

— Po kolacji?

— Nie, rano.

— To niemożliwe — powiedział doktor, ponownie zapalając swą wygasłą fajkę.

— Słyszę głosy, których nie słyszy nikt inny.

— Jeden człowiek na tysiąc potrafi dostrzec księżyc Jowisza. Nie należy jednak wątpić w istnienie księżyców Jowisza dlatego tylko, że nie widzi ich pozostałych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi, a już z pewnością nie ma powodu, by nazywać tego tysięcznego człowieka szaleńcem.

— Istnienie księżyców Jowisza jest naukowo dowiedzionym faktem.

— Całkiem możliwe, że to, co dziś uważamy za urojenia, już jutro stanie się naukowo dowiedzionym faktem.

Rzeczowy ton Lavingtona odniósł skutek. Jack poczuł się o wiele spokojniejszy. Doktor przez parę minut przyglądał mu się uważnie, a potem skinął głową.

— Już lepiej — stwierdził. — Wy, młodzi ludzie, uważacie, że nie istnieje nic, co wykracza poza waszą własną filozofię, więc kiedy zdarzy się coś, co podważa tę opinię od razu wpadacie w panikę; na tym polega cały kłopot. Proszę mi powiedzieć, na jakiej podstawie dopatruje się pan w sobie początków obłądu, a ja zdecyduję, czy należy pana zamknąć w domu wariatów.

Jack zrelacjonował mu najwierniej jak potrafił przebieg wydarzeń.

— Nie rozumiem tylko — zakończył — dlaczego dziś rano rozległ się on o wpół do siódmej, z pięciominutowym opóźnieniem.

Lavington zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

— Która jest teraz u pana?

— Za piętnaście ósma — odparł Jack, spojrzawszy na zegarek.

— A więc odpowiedź jest całkiem prosta. Na moim jest za dwadzieścia ósma. Pański zegarek spieszy się o pięć minut. To bardzo interesujący i ważny szczegół — przynajmniej dla mnie. W istocie jest to bezcenna wskazówka.

— Jak to? — spytał Jack, coraz bardziej zaciekawiony.

— No cóż, narzuca się następujące wyjaśnienie: pierwszego ranka usłyszał pan ten okrzyk. Może to był żart, a może nie. Przez kolejne dni wmawiał pan w siebie, że usłyszysz go pan dokładnie o tej samej porze.

— Niczego w sobie nie wmawiałem.

— Oczywiście, nie robił pan tego świadomie, ale podświadomość płata nam różne dziwne figle. Tak czy owak, to wytłumaczenie jest nie do przyjęcia. Gdyby to była autosugestia, usłyszałby pan ten krzyk, w momencie gdy pański zegarek wskazywał dwadzieścia pięć po siódmej i w żadnym wypadku nie mógłby pan go słyszeć po tym czasie.

— A zatem?

— A zatem wszystko jest jasne, prawda? To wołanie o pomoc zajmuje dokładnie określone miejsce w czasie i przestrzeni. Miejsce, to okolice tego domku, a czas — dwadzieścia pięć po siódmej.

— Tak, ale dlaczego właśnie ja go słyszę? Nie wierzę w duchy ani w żadne tego rodzaju upiorne opowieści... kołaczące się po nocach zjawy i tak dalej. Dlaczego miałbym więc słyszeć ten cholerny wrzask?

— Och, na to w tej chwili nie potrafimy jeszcze odpowiedzieć. To dziwne, ale właśnie wśród zatwardziałych sceptyków zdarzają się często najlepsze media. Duchy objawiają się nie tym, którzy próbują zgłębić zjawiska okultystyczne. Nie wiemy, dlaczego niektórzy ludzie widzą i słyszą rzeczy niewidzialne i niesłyszalne dla innych. W dziewięciu przypadkach na dziesięć nie chcą oni ich widzieć ani słyszeć i są przeświadczeni, podobnie jak pan, że cierpią na urojenia. To jest jak z elektrycznością. Pewne substancje są dobrymi przewodnikami, inne nie. Przez długi czas nie wiedzieliśmy, dlaczego tak jest i musieliśmy poprzestać na akceptacji tego faktu. Teraz już wiemy. Pewnego dnia dowiemy się niewątpliwie, dlaczego pan słyszy ten głos, a ja i dziewczyna nie słyszymy go. Wszystkim rządzą prawa natury i w gruncie rzeczy nie ma czegoś takiego jak zjawiska nadprzyrodzone. Odkrycie praw rządzących tak zwaną ludzką psychiką będzie trudne, i każda drobna informacja w tej kwestii jest krokiem naprzód.

— Ale co ja mam robić? — spytał Jack.

Lavington zachichotał.

— Widzę, że podchodzi pan do tego zagadnienia w sposób praktyczny. No cóż, mój młody przyjacielu, powinien pan zjeść dobre śniadanie i pojechać do miasta, nie zaprzatając sobie głowy sprawami, których pan nie pojmuje. Ja natomiast zamierzam pokręcić się po okolicy i dowiedzieć

czegoś o tym domku. Mógłbym przysiąc, że tam właśnie kryje się rozwiązanie tajemnicy.

Jack wstał.

— Ma pan rację, sir. Zgadzam się, ale...

— Ale co?

Jack poczerwieniał z zażenowania.

— Jestem pewny, że ta dziewczyna jest w porządku — wymamrotał.

Lavington wyglądał na rozbawionego.

— Nie powiedział mi pan, że jest ładna! No cóż, głowa do góry! Przypuszczam, że cała ta tajemnicza sprawa zaczęła się, zanim ona zamieszkała w tym domku.

Tego wieczora Jack powrócił do hotelu niemal chory z ciekawości. Zaufał Lavingtonowi bez zastrzeżeń. Doktor potraktował całą sprawę w sposób tak naturalny, był tak rzeczowy i spokojny, że Jack uległ jego sile perswazji.

Kiedy zszedł na kolację, nowy przyjaciel czekał na niego w hallu i zaproponował, by usiedli przy tym samym stole.

— Czy ma pan jakieś wieści, sir? — spytał Jack z niepokojem.

— Udało mi się poznać dzieje Heather Cottage. Dawniej wynajmował go pewien stary ogrodnik z żoną. Staruszek umarł, a ona przeniosła się do córki. Wtedy domek kupił pewien przedsiębiorca budowlany, przeprowadził jego udaną modernizację, a potem odsprzedał go pewnemu dżentelmenowi z miasta, przyjeżdżającemu tu na weekendy. Mniej więcej przed rokiem kupili go niejacy państwo Turner. Z informacji, jakie uzyskałem wynika, że stanowili dość dziwną parę. On był Anglikiem, jego żona zaś — piękna kobieta o egzotycznej urodzie — uchodziła za pół-Rosjankę. Żyli bardzo spokojnie, nie widywali nikogo i rzadko wychodzili poza własny ogród. W miasteczku krążą słuchy, że czegoś się obawiali, nie sądzę jednak, by mogły nas one daleko zaprowadzić.

Pewnego dnia nagle zniknęli; wyjechali wczesnym rankiem i nigdy więcej nie wrócili. Tutejszy pośrednik handlu nieruchomościami otrzymał list od pana Turnera, wysłany z Londynu, w którym ten zlecał mu jak najszybsze wystawienie domu na licytację. Wyprzedano meble, a sam dom kupił niejaki pan Mauleverer. Mieszkał w nim zaledwie przez dwa tygodnie, a potem ogłosił, że chce go wynająć wraz z umeblowaniem. Obecnie dom zajmuje pewien chory na gruźlicę francuski profesor z córką. Przebywają tu zaledwie od dziesięciu dni.

Jack przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

— Nie uważam, by posunęło nas to choć odrobinę naprzód — rzekł w końcu. — A co pan o tym sądzi?

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tych Turnerach — oznajmił Lavington. — Jak już wspomniałem, opuścili dom bardzo wczesnie rano. Ze zdobytych przeze mnie informacji wynika, że nikt nie zauważył ich odjazdu. Pana Turnera widywano tu od czasu do czasu, ale nie znalazłem nikogo, kto widziałby jego żonę.

Jack pobladł.

— Nie jest to chyba... nie chce pan powiedzieć...

— Proszę się tak nie ekscytować, mój młody przyjacielu. Każdy człowiek wywiera w chwili śmierci — zwłaszcza jeśli jest to śmierć gwałtowna — bardzo silny wpływ na otoczenie. Wpływ ów przenika do tego otoczenia, a ono z kolei przekazuje go odpowiednio nastrojonej odbiorcy, którego rolę, w tym przypadku, odegrał pan.

— Ale dlaczego właśnie ja? — mruknął Jack z niedowierzaniem. — Dlaczego nie ktoś, kto mógłby okazać się w czymś pomocny?

— Traktuje pan najwyraźniej siły natury jako racjonalne i logiczne, nie zaś jako ślepe i mechaniczne. Co do mnie, nie wierzę w powracające na ziemię duchy, które nawiedzają określone miejsca w określonym celu. Ale stykałem się tak często z pewnym zjawiskiem, że nie mogę tego uznać za zwykły zbieg okoliczności. Mam na myśli ślepe poszukiwanie sprawiedliwości, niewidzialne działanie sił, zawsze zmierzających skrycie ku temu celowi...

Otrząsnął się, jakby odpędzając od siebie jakąś niezwykle dręczącą go obsesję, po czym spojrzał na Jacka już z uśmiechem.

— Porzućmy ten temat — zaproponował — przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Jack skwapliwie przyjął tę sugestię, choć niełatwo mu było usunąć niepokój ze swych myśli.

W czasie weekendu przeprowadził energiczne śledztwo na własną rękę, ale nie dowiedział się o wiele więcej niż doktor.

W każdym razie postanowił zrezygnować z gry w golfa przed śniadaniem.

Następne ogniwo w łańcuchu miało nieoczekiwane źródło. Pewnego dnia, kiedy Jack wrócił do hotelu, poinformowano go, że czeka na niego jakaś młoda dama. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu okazała się nią dziewczyna z ogrodu. Była bardzo zdenerwowana i zmieszana.

— Proszę mi wybaczyć, *Monsieur*, że nachodzę pana w taki sposób, ale chciałabym panu coś wyznać... Ja...

Rozejrzała się niepewnie wokół siebie.

— Wejźmy tutaj — zaproponował natychmiast Jack, wprowadzając ją do pustego o tej porze hotelowego saloniku, ponurego pomieszczenia, w którego wystroju przeważał czerwony plusz. — Proszę usiąść, panno... panno...

— Marchaud, *Monsieur*, Felise Marchaud.

— Proszę usiąść, Mademoiselle Marchaud i powiedzieć mi, o co chodzi.

Felise posłusznie usiadła. Miała na sobie ciemnozieloną suknię, a piękno i wdzięk jej dumnej twarzy rzuciły się w oczy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Kiedy usiadł obok niej, serce zaczęło mu bić nieco szybciej.

— To jest tak — zaczęła Felise. — Mieszkamy tu od niedawna i od samego początku słyszymy, że w tym domu, w naszym ukochanym, małym domku, straszy. Żadna służąca nie chce w nim zamieszkać. Nie ma to większego znaczenia, bo potrafię zajmować się *ménage*, a gotowanie nie sprawia mi trudności.

Istny anioł — pomyślał Jack z zachwytem. — Jest cudowna.

Zachował jednak pozory rzeczowości i powagi.

— Cała ta gadanina o duchach to czyste szaleństwo — tak przynajmniej uważałam jeszcze przed czterema dniami. Ale, *Monsieur*, przez cztery noce z rzędu miałam ten sam sen. Stoi obok mnie jakaś kobieta — piękna, wysoka blondynka.

Trzyma w rękach błękitną chińską wazę. Jest zrozpaczona, ogromnie zrozpaczona i co chwila wyciąga do mnie tę wazę, jakby błagając, żebym coś z nią zrobiła, ale niestety, nie może mówić, więc ja... nie wiem, o co mnie prosi. Tak przedstawiał się ten sen przez pierwsze dwie noce, ale przedwczoraj był dłuższy. Ona i błękitna waza zniknęły i nagle usłyszałam jej krzyk. Wiedziałam, że to jej głos, rozumie pan... i, och! *Monsieur*, wyrzekła słowa, które powtórzył mi pan tego ranka: „Morderstwo! Ratunku! Morderstwo!” Obudziłam się przerażona. Powiedziałam sobie, że to tylko koszmarny sen, a słowa, które pan słyszał, to przypadek. Ale ostatniej nocy sen znów się powtórzył. *Monsieur*, co to może oznaczać? Pan przecież także to słyszał. Co teraz zrobimy?

Na twarzy Felise malował się paniczny strach. Zaciskała nerwowo swe drobne dłonie, spoglądając błagalnie na Jacka. On zaś postanowił udawać spokój, którego bynajmniej nie czuł.

— Wszystko jest w porządku, Mademoiselle Marchaud. Proszę się nie martwić. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym, aby powtórzyła pani całą historię memu przyjacielowi doktorowi Lavington, który tutaj mieszka.

Felise przystała na tę propozycję, więc zaraz udał się na poszukiwania Lavingtona. Wrócił z nim zaledwie w kilka minut później.

Kiedy Jack pospiesznie ich sobie przedstawiał, Lavington bacznie przyglądał się dziewczynie. Uspokoił ją przy pomocy kilku życzliwych słów, a potem wysłuchał uważnie jej opowieści.

— To bardzo interesujące — stwierdził, kiedy skończyła. — Czy powiedziała pani o tym swemu ojcu?

Felise potrząsnęła głową.

— Nie chciałam go niepokoić. Jest poważnie chory. — W jej oczach pojawiły się łzy. — Trzymam go z dala od wszystkiego, co mogłoby go pobudzić lub zdenerwować.

— Rozumiem — rzekł łagodnie Lavington. — I cieszę się, że pani do nas z tym przyszła, Mademoiselle Marchaud. Jak pani wie, obecny tu pan Hartington przeżył podobny wstrząs. Można chyba uznać, że jesteśmy na tropie. Czy nic więcej nie przychodzi pani do głowy?

Felise drgnęła gwałtownie.

— Oczywiście! Jaka jestem głupia. Przecież w tym leży sedno całej sprawy. Proszę popatrzeć, *Monsieur*, co znalazłam w głębi jednej z szaf; musiało się to zsunąć za półkę.

Pokazała im zabrudzony kawałek papieru rysunkowego, na którym namalowano akwarelą portret jakiejś kobiety. Był to zaledwie szkic, lecz chyba dość wiernie oddawał podobieństwo. Przedstawiał wysoką blondynkę o egzotycznej twarzy. Stała obok stołu, na którym widać było błękitną chińską wazę.

— Znalazłam to dopiero dziś rano — wyjaśniła Felise. — *Monsieur le docteur*, to właśnie twarz kobiety, którą widziałam we śnie. I identyczna błękitna waza.

— Niezwykłe — stwierdził Lavington. — A więc kluczem do tajemnicy jest najwyraźniej ta błękitna waza. Wydaje mi się, że pochodzi z Chin i jest bardzo stara. Dostrzegam na niej jakiś dziwny wypukły motyw zdobniczy.

— Z całą pewnością jest chińska — stwierdził Jack. — Widziałem bardzo podobną w zbiorach mego wuja, który jest zamiłowanym kolekcjonerem chińskiej porcelany. Niedawno zauważyłem u niego dokładnie taką samą wazę.

— Chińska waza — powtórzył z zadumą Lavington. Przez parę chwil trwał zatopiony w myślach, a kiedy podniósł głowę, w jego oczach rozbłysły zagadkowe ogniki. — Panie Hartington, od kiedy pański wuj jest właścicielem tej wazy?

— Od kiedy? Doprawdy nie mam pojęcia.

— Proszę się zastanowić. Czy kupił ją niedawno?

— Nie wiem... choć wydaje mi się to możliwe. Ja sam niezbyt interesuję się porcelaną, ale pamiętam, że pokazywał mi swoje „ostatnie nabytki” i ta waza znajdowała się wśród nich.

— Przed dwoma miesiącami...? Państwo Turner opuścili Heather Cottage dokładnie przed dwoma miesiącami.

— Tak, chyba tak.

— Czy pański wuj bierze czasami udział w aukcjach organizowanych na prowincji?

— Zawsze jeździ na takie aukcje.

— Możemy więc z dużym prawdopodobieństwem założyć, że kupił ten okaz na wyprzedaży ruchomości państwa Turner. Dziwny zbieg okoliczności, albo być może to, co nazywam ślepym wymiarem sprawiedliwości.

— Panie Hartington, musi pan natychmiast dowiedzieć się od wuja, gdzie kupił tę wazę.

Na twarzy Jacka pojawiło się rozczarowanie.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Wuj George podróżuje po Europie. Nie wiem nawet, pod jakim adresem do niego pisać.

— Jak długo pozostanie poza krajem?

— Co najmniej trzy tygodnie, a może miesiąc.

Zapadła cisza. Felise spoglądała na nich kolejno z niepokojem.

— Więc nic nie możemy zrobić? — spytała nieśmiało.

— Owszem, możemy zrobić jedną rzecz — odparł Lavington, wyraźnie starając się ukryć podniecenie. — Jest to być może dość niezwykły sposób, ale mam nadzieję, że okaże się skuteczny. Panie Hartington, musi pan zdobyć tę wazę. Proszę ją tu przynieść, i jeśli *Mademoiselle* pozwoli, spędzimy noc w Heather Cottage. Błękitną wazę zabierzemy ze sobą.

Jack poczuł, że cierpnie mu skóra.

— Jak pan sądzi, co się wydarzy? — spytał z niepokojem.

— Nie mam zielonego pojęcia, ale wierzę, że rozwiążemy tę zagadkę i uda nam się pozbyć tego ducha. Być może waza ma podwójne dno i coś zostało w niej ukryte. Jeśli nie wydarzy się nic niezwykłego, będziemy musieli polegać na własnej pomysłowości.

Felise klasnęła w dłonie.

— To wspaniały pomysł — zawołała.

W jej oczach malował się entuzjazm. Jack bynajmniej go nie podzielał, a nawet odczuwał silny niepokój, ale za żadne skarby nie przyznałby się do tego w obecności Felise. Doktor natomiast zachowywał się tak, jakby jego propozycja była najnaturalniejsza w świecie.

— Kiedy może pan przynieść tę wazę? — zwróciła się z pytaniem do Jacka Felise.

— Jutro — odparł, usiłując stłumić obiekcje.

Wiedział, że musi dotrzymać słowa, starał się więc przestać myśleć i zapomnieć o przeraźliwym krzyku, który prześladował go co rano.

Następnego wieczora udał się do domu swego wuja po chińską wazę. Kiedy ujrzał ją ponownie, upewnił się jeszcze bardziej, że jest dokładnie taka sama jak waza namalowana na obrazku, ale choć obejrzał ją dokładnie, nie znalazł w niej żadnego ukrytego schowka.

Była jedenasta, kiedy Jack i Lavington przybyli do Heather Cottage. Felise już na nich czekała. Otworzyła cicho drzwi, zanim zdążyli zapukać.

— Proszę wejść — powiedziała szeptem. — Mój ojciec śpi na górze i nie powinniśmy go budzić. Zrobiłam panom kawę.

Wprowadziła ich do niewielkiego, przytulnego saloniku, a potem pochyliła się nad maszynką spirytusową i naląła im po filiżance aromatycznej kawy.

Jack rozpakował starannie zawiniętą chińską wazę. Kiedy Felise ujrzała ją, wydała cichy okrzyk.

— Ach tak, tak — zawołała z przejęciem. — To ona... poznałabym ją wszędzie.

Lavington przygotowywał się tymczasem na spotkanie z duchem. Uprzątnął z małego stołu wszystkie bibeloty i przeniósł go na środek pokoju, ustawivszy wokół trzy krzesła. Potem wziął od Jacka błękitną wazę i umieścił ją na środku stołu.

— Teraz jesteśmy gotowi — powiedział. — Zgaśmy światło i usiądźmy przy stole.

Felise i Jack zastosowali się do jego poleceń. Z ciemności ponownie dobiegł głos Lavingtona.

— Nie myślcie o niczym... albo myślcie o wszystkim. Nie wyężajcie umysłu. Być może jedno z nas posiada zdolności mediumiczne. Jeśli tak, osoba ta wpadnie w trans. Nie musicie się niczego obawiać. Wygońcie lęk z waszych serc i dajcie się unieść... unieść...

Umilkł. W pokoju zapadła cisza. Z każdą, minutą zdawała się być coraz bardziej nabrzmiąta możliwościami. Łatwo Lavingtonowi mówić: „Wygońcie lęk”. Jack nie czuł lęku, lecz paniczny strach. I był prawie pewien, że Felise odczuwa to samo. Nagle usłyszał jej cichy, przerażony głos.

— Stanie się coś straszego. Czuję to.

— Wygońcie lęk — powtórzył Lavington. — Poddajcie się wpływom zewnętrznym.

Jack miał wrażenie, że ciemność robi się jeszcze ciemniejsza, a cisza jeszcze bardziej przejmująca. Coraz wyraźniej czuł zbliżające się, nieokreślone niebezpieczeństwo.

Zaczął się dusić... brakowało mu powietrza... złe moce były tuż, tuż.

Potem kryzys minął. Unosił go prąd... rwący strumień... powieki mu opadły... spokój... ciemność...

Jack poruszył się. Głowę miał ciężką, ciężką jak ołów. Gdzie był?

Światło słoneczne... ptaki... Leżał, patrząc w niebo.

Naraz wszystko sobie przypomniał. Seans spirytystyczny. Salonik. Felise i doktora. Co się stało?

Usiadł, czując nieprzyjemne pulsowanie w skroniach i rozejrzał się wokół siebie. Znajdował się w małym zagajniku, nie opodal domku. W pobliżu nie było żywej duszy. Spojrzał na zegarek i stwierdził ze zdumieniem, że jest wpół do pierwszej.

Z trudem wstał i pobiegł jak mógł najszybciej w stronę domku.

„Byli zaniepokojeni, że nie mogę wyjść z transu — pomyślał — więc wynieśli mnie na świeże powietrze”.

Dotarł do domku i zapukał głośno do drzwi. Ale nikt mu nie otwierał, a wewnątrz panowała kompletna cisza.

— Zapewne udali się po pomoc — mruknął do siebie. — A może... — Poczł przyływ nieokreślonego lęku. Co wydarzyło się ubiegłej nocy?

Wrócił jak najszybciej do hotelu. Zamierzał właśnie zadać kilka pytań recepcjoniście, gdy poczuł silne szturchnięcie w żebra, które omal nie zważyło go z nóg. Oburzony odwrócił głowę i ujrzał starego, siwowłosego gentlemana, wyraźnie nie posiadającego się z radości.

— Nie spodziewałeś się mnie, mój chłopcze? — powiedział przybysz. — Nie spodziewałeś się, co?

— Och, wuju George! Sądziłem, że jesteś daleko stąd, gdzieś we Włoszech.

— Ale myliłeś się. Wylądowałem w Dover wczoraj wieczorem. Postanowiłem pojechać samochodem do miasta i wstąpić tu po drodze, by się z tobą zobaczyć. I czego się dowiaduję? Że nie było cię przez całą noc. Ładnie się prowadzisz...

— Wujku George — przerwał mu stanowczo Jack. — Muszę ci opowiedzieć niezwykłą historię. Myślę, że w nią nie uwierzysz.

— Ja też tak myślę — odparł z rozbawieniem wuj George. — Ale rób co w twojej mocy, mój chłopcze.

— Najpierw muszę coś zjeść — oznajmił Jack. — Umieram z głodu.

Zaprowadził gościa do jadalni i przy obfitym posiłku opowiedział mu całą historię.

— I Bóg raczy wiedzieć, gdzie się teraz podziewają — zakończył.

Wuj George wydawał się bliski apopleksji.

— Waza — wykrztusił wreszcie. — BŁĘKITNA WAZA.! Co się z nią stało?

Jack wpatrywał się w niego, nie pojmując, o co mu chodzi. Zalany potokiem słów, dopiero po chwili zaczął chwytać ich sens.

— Ming... unikat... — Wyrzucał z siebie pospiesznie wuj George — ... perła mojej kolekcji... warta co najmniej dziesięć tysięcy funtów... tyle oferował Hoggenheimer, ten amerykański milioner... jedyna w swoim rodzaju na świecie... Do diabła, Jack, co zrobiłeś z moją BŁĘKITNĄ WAZĄ?

Jack wybiegł z jadalni. Wiedział jedno, musi odnaleźć Lavingtona. Dziewczyna z recepcji popatrzyła na niego chłodno.

— Doktor Lavington wyjechał samochodem wczoraj późnym wieczorem. Zostawił dla pana list.

Jack rozerwał kopertę. List był lakoniczny i rzeczowy.

MÓJ DROGI MŁODY PRZYJACIELU.

Czy epoka zjawisk nadprzyrodzonych już minęła? Nie całkiem, zwłaszcza, jeśli ubierze się je sugestywnie w żargon współczesnej nauki. Serdeczne pozdrowienia od Felise, jej chorego ojca i ode mnie. Mamy nad Panem dwanaście godzin przewagi, co powinno nam wystarczyć.

Szczerze oddany

Ambrose Lavington,

Lekarz Duszy.

Dziwny przypadek sir Arthura Carmichaela

(Z notatek śp. dr Edwarda Carstairsa,

lekarza medycyny i wybitnego psychologa).

Zdaję sobie doskonale sprawę, że opisane tu dziwne i tragiczne wypadki można interpretować dwojako. Moja osobista opinia zawsze była niewzruszona. Nakłoniono mnie do spisania całej tej historii i wierzę, że jest to moim obowiązkiem wobec nauki, by te zadziwiające i niewytłumaczalne fakty ocalić od zapomnienia.

Po raz pierwszy zetknąłem się z tą sprawą, kiedy otrzymałem telegram od mojego przyjaciela, doktora Settle. Z depechy tej, w której wymieniono nazwisko Carmichael, niewiele wynikało, ale posłuszny zawartemu w niej wezwaniu wsiadłem w pociąg odjeżdżający o 12.20 ze stacji Paddington do Wolden w hrabstwie Hertfordshire.

Z nazwiskiem Carmichael kiedyś już się zetknąłem. Nieżyjący od dawna Sir William Carmichael z Wolden był moim dalekim znajomym. Wiedziałem, że miał jednego syna, obecnie baroneta, który musiał być teraz mniej więcej dwudziestotrzyletnim młodym człowiekiem. Choć nie pamiętałem dokładnie, co mówiło się na temat drugiego małżeństwa Sir Williama, kojarzyłem sobie mgliście, że nie były to opinie przychylne dla drugiej Lady Carmichael.

Settle czekał na mnie na stacji.

— Dziękuję, że przyjechałeś — powiedział, ściskając moją dłoń.

— Nie ma za co. Rozumiem, że sprawa ta dotyczy mojej specjalności, czy tak?

— Istotnie.

— A zatem jest to przypadek choroby psychicznej? — zaryzykowałem. — Odznaczający się jakimiś niezwykłymi cechami?

Odebraliśmy już moje bagaże ze stacji i siedzieliśmy w dwukółce, podążając w kierunku oddalonego o jakieś trzy mile Wolden. Settle nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, po czym wybuchnął nagle potokiem słów.

— Ta cała sprawa jest zupełnie niepojęta! Mamy oto dwudziestotrzyletniego, normalnego pod każdym względem młodego człowieka. Sympatycznego, miłego chłopca, nie bardziej zarozumiałego niż inni; nie obdarzonego, być może, błyskotliwą inteligencją, ale stanowiącego znakomity przykład typowego młodego przedstawiciela angielskiej klasy wyższej. Aż tu pewnego wieczora kładzie się on spać całkiem zdrowy, a następnego ranka odnajdujemy go błakającego się po miasteczku w stanie kompletnej aberracji umysłowej, niezdolnego rozpoznać swych najbliższych i najdroższych.

— Ach! — wykrzyknąłem z podnieceniem. Przypadek zapowiadał się interesująco. — Całkowity zanik pamięci? A zdarzyło się to...?

— Wczoraj rano. 9 sierpnia.

— I nie słyszałeś o niczym... o żadnym szoku, który mógłby ten stan wywołać?

— Nie, nic nie słyszałem.

— Czy niczego przede mną nie ukrywasz? — spytałem w przypiływie nagłej podejrzliwości.

— No... nie.

Jego wahanie potwierdziło moją nieufność.

— Muszę znać całą prawdę.

— To nie ma nic wspólnego z Arthurem. Łączy się jedynie z... z tym domem.

— Z domem — powtórzyłem zdumiony.

— Miewałeś często do czynienia z podobnymi sprawami, nieprawdaż? „Badałeś” przecież tak zwane nawiedzone domy. Co o tym wszystkim sądzisz?

— W dziewięciu przypadkach na dziesięć są to zwyczajne oszustwa — odparłem. — Ale ten dziesiąty... no cóż, miałem okazję zetknąć się ze zjawiskami absolutnie niewytłumaczalnymi z materialistycznego punktu widzenia. Wierzę w okultyzm.

Settle kiwnął głową. Skręcaliśmy właśnie w bramę wjazdową. Wskazał mi batem rozległą, białą rezydencję położoną na zboczu wzgórza.

— To właśnie ten dom — oznajmił. — Muszę przyznać, że jest w nim coś niesamowitego... coś przerażającego. Wszyscy to wyczuwamy... choć jeśli o mnie chodzi, nie należę do osób przesądnych.

— Jaką formę przybiera to zjawisko? — spytałem. Odwrócił ode mnie wzrok.

— Lepiej, byś nic nie wiedział. Bo widzisz, jeśli... przyjeżdżając tu nie uprzedzony... nie orientujący się w niczym... również to dostrzeżesz... będzie to oznaczać, że...

— Zgoda — przytaknąłem — tak jest lepiej. Ale chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej rodzinie.

— Sir William — zaczął Settle — był dwukrotnie żonaty. Arthur jest synem z pierwszego małżeństwa. Przed dziewięciu laty ożenił się ponownie, a obecna Lady Carmichael stanowi pewnego rodzaju zagadkę. Jest tylko w połowie Angielką i, jak podejrzewam, w jej żyłach płynie azjatycka krew.

Przerwał.

— Nie lubisz Lady Carmichael — stwierdziłem.

— Nie, nie lubię jej — przyznał szczerze. — Zawsze było w niej coś niepokojącego. Ale wracając do rzeczy; ze swoją drugą żoną Sir William też miał dziecko, również syna, który ma teraz osiem lat. Sir William zmarł przed trzema laty i Arthur odziedziczył tytuł i posiadłość. Jego macocha wraz z przyrodnim bratem nadal mieszkają z nim w Wolden. Muszę dodać, że majątek ogromnie podupadł. Jego utrzymanie pochłania niemal cały dochód Sir Arthura. Sir William nie mógł zostawić swej żonie więcej niż kilkaset funtów rocznie, ale na szczęście stosunki między Arthurem a jego macochą zawsze układały się doskonale i Arthur był bardzo zadowolony, że będą mieszkać razem. A teraz...

— A teraz?

— Przed dwoma miesiącami Arthur zaręczył się z czarującą dziewczyną, panną Phyllis Patterson. Zamierzali się pobrać w przyszłym miesiącu — dodał, zniżając lekko głos, jakby pod wpływem wzruszenia. — Jego narzeczona przebywa teraz tutaj. Możesz sobie wyobrazić jej rozpacz...

Bez słowa skinąłem głową.

Podjeżdżaliśmy już do domu. Na prawo od drogi rozpościerało się zielone zbocze wzgórza. Moim oczom przedstawił się nagle pełen uroku widok. Przez trawnik szła wolno w stronę domu młoda dziewczyna. Była bez kapelusza i blask słońca wzbogacał koloryt jej wspaniałych złotych włosów. Niosła duży kosz róż, a do jej stóp łąsił się czule piękny, szary perski kot.

Spojrzałem pytająco na Settle'a.

— To właśnie panna Patterson — wyjaśnił.

— Biedna dziewczyna — powiedziałem — biedna dziewczyna. Jakże malowniczo wygląda z tymi różami i szarym kotem łąszącym się do jej stóp.

Usłyszałem jakiś niewyraźny dźwięk i obejrzałem się szybko na mojego przyjaciela. Lejce wyślizgnęły mu się z dłoni, a twarz mocno pobladła.

— Co się stało? — krzyknąłem. Z wysiłkiem opanowałem się.

Po chwili byliśmy już na miejscu. Podążyłem za nim do zielonego saloniku, w którym podano herbatę.

Kiedy weszliśmy, jakaś kobieta w średnim wieku, ale ciągle piękna, wstała i podeszła do nas z wyciągniętą ręką.

— Oto mój przyjaciel, doktor Carstairs, Lady Carmichael. Nie potrafię wytłumaczyć instynktownej fali niechęci, jaka ogarnęła mnie, gdy tylko ująłem dłoń tej czarującej, pełnej godności kobiety. Poruszała się z leniwym, tajemniczym wdziękiem, który uzasadniał podejrzenia Settle'a co do jej egzotycznej krwi.

— Dziękuję, że zechciał pan przyjechać, doktorze Carstairs — odezwała się niskim, melodyjnym głosem — aby pomóc nam w naszym wielkim kłopotcie.

Wybąkałem jakąś zdawkową odpowiedź, a ona podała mi herbatę.

Po kilku minutach do pokoju weszła dziewczyna, którą widziałem idącą po trawniku. Nie towarzyszył jej już kot, ale nadal trzymała w ręku kosz z różami. Settle dokonał prezentacji.

— Och, doktor Carstairs! — zawołała z entuzjazmem. — Doktor Settle tak wiele nam o panu opowiadał. Mam przeczucie, że zdoła pan coś zrobić dla biednego Arthura.

Istotnie była czarującą dziewczyną, choć policzki miała blade, a pod jej szczerymi oczami rysowały się ciemne kręgi.

— Droga młoda damo — rzekłem uspokajającym tonem — proszę nie tracić nadziei. Takie objawy jak zanik pamięci czy druga osobowość nie trwają zazwyczaj zbyt długo. Pacjent może w każdej chwili odzyskać pełnię swych zdolności umysłowych.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie wierzę w tę jego drugą osobowość — oznajmiła. — To wcale nie jest Arthur. To nie jest jego osobowość. To nie jest on. Ja...

— Phyllis, kochanie — przerwała cicho Lady Carmichael — oto twoja herbata.

Kiedy patrzyła na dziewczynę, dostrzegłem w wyrazie jej oczu coś, co wskazywało, że Lady Carmichael nie przepada za swą przyszłą synową.

Panna Patterson podziękowała za herbatę.

— A kotek, czy nie dostanie spodeczka mleka? — spytałem, żeby sprowadzić konwersację na lżejsze tory.

Dziewczyna spojrzała na mnie zdumiona.

— Kotek?

— No, ten, który towarzyszył pani przed chwilą w ogrodzie... Przerwał mi jakiś trzask. To lady Carmichael przewróciła imbryk i gorąca woda wylewała się na podłogę. Pomogłem opanować sytuację, a Phyllis Patterson spojrzała pytająco na Settle'a.

— Czy chciałbyś już zobaczyć swojego pacjenta? — spytał, wstając.

Niezwłocznie podążyłem za nim, a wraz z nami panna Patterson. Weszliśmy na górę i Settle wyjął z kieszeni klucz.

— Od czasu do czasu odczuwa chorobliwą potrzebę błąkania się po okolicy — wyjaśnił. — Toteż

wychodząc z domu zamykam drzwi na klucz.

Przekręcił klucz w zamku i weszliśmy do pokoju.

Młody mężczyzna siedział na parapecie okna, przez które sączyły się jasne promienie zachodzącego słońca. Siedział nadzwyczaj spokojnie, jakby zwinięty w kłębek, a wszystkie jego mięśnie były całkowicie rozluźnione. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności. Potem jednak zauważyłem, że obserwuje nas uważnie spod nieruchomych powiek. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, zmrużył oczy. Ale nie poruszył się.

— Witaj, chłopcze — powiedział pogodnie Settle. — Panna Patterson i mój przyjaciel przyszedli złożyć ci wizytę.

Młody człowiek na parapecie tylko silniej zmrużył oczy. Ale po paru chwilach zauważyłem, że znów ukradkiem nam się przygląda.

— Czy masz ochotę na podwieczorek? — spytał Settle głośno i wesoło, przemawiając jak do dziecka.

Postawił na stole kubek mleka. Ze zdumieniem uniosłem brwi, a Settle uśmiechnął się.

— To zabawne — powiedział — ale jedynym napojem, który pije, jest mleko.

Po chwili Sir Arthur, bez zbytniego pośpiechu, stopniowo rozprostował kończyny i powoli zbliżył się do stołu. Zdałem sobie nagle sprawę, że porusza się bezszelestnie, a stąpa tak miękko, że zupełnie nie słychać jego kroków. Podszedł do stołu, przeciągnął się leniwie, wysunął jedną nogę do przodu, cofając drugą ku tyłowi. Trwał w tej pozycji przez jakiś czas, po czym ziewnął. Nigdy nie widziałem takiego ziewnięcia! Miałem wrażenie, że rozwiera całą twarz.

Popatrzył na mleko i pochylił się nad stołem w taki sposób, że dotknął płynu ustami.

— W ogóle nie używa rąk — odpowiedział Settle na moje pytające spojrzenie. — Wygląda na to, że powrócił do stanu pierwotnego. Dziwne, prawda?

Poczułem, że stojąca obok mnie Phyllis Patterson zadrżała lekko, więc aby podnieść ją na duchu, położyłem dłoń na jej ramieniu.

Arthur Carmichael wypił mleko, raz jeszcze się przeciągnął, a potem tym samym bezszmerowym krokiem wrócił na parapet, i zwinawszy się znów w kłębek, spoglądał na nas spod przymkniętych powiek.

Panna Patterson wyprowadziła nas na korytarz. Drżała na całym ciele.

— Och, doktorze Carstairs! — zawołała. — To nie jest on... ta istota nie jest Arthurem! Czułabym... wiedziałabym..”.

Pokiwałem ze smutkiem głową.

— Ludzki mózg może płatać dziwne figle, panno Patterson. Przyznaję, że zaintrygował mnie ten przypadek. Odznaczał się on pewnymi niezwykle ciekawymi cechami. Choć nigdy przedtem nie widziałem młodego Carmichaela, jego dziwny sposób poruszania się i mrużenia oczu kojarzył mi się z czymś, czego nie potrafiłem precyzyjnie określić.

Tego wieczora kolacja przebiegła spokojnie, a ciężar podtrzymywania rozmowy spoczywał na Lady Carmichael i na mnie. Kiedy panie wyszły z jadalni, Settle zapytał mnie, co sądzę o naszej gospodyni.

— Muszę przyznać — odparłem — że bez żadnej wyraźnej przyczyny zdecydowanie jej nie lubię. Masz słuszość, że w jej żyłach płynie egzotyczna krew... Według mnie posiada też zdolności okultystyczne. Jest kobietą o niezwyklej sile magnetycznej.

Settle zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymał się.

— Jest całkowicie oddana swemu synkowi — oznajmił po dłuższej chwili.

Po kolacji znów zasiedliśmy w zielonym saloniku. Skończyliśmy właśnie pić kawę i prowadziliśmy dość zdawkową rozmowę na aktualne tematy, kiedy za drzwiami zaczął raptem żałośnie miauczeć kot, domagając się najwyraźniej, aby go wpuszczono. Nikt nie zwrócił na to uwagi, aleja, miłośnik zwierząt, po chwili podniosłem się.

— Czy mogę wpuścić to biedne stworzonko? — spytałem Lady Carmichael.

Odniosłem wrażenie, że pobladła, lecz skinęła lekko głową, co wzięłem za wyraz przyzwolenia, podszedłem więc do drzwi i otworzyłem je. Ale korytarz był zupełnie pusty.

— To dziwne — powiedziałem. — Mógłbym przysiąc, że słyszałem miauczenie kota.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce, zauważyłem, że wszyscy przyglądają mi się uważnie. Poczulem się trochę nieswojo.

Udaliśmy się na spoczynek bardzo wcześnie. Settle odprowadził mnie do mojej sypialni.

— Masz wszystko, czego ci trzeba? — spytał, rozglądając się po pokoju.

— Owszem, dziękuję.

Zwlekał z odejściem, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale w końcu nic z siebie nie wykrztusił.

— Nawiasem mówiąc — zauważyłem — twierdziłeś, że w tym domu jest coś tajemniczego, prawda? Jak dotąd wydaje mi się on najzupełniej normalny.

— Czy nazwałbyś go pogodnym domem?

— Teraz raczej nie. Wyraźnie ciąży na nim wielki smutek. Ale nie dostrzegam tu wpływu żadnych nadprzyrodzonych sił.

— Dobranoc — rzekł nagle Settle. — Życzę ci przyjemnych snów.

Ta noc istotnie obfitowała w sny. Szary kot panny Patterson najwyraźniej wycisnął piętno na mojej podświadomości. Miałem wrażenie, że przez całą noc śni mi się to przekłete zwierzę.

Obudzony się gwałtownie, pojąłem w jednej chwili, dlaczego ten kot nie daje mi spokoju. Nieszczęsne stworzenie miauczało uparcie pod moimi drzwiami. Nie mogło być mowy o spaniu przy takim hałasie. Zapaliłem świecę i podszedłem do drzwi. Ale korytarz był pusty, choć miauczenie nie ustawało. Przyszedł mi do głowy nowy pomysł. Biedne zwierzątko zamknięte pewnie gdzieś w pobliżu i nie może się stamtąd wydostać. Po lewej stronie, na końcu korytarza znajdował się pokój Lady Carmichael. Ruszyłem więc w prawo i zrobiłem zaledwie kilka kroków, kiedy z tyłu za moimi plecami znów rozległo się miauczenie. Odwróciłem się gwałtownie i ponownie usłyszałem głos kota, tym razem dobiegający wyraźnie z prawej strony.

Przeszył mnie dreszcz, wywołany zapewne przeciągiem panującym na korytarzu, wróciłem więc szybko do swojego pokoju. Wkrótce zapanowała kompletna cisza i niebawem zasnąłem, by obudzić się w piękny letni poranek.

Ubierając się, zauważyłem przez okno sprawcę moich nocnych kłopotów. Po trawniku powoli skradał się szary kot.

Byłem przekonany, że obiektem jego ataku stanie się stadko ptaków, które w pobliżu ćwierkały i czyściły dziobami pióra.

Ale wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Kot, nie zbacząc z drogi, przemknął między ptakami niemal ocierając się o nie futrem, a one nie odfrunęły. Nie mogłem tego zrozumieć... wydawało się to wprost niepojęte.

Widok ten wywarł na mnie tak silne wrażenie, że nie zdołałem się powstrzymać i wspomniałem o tym przy śniadaniu.

— Czy wie pani — spytałem Lady Carmichael — że ma pani niezwykłego kota?

W tym momencie dał się słyszeć brzęk filiżanki o spodek i zobaczyłem, że Phyllis Patterson, oddychając nerwowo, wpatruje się we mnie z na wpół otwartymi ustami.

Na chwilę zapadła cisza.

— Musiał się pan pomylić — powiedziała Lady Carmichael dość opryskliwie. — W tym domu nie ma żadnego kota. Nigdy nie miałam kota.

Zrozumiałem, że popełniłem jakąś gafę, szybko więc zmieniłem temat.

Ale sprawa ta nie dawała mi spokoju. Zastanawiałem się, dlaczego Lady Carmichael twierdzi, że w domu nie ma kota. Może był to kot panny Patterson, która chciała zataić jego istnienie przed panią domu? A Lady Carmichael cierpiała być może na tak często spotykaną obecnie awersję do kotów. Wyjaśnienie to nie wydało mi się zbyt przekonujące, ale na razie musiałem się nim zadowolić.

Stan naszego pacjenta nie poprawiał się. Teraz zbadałem go gruntownie i mogłem przyjrzeć mu się dokładniej niż poprzedniego wieczora. Zgodnie z moją sugestią starano się, by spędzał możliwie jak najwięcej czasu w gronie rodziny. Liczyłem, że odwróci to jego uwagę od mojej osoby, co ułatwi mi dokładniejszą obserwację. Miałem też nadzieję, że być może uczestniczenie w zwykłych codziennych zajęciach obudzi w nim choćby przebłysk inteligencji. Ale jego zachowanie nie uległo zmianie. Był spokojny i łagodny, choć wydawał się nieobecny, ale odnosiłem wrażenie, że w gruncie rzeczy przez cały czas obserwuje wszystkich czujnie i skrycie. Zaskoczyło mnie jedynie to, że okazuje wielką sympatię swej macosze. Ostentacyjnie ignorował pannę Patterson, natomiast zawsze starał się siadać jak najbliżej Lady Carmichael i widziałem, jak kładzie głowę na jej ramieniu w niemym wyrazie miłości. Te objawy niepokoiły mnie. Czułem wyraźnie, że istnieje jakiś klucz do całej tajemnicy, którego na razie nie potrafię odnaleźć.

— To zadziwiający przypadek — oznajmiłem przyjacielowi.

— Owszem — odparł — i bardzo sugestywny. Powiedz mi — spytał, przypatrując mi się spod oka — czy on... czy czegoś ci nie przypomina?

Jego słowa nieprzyjemnie mnie zaskoczyły, przywołując na myśl wrażenia wczorajszego dnia.

— Cóż miałby mi przypominać? — spytałem. Potrząsnął głową.

— To być może tylko moje urojenia — mruknął. — Tak, to po prostu moje urojenia.

I nie chciałem już więcej poruszać tego tematu.

Cała sprawa osnuta była mgłą tajemnicy. Nadal prześladowało mnie nieuchwytnie uczucie, że nie potrafię odnaleźć klucza do tej zagadki. Istniała też druga zagadka, choć o mniejszym znaczeniu. Mam tu na myśli szarego kota. Z jakiegoś powodu działał mi na nerwy. Śniły mi się kory, nieustannie miałem wrażenie, że słyszę ich miauczenie. Od czasu do czasu widziałem z daleka sylwetkę tego pięknego zwierzęcia. Fakt, iż nie jestem w stanie zgłębić związanej z nim tajemnicy, nieznośnie mnie irytował. Pewnego popołudnia, pod wpływem nagłego impulsu, postanowiłem zasięgnąć informacji u lokaja.

— Mógłbyś mi coś powiedzieć — spytałem — na temat kota, którego ciągle tu widzę?

— Kota, sir? — zdziwił się uprzejmie.

— Czy nie było tu... czy nie ma tu... jakiegoś kota?

— Jaśnie pani miała kota, sir. Ukochanego kota. Ale trzeba go było uśpić. To wielka szkoda, takie piękne zwierzę.

— Czy ten kot był szary? — spytałem powoli.

— Owszem, sir. To był pers.

— I mówisz, że został uśpiony?

— Tak, sir.

— Jesteś tego całkiem pewien?

— Och, najzupełniej, sir. Jaśnie pani nie pozwoliła zawieźć go do weterynarza. Zrobiła to sama. Niecały tydzień temu. Zakopano go tam, pod tym czerwonym bukiem, sir.

Lokaj wyszedł, a ja pogрузyłem się w rozmyślaniach.

Zastanawiałem się, dlaczego Lady Carmichael twierdziła tak stanowczo, że nigdy nie miała kota.

Przecucie podpowiadało mi, że ta z pozoru nieistotna sprawa ma jednak pewne znaczenie. Odnalazłem Settle'a i zaciągnąłem go w ustronne miejsce.

— Posłuchaj — rzekłem. — Chcę ci zadać pewne pytanie. Czy widziałeś lub słyszałeś w tym domu jakiegoś kota?

Nie wydawał się zaskoczony moim pytaniem. Najwyraźniej się go spodziewał.

— Słyszałem go — odparł — ale go nie widziałem.

— A tego pierwszego dnia — zawołałem. — Na trawniku z panną Patterson!

Spojrzał na mnie z wielką powagą. _ ^

— Widziałem jedynie pannę Patterson, idącą przez trawnik. Nic ponadto.

Zaczyinałem rozumieć.

— A zatem — powiedziałem — ten kot...? Kiwnął głową.

— Chciałem przekonać się, czy ty... nie uprzedzony... usłyszysz to, co słyszemy wszyscy...?

— Więc wszyscy to słyszycie?

Skinął ponownie głową.

— To dziwne — mruknąłem z zadumą. — Nigdy przedtem nie słyszałem o domu, w którym straszylby kot.

Przekazałem mu informacje, jakie uzyskałem od lokaja.

— To dla mnie zupełna nowość — oznajmił zdziwiony. — Nie wiedziałem o tym.

— Ale co to może znaczyć? — spytałem bezradnie. Potrząsnął głową.

— Bóg raczy wiedzieć! Chociaż powiem ci, przyjacielu... boję się. Miauczenie tego kota brzmi jak... groźba.

— Groźba? — spytałem z przejęciem. — Wobec kogo?

— Tego nie wiem — odparł, rozkładając ręce.

Dopiero tego wieczora po kolacji zrozumiałem znaczenie jego słów. Siedzieliśmy, tak jak w dniu mojego przyjazdu w zielonym saloniku, gdy naraz za drzwiami rozległo się przejmujące, uporczywe miauczenie kota. Ale tym razem w jego głosie usłyszałem wyraźny gniew. Było to przeciągłe, dzikie wycie, w którym pobrzmiwała groźba. Kiedy ustało, mosiężna klamka u drzwi zagrzechotała gwałtownie, jakby szarpnięta kocią łapą.

Settle poderwał się z miejsca.

— Przysięgam, że nie jest to urojenie — zawołał. Podbiegł do drzwi i szybko je otworzył. Korytarz był pusty.

Wrócił, ocierając pot z czoła. Phyllis pobladła i drżała, a Lady Carmichael zrobiła się biała jak ściana. Tylko Arthur, który przykucnął beztrósco jak dziecko u stóp swej macochy i oparł głowę o jej kolano, wydawał się spokojny i opanowany.

Panna Patterson położyła dłoń na moim ramieniu i poszliśmy na górę.

— Och, doktorze Carstairs! — zawołała. — Co się dzieje? Co to wszystko znaczy?

— Jeszcze nie wiemy, droga młoda damo — odparłem. — Ale zamierzam to wyjaśnić. Proszę się nie bać. Jestem przekonany, że pani osobiście nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Naprawdę tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien — odparłem stanowczo. Pamiętałem, jak czule ten szary kot owijał się wokół jej stóp i nie żywiłem najmniejszych obaw. Groźba z pewnością nie dotyczyła jej.

Przez jakiś czas nie mogłem zasnąć, ale w końcu zapadłem w nerwową drzemkę, z której obudziłem się z uczuciem przerażenia. Usłyszałem drapanie czy skrobanie... odgłosy towarzyszące rozszarpywaniu jakiejś tkaniny. Wyskoczyłem z łóżka i wybiegłem na korytarz. W tym samym momencie Settle wypadł ze swojego pokoju, mieszczącego się naprzeciwko. Dźwięk dobiegał z lewej strony.

— Czy słyszysz to? — krzyknął. — Słyszysz?

Podbiegliśmy pod drzwi sypialni Lady Carmichael. Niczego nie zauważyliśmy, ale hałas ustał. Blask naszych świec odbijał się w lśniących drzwiach pokoju Lady Carmichael. Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem.

— Czy wiesz, co to było? — spytał półszepem Settle. Kiwnąłem głową.

— Pazury kota, który coś rozdzierał i rozszarpywał. — Zadrżałem lekko. Nagle cicho krzyknąłem i pochyliłem się ze świecą w rękę.

— Spójrz, Settle.

Obicie stojącego pod ścianą krzesła było podarte i poszarpane na długie strzępy...

Przyjrzelismy się temu uważnie. Settle spojrział na mnie, a ja kiwnąłem głową.

— Kocie pazury — stwierdził, wciągając głęboko powietrze. — To nie ulega wątpliwości. — Przeniósł wzrok z krzesła na zamknięte drzwi. — Osoba, której zagraża niebezpieczeństwo to Lady Carmichael!

Tej nocy nie udało mi się już zasnąć. Sytuacja osiągnęła punkt, w którym należało coś przedsięwziąć. Wydawało mi się, że tylko jedna osoba posiada klucz do tajemnicy. Podejrzywałem, że Lady Carmichael wie więcej niż zechciała ujawnić.

Następnego ranka, gdy zeszła na śniadanie, była śmiertelnie blada i prawie nie tknęła jedzenia. Miałem pewność, że jedynie żelazna determinacja powstrzymuje ją od załamania nerwowego. Po śniadaniu poprosiłem ją o chwilę rozmowy. Od razu przeszedłem do sedna sprawy.

— Lady Carmichael — powiedziałem. — Mam powody, by przypuszczać, że zagraża pani bardzo poważne niebezpieczeństwo.

— Doprawdy? — Zdobyła się na imponującą obojętność.

— Jest w tym domu — ciągnąłem — Coś, jakaś Istota, która najwyraźniej żywi wobec pani wrogię uczucia.

— Cóż za nonsens — mruknęła lekceważąco. — Nie wierzę w tego rodzaju bzdury.

— Stojące przed drzwiami pani pokoju krzesło — zauważyłem oschle — zostało ostatniej nocy poszarpane na strzępy.

— Czyżby? — Uniosła brwi, udając zaskoczenie, ale widziałem, że doskonale wie, o czym mówię. — To z pewnością jakiś głupi żart.

— To nie był żart — odparłem z naciskiem. — Chcę, aby powiedziała mi pani... dla własnego dobra... — Zawahałem się.

— Co miałabym panu powiedzieć? — spytała.

— Wszystko, co może rzucić światło na tę sprawę — odparłem z powagą.

Wybuchnęła śmiechem.

— Ależ ja nic nie wiem — oświadczyła. — Absolutnie nic. Żadne ostrzeżenia o grożącym

niebezpieczeństwie nie były w stanie nakłonić jej do zmiany zdania. A jednak byłem przekonany, że wie znacznie więcej niż ja czy Settle i posiada klucz do tajemnicy, która dla nas nadal pozostawała zagadką. Wiedziałem jednak, że nie zdołam zmusić jej do wyznań.

W przekonaniu, że zagraża jej bardzo konkretne i bezpośrednie niebezpieczeństwo, postanowiłem przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności. Tego wieczora, zanim udała się na spoczynek, Settle i ja obejrzelśmy dokładnie jej pokój. Uzgodniliśmy, że będziemy na zmianę obserwować korytarz.

Ja objąłem pierwszą wartę, która minęła bez żadnych wydarzeń, a Settle zmienił mnie o trzeciej nad ranem. Czuję się zmęczony po ubiegłej bezsennej nocy i natychmiast zasnąłem. Miałem niezwykle sen.

Śniło mi się, że w nogach mojego łóżka siedzi szary kot i spogląda mi prosto w oczy dziwnie błagalnym wzrokiem. Potem, jak to bywa w snach, zdałem sobie sprawę, że zwierzę chce, żebym za nim poszedł. Zrobiłem to. Poprowadził mnie w dół po szerokich schodach do przeciwległego skrzydła domu, a następnie do pokoju, który okazał się biblioteką. Zatrzymał się pod ścianą, uniósł przednie łapy i oparł je na jednej z niższych półek z książkami, a potem znów spojrzał na mnie z tym samym błagalnym wyrazem w oczach.

Później kot i biblioteka zniknęły, a ja obudziłem się i zobaczyłem, że nastał już poranek.

Settle oznajmił mi, że również podczas jego warty nie wydarzyło się nic niezwykłego i z żywym zainteresowaniem wysłuchał opisu mego snu. Na moją prośbę zaprowadził mnie do biblioteki, która wyglądała dokładnie tak samo jak ta ze snu. Umiałem nawet wskazać miejsce, z którego zwierzę rzuciło mi ostatnie smutne spojrzenie.

Staliśmy oniemiała ze zdumienia. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Pochyliłem się, by przeczytać tytuł książki wskazanej mi przez kota. Zobaczyłem jednak tylko puste miejsce.

— Ktoś zabrał stąd jakąś książkę — stwierdziłem. Settle również pochylił się nad półką.

— Popatrz — powiedział. — Tu, z tyłu wbity jest gwóźdź, o który zaczepił się kawałek brakującego tomu.

Ostrożnie odczepił niewielki skrawek papieru, na którym wydrukowane było kluczowe słowo: „Kot”...

— Cała ta sprawa przyprawia mnie o dreszcze — wyznał Settle. — To coś okropnie niesamowitego.

— Oddałbym wszystko, żeby poznać tytuł tej brakującej książki — powiedziałem. — Czy myślisz, że istnieje jakiś sposób, by to ustalić?

— Być może jest tu gdzieś katalog. Albo Lady Carmichael...

Potrząsnąłem głową.

— Lady Carmichael nic ci nie powie.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewien. Podczas gdy my zdani jesteśmy na domysły i błądzenie w ciemności, Lady Carmichael wie. I z przyczyn jej tylko znanych nie chce nic powiedzieć. Woli narazić się na najstraszliwsze niebezpieczeństwo, niż wyznać prawdę.

Dzień minął w spokoju, przypominającym ciszę przed burzą. Miałem dziwne uczucie, że rozwiązanie zagadki jest bliskie. Że jeszcze poruszam się po omacku, ale już wkrótce ujrzę światło. Wszystkie fakty znajdowały się w zasięgu ręki. Czekały tylko na drobny przebłysk, który spoiłby je ze sobą i wyjaśnił ich znaczenie.

Tak się też stało! I to w najdziwniejszy sposób!

Po kolacji siedzieliśmy jak zwykle w zielonym saloniku. Nikt się nie odzywał. W pokoju panowała taka cisza, że na podłogę wybiegła mała myszka... i wtedy właśnie wydarzyło się to, o czym mówię.

Arthur Carmichael jednym długim susem zerwał się z krzesła. Nerwowo, szybko jak strzała, rzucił się w ślad za myszą, która zniknęła już za boazerią. Arthur, przykucnąwszy, zaczął wpatrywać się czujnie w to miejsce, cały drżąc z podniecenia.

To było okropne! Nigdy dotąd nie przeżyłem tak dramatycznej chwili. Wiedziałem już, kogo przypominał mi Arthur, kiedy tak stąpał bezgłośnie i obserwował nas spod przymkniętych powiek. W przebłysku świadomości dostrzegłem nagle niewiarygodne, niesamowite wyjaśnienie zagadki. Odrzuciłem je jako nieprawdopodobne, ponieważ nie byłem w stanie się z nim pogodzić! Ale nie mogłem przestać o tym myśleć.

Niezbyt dobrze pamiętam, co działo się później. Wszystko wydawało się zamglone i nierealne. Wiem, że poszliśmy na górę i pospiesznie, prawie bojąc się spojrzeć sobie w oczy, życzyliśmy sobie dobrej nocy. Lękaliśmy się, że obawy nasze znajdą potwierdzenie.

Settle objął pierwszą wartę pod drzwiami sypialni Lady Carmichael, obiecując obudzić mnie o trzeciej nad ranem. Byłem zbyt pochłonięty swoją fantastyczną, nieprawdopodobną teorią, by przejmować się przesadnie losem pani domu. Wmawiałem sobie, że jest to niemożliwe, ale moje myśli ciągle powracały do tej fascynującej kwestii.

Nagle ciszę nocną zakłócił krzyk Settle'a, który głośno mnie wzywał. Wybiegłem na korytarz.

Settle, łomocząc z całych sił, dobijał się do drzwi pokoju Lady Carmichael.

— Niech diabli porwą tę kobietę! — zawołał. — Zamknęła się od środka na klucz.

— Ale...

— Człowieku, on tam jest! W jej pokoju! Czyżbyś tego nie słyszał?

Spoza zamkniętych drzwi dobiegał przeciągły, dziki skowyt kota. Potem usłyszeliśmy przerażający krzyk... a po nim drugi... Rozpoznałem głos Lady Carmichael.

— Drzwi! — wrzasnąłem. — Trzeba wyważyć drzwi. Za chwilę będzie za późno.

Z całej siły naparliśmy na nie ramionami. Ustąpiły z trzaskiem, a my wpadliśmy do pokoju.

Lady Carmichael leżała na łóżku, cała zalana krwią. Rzadko da się widzieć okropniejszą scenę. Jej serce nadal biło, mimo iż obrażenia były potworne. Miała rozerwane i poszarpane gardło...

— Pazury... — wyszeptałem, drżąc na całym ciele. Przeszył mnie dreszcz straszliwego przerażenia.

Starannie opatrzyłem i zabandażowałem rany. Zasugerowałem przyjacielowi, by zachować w tajemnicy, szczególnie przed panną Patterson, prawdziwą przyczynę tych obrażeń. Ułożyłem tekst telegramu do szpitala, w którym prosiłem o przysłanie pielęgniarki. Miał on zostać nadany natychmiast po otwarciu urzędu telegraficznego.

Za oknem szarzał świt. Wyjrzałem na rozpościerający się przed domem trawnik.

— Ubierz się i chodź ze mną na dwór — nakazałem Settle'owi pod wpływem nagłego impulsu. — Lady Carmichael nic już nie grozi.

Kiedy był gotowy, wyszliśmy razem do ogrodu.

— Co zamierzasz zrobić?

— Wykopać ciało tego kota — odparłem pospiesznie. — Muszę się upewnić...

Znalazłem w szopie łopatę i zaczęliśmy kopać pod rozłożystym bukiem. Nasze wysiłki zostały wkrótce uwieńczone powodzeniem. Nie było to przyjemne zajęcie. Zwierzę nie żyło już od tygodnia. Ale zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć.

— To ten kot — oznajmiłem. — Ten sam, którego widziałem w dniu mojego przyjazdu.

Settle wciągnął nosem powietrze. Wokół nas rozchodził się zapach gorzkich migdałów.

— Kwas pruski — stwierdził. Kiwnąłem potakująco głową.

— Co o tym sądzisz? — spytał mnie ciekawie.

— To samo co ty!

Moje domysły nie zaskoczyły go; widziałem, że żywił podobne przypuszczenia.

— Ależ to nieprawdopodobne — mruknął. — Niemożliwe! To przeczy całej nauce... wszystkim prawom natury... — Przerwał i wzdrygnął się nerwowo. — Ta mysz wczoraj wieczorem — dodał.

— Ale... och! To po prostu niemożliwe!

— Lady Carmichael — powiedziałem — jest niezwykle kobietą. Posiada zdolności okultystyczne... i hipnotyczne. Jej przodkowie pochodzili ze Wschodu. Trudno byłoby nam się domyślić, jak mogła wykorzystać te zdolności wpływając na tak bezbronną i ufna istotę jak Arthur Carmichael? I pamiętaj, że jeśli Arthur pozostałby na zawsze nieuleczalnie chorym szaleńcem, przywiązany do swej macochy, cały majątek trafiłby w ręce jej i jej syna, którego, jak mi powiedziałaś, uwielbia. A Arthur zamierzał się żenić!

— Więc co zrobimy?

— Nic nie możemy zrobić — odparłem. — Należy przedsięwziąć wszelkie możliwe środki, by stanąć pomiędzy Lady Carmichael a zemstą.

Stan Lady Carmichael ulegał stopniowej poprawie. Jej rany goiły się tak szybko jak oczekiwaliśmy. Aczkolwiek należało przypuszczać, że do końca życia pozostaną jej blizny powstałe na skutek tego okropnego ataku.

Nigdy nie czułem się bardziej bezradny. Siła, która nas pokonała, pozostawała nadal nieujarzmiona; nie udało nam się jej poskromić i choć chwilowo zachowywała spokój, należało zakładać, że czeka tylko na okazję. Powziąłem postanowienie, że gdy tylko stan Lady Carmichael poprawi się na tyle, by mogła odbyć podróż, zmusimy ją do wyjazdu z Wolden. Można było przypuszczać, że ta straszna zjawia nie uda się za nią. I tak mijały kolejne dni.

Ustaliłem, że przewieziemy Lady Carmichael w dniu 18 września. Ale niespodziewany kryzys nastąpił już rankiem 14 września.

Siedziałem w bibliotece, dyskutując z Settle'em o szczegółach przypadku Lady Carmichael, kiedy do pokoju wbiegła podniecona pokojówka.

— Och, sir! — krzyczała. — Szybko! Pan Arthur wpadł do stawu. Stał w łódce, a ona wysunęła mu się spod nóg, stracił równowagę i wpadł do wody! Widziałam to przez okno.

Nie zwlekając, wybiegłem z biblioteki, a Settle podążył za mną. Phyllis, która stała tuż przy drzwiach i słyszała, co mówi pokojówka, pobiegła za nami.

— Proszę się nie obawiać — zawołała. — Arthur doskonale pływa.

Ale ja miałem złe przeczucia, więc przyspieszyłem kroku. Powierzchnia stawu była zupełnie gładka. Pusta łódka dryfowała z wolna po wodzie, nigdzie natomiast nie było śladu Arthura.

Settle zdjął marynarkę i buty.

— Ja wskakuję — powiedział. — Ty weź bosak i badaj nim dno z drugiej łódki. Staw nie jest zbyt głęboki.

Wydawało mi się przez dłuższy czas, że szukamy daremnie. Mijały minuty. Potem, kiedy traciliśmy

już nadzieję, znaleźliśmy go i wyciągnęliśmy jego bezwładne ciało na brzeg.

Do końca życia nie zapomnę rozpaczliwego bólu, malującego się na twarzy Phyllis.

— Nie... nie... — Nie była w stanie wymówić tego straszego słowa.

— Nie, nie, moja droga — zawołałem. — Proszę się nie bać, przywrócimy go do przytomności.

Ale w duchu żywiłem nikłą nadzieję. Arthur przebywał pod wodą przez pół godziny. Wysłałem Settle'a do domu po koce i inne niezbędne rzeczy, sam zaś zastosowałem sztuczne oddychanie.

Pracowaliśmy energicznie przez ponad godzinę, Arthur jednak nie dawał znaku życia. Skinąłem na Settle'a, by mnie zmienił, a sam podszedłem do Phyllis.

— Obawiam się — rzekłem cicho — że to wszystko na nic. Nie możemy już mu pomóc.

Dziewczyna przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, po czym rzuciła się gwałtownie na bezwładne ciało.

— Arthur! — krzyknęła rozpaczliwie. — Arthur! Wróc do mnie! Arthur... wróc... wróc!

Jej głos odbił się echem w ciszy poranka. Dotknąłem ramienia Settle'a.

— Spójrz! — powiedziałem.

Na twarzy topielca pojawiły się ledwo widoczne rumieńce. Wyczułem bicie jego serca.

— Kontynuujmy sztuczne oddychanie! — zawołałem. — Wraca do przytomności!

Teraz wydawało się, że czas biegnie bardzo szybko. Po kilku chwilach Arthur otworzył oczy.

I wtedy to zauważyłem różnicę. Miał inteligentne, ludzkie spojrzenie...

Popatrzył na Phyllis.

— Witaj, Phil! — odezwał się słabym głosem. — To ty? Sądziłem, że przyjedziesz dopiero jutro.

Nie mogła jeszcze wydobyć z siebie głosu, ale uśmiechnęła się do niego. Arthur rozglądał się wkoło z rosnącym zdumieniem.

— Ale gdzie ja jestem? I... ależ okropnie się czuję! Co mi się stało? Dzień dobry, doktorze Settle!

— Omal nie utonąłeś... oto co się stało — odparł ponuro Settle.

Sir Arthur wykrzywił usta.

— Zawsze słyszałem, że powrót z tamtego świata jest okropny! Ale jak do tego doszło? Czy spacerowałem we śnie?

Settle potrząsnął głową.

— Musimy zaprowadzić go do domu — oznajmiłem, robiąc krok do przodu.

Arthur spojrział na mnie, a Phyllis powiedziała:

— To jest doktor Carstairs, który tu mieszka.

Podtrzymując go z obydwu stron ruszyliśmy w kierunku domu.

Nagle podniósł wzrok, jakby zaświtała mu jakaś myśl.

— Doktorze, czy do dwunastego odzyskam pełnię sił?

— Do dwunastego? — spytałem powoli — chodzi panu o dwunasty sierpnia?

— Tak, o najbliższy piątek.

— Dzisiaj jest czternastego września — stwierdził obcesowo Settle. Był wyraźnie zdezorientowany.

— A ja... myślałem, że jest ósmego sierpnia. Najwyraźniej musiałem być chory, prawda?

— Tak — wtrąciła szybko Phyllis łagodnym tonem — byłeś bardzo chory.

Arthur zmarszczył czoło.

— Nie mogę tego zrozumieć. Idąc wczoraj wieczorem spać, czułem się doskonale... ale przecież to nie było wczoraj wieczorem. Miałem nawet sny. Pamiętam te sny... — Usiłując sobie wszystko przypomnieć, jeszcze bardziej zmarszczył czoło. — Coś... co to mogło być. Coś strasznego... Ktoś mi to zrobił... a ja byłem wściekły... zrozpaczony... Potem śniło mi się, że jestem kotem... tak, kotem! To zabawne, prawda? Ale to wcale nie był zabawny sen. Co więcej... był przerażający! Ale nie mogę go sobie przypomnieć. Kiedy o tym myślę, wszystko powoli powraca.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Proszę starać się o tym zapomnieć, sir — powiedziałem poważnie. — Niech pan się cieszy, że... pan nic nie pamięta.

Spojrział na mnie zdziwiony i kiwnął głową. Usłyszałem jak Phyllis odetchnęła z ulgą. Dotarliśmy do domu.

— Nawiasem mówiąc — spytał nagle Sir Arthur — gdzie jest matka?

— Była trochę... chora — odparła Phyllis po chwili wahania.

— Och! Biedna mama! — W jego głosie zabrzmiała nieklamana troska. — Gdzie jest teraz? W

swoim pokoju?

— Tak — powiedziałem — ale lepiej, żeby pan jej nie niepokoił...

Słowa zastygły mi na ustach. Drzwi saloniku otworzyły się i do hallu weszła Lady Carmichael, owinięta szlafrokiem.

Utkwiła wzrok w swym pasierbie i jeśli kiedykolwiek widziałem w czyimś spojrzeniu wyraz panicznego strachu zmieszanego z poczuciem winy, to było właśnie jej spojrzenie. Skurczona z przerażenia jej twarz wydawała się prawie nieludzka. Chwyła się ręką za gardło.

Arthur podszedł do niej z chłopcą czułością.

— Witaj mammo! A więc ty też byłaś chora? Przykro mi to słyszeć.

Cofnęła się przed nim, szeroko otwierając oczy. Potem nagle z potępieńczym okrzykiem upadła na wznak.

Podbiegłem i pochyliłem się nad nią, skinieniem ręki przywołując Settle'a.

— Nic nie mów — powiedziałem. — Zaprowadź go spokojnie na górę, a potem zjedź z powrotem na dół. Lady Carmichael nie żyje.

Settle wrócił po kilku minutach.

— Co to było? — spytał. — Jaka jest przyczyna śmierci?

— Szok — odparłem ponuro. — Szok, jaki przeżyła widząc, że Arthur Carmichael wrócił do życia! Możesz to nazwać, jeśli wolisz, karą boską.

— Chcesz powiedzieć... — zawahał się. Spojrzałem mu wymownie w oczy.

— Życie za życie — stwierdziłem z naciskiem.

— Ale...

— Och! Wiem, że dziwny i nieprzewidziany przypadek pozwolił duchowi Arthura Carmichaela powrócić do swego ciała. Mimo to mam prawo twierdzić, że Arthur Carmichael został zamordowany.

Spojrzał na mnie z lękiem.

— Otruty kwasem pruskim? — spytał cicho.

— Zgadza się — potwierdziłem. — Otruty kwasem pruskim.

Settle i ja nigdy nie ujawniliśmy naszego poglądu na całą sprawę. I tak nikt by nam nie uwierzył. Z konwencjonalnego punktu widzenia, Arthur Carmichael doznał po prostu zaniku pamięci, Lady Carmichael sama rozszarpała sobie gardło w nagłym ataku szaleństwa, a Szary Kot był jedynie produktem wyobraźni.

Ale istnieją dwa fakty niezbcie potwierdzające słusność mojej teorii. Pierwszy — to poszarpane krzesło. Drugi — jest jeszcze bardziej wymowny. Odnaleźliśmy katalog biblioteki i ustaliliśmy po gruntownych poszukiwaniach, że brakującą książką było stare, unikatowe dzieło, traktujące o możliwościach przeobrażania istot ludzkich w zwierzęta!

I jeszcze jedno. Z radością stwierdzam, że Arthur o niczym się nie dowiedział. Phyllis zamknęła tajemnicę tych kilku tygodni we własnym sercu i jestem pewien, że nigdy nie ujawni jej swemu mężowi, którego tak bardzo kocha i który na jej wezwanie wrócił z za grobu.

Zew skrzydeł

Silas Hamer usłyszał to po raz pierwszy pewnego zimowego wieczora, w lutym. Obaj z Dickiem Borrow wracali piechotą z kolacji, wydanej przez Bernarda Seldona, specjalistę chorób nerwowych. Borrow był niezwykle milczący, więc Silas Hamer zainteresował się, o czym tak rozmyśla. Odpowiedź Borrowa była zupełnie nieoczekiwana.

— Myślałem o tym, że spośród wszystkich mężczyzn, których spotkaliśmy tego wieczora, dwóch tylko może uważać się za szczęśliwych. I tak się dziwnie składa, że to my dwaj nimi jesteśmy.

Słowo „dziwnie” zabrzmiało w tym kontekście stosownie, trudno bowiem wyobrazić sobie dwóch ludzi równie do siebie niepodobnych jak Richard Borrow, zapracowany pastor z East End i Silas Hamer, zadowolony z siebie i znany powszechnie ze swego bogactwa światowiec.

— To niebywałe — dodał z namysłem Borrow — jesteś chyba jedynym zadowolonym z życia milionerem, jakiego znam.

Hamer milczał przez chwilę. A kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał inaczej niż zazwyczaj.

— Byłem kiedyś biednym, drżącym z zimna małym gazeciarem. Pragnąłem wtedy... właśnie tego, co dziś mam! Wygód i luksusu, jakie zapewniają pieniądze, ale nie władzy, jaką można dzięki nim uzyskać. Chciałem pieniędzy nie po to, by wykorzystywać je jako broń, lecz po to, by je hojnie wydawać, wydawać na siebie! Jak widzisz, przyznaję się do tego całkiem szczerze. Mówią, że nie wszystko można kupić za pieniądze. To prawda. Ale można za nie kupić wszystko, czego pragnę — i dlatego jestem zadowolony z życia... Jestem materialistą, Borrow, materialistą do szpiku kości!

Blask padający od jasnych ulicznych latarni potwierdzał szczerść tego wyznania wiary. Silas Hamer w swym grubym futrze prezentował się nader korpulentnie, a sztuczne światło uwydatniało jeszcze bardziej jego liczne podbródki. Kroczący obok niego Dick Borrow był jego całkowitym przeciwieństwem; miał ascetyczną twarz i jakby nieobecne spojrzenie kogoś nawiedzonego.

— Ty natomiast — oznajmił z naciskiem Hamer — jesteś człowiekiem, którego nie potrafię zrozumieć.

Borrow uśmiechnął się.

— Żyję otoczony nędzą, niedostatkiem, głodem i wszystkimi cierpieniami cielesnymi. Podtrzymuje mnie na duchu jedynie nadrzędna Wizja. Niełatwo to zrozumieć, jeśli nie wierzy się w Wizję, o co cię nie podejrzewam.

— Nie wierzę w nic, czego nie mogę zobaczyć, usłyszeć czy dotknąć — odparł rzeczowym tonem Hamer.

— No właśnie. I na tym polega różnica między nami. A zatem do widzenia, zaraz pochłoną mnie

podziemne ciemności.

Dotarli do bramy oświetlonej stacji kolejki podziemnej, którą Borrow miał jechać do domu.

Hamer samotnie szedł dalej, rad, że tego wieczora odesłał swego kierowcę i dzięki temu mógł wracać piechotą. Panował ożywczy chłód, a on wyraźnie odczuwał ciepło, jakie zapewniało mu grube futro.

Zatrzymał się przy krawężniku, nie wchodząc na jezdnię. W jego stronę zmierzał powoli i mozolnie wielki autobus. Hamer, czując się jak człowiek, który jest panem swojego czasu, postanowił zaczekać aż przejedzie. Gdyby chciał przejść przed nim, musiałby się spieszyć, a pośpiech napawał go odrazą.

Tuż obok niego wybiegł chwiejnym krokiem na jezdnię jakiś wynędzniały wrak człowieka. Hamer usłyszał krzyk i odgłosy hamowania autobusu. Potem, oszołomiony i przerażony, utkwiał wzrok w leżącym na środku jezdni nieruchomym stosie łachmanów.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zebrał się tłum gapiów, którego epicentrum stanowili dwaj policjanci i rozmawiający z nimi kierowca autobusu. Ale Hamer nadal patrzył z pełną lęku fascynacją na żalosne szczątki, będące jeszcze przed chwilą człowiekiem — człowiekiem takim jak on! Zadrżał, jakby poczuł się nagle zagrożony.

— Nie powinien pan czynić sobie wyrzutów — odezwał się ochryłym głosem jakiś stojący obok niego mężczyzna. — Nie mógł pan nic zrobić. Zresztą on i tak był już skończony.

Hamer przyjrzał mu się uważnie. Wcale nie myślał o tym, że mógłby w jakiś sposób ocalić ofiarę od śmierci. Odrzucił tę myśl od siebie, uznając ją za absurdalną. Przecież gdyby on sam był na tyle głupi, mógłby teraz... Przerwał gwałtownie rozmyślenia i oddalił się od tłumu. Czuł, że nie może opanować drżenia wywołanego jakimś nieokreślonym przerażeniem. Zmuszony był przyznać sam przed sobą, że odczuwa lęk — okropny lęk — przed Śmiercią... Śmiercią, która potrafi szybko i nieubłaganie zabierać z tego świata, zarówno bogatych, jak i biednych.

Szedł coraz szybciej, ale towarzyszący mu nadal strach przejmował go co chwilę lodowatym dreszczem.

Zastanowiła go własna postawa, bo wiedział, że z natury wcale nie jest tchórzem. Czuł, że jeszcze pięć lat wcześniej nie uległby takiemu napadowi lęku. Wtedy życie nie było jeszcze takie piękne... Tak, w tym tkwiło sedno rzeczy; kluczem do tajemnicy była miłość życia. Rozkoszował się teraz pełnią życia, a jedynym zagrożeniem była niszczycielska Śmierć.

Skręcił w boczną, słabiej oświetloną uliczkę, by skrócić sobie drogę i idąc między wysokimi murami dojść do skweru, na którym stał jego słynny z kolekcji sztuki dom.

Hałas dochodzący z głównej arterii, którą pozostawił za sobą, coraz bardziej oddalał się; wkrótce słyszał już tylko cichy stukot własnych kroków.

I nagle z ciemności dobiegł go inny dźwięk. Pod ścianą siedział jakiś mężczyzna grający na flecie.

Hamer był pewien, że jest to jeden z licznych przedstawicieli plemienia ulicznych grajków, ale nie mógł pojąć, dlaczego wybrał tak nieodpowiednie miejsce. Przecież o tak późnej porze policja... — przerwał gwałtownie tok swego myślenia, zauważywszy, że mężczyzna nie ma nóg. Obok niego stały oparte o ścianę dwie kule. Hamer zorientował się teraz, że kaleka nie gra na flecie, lecz na jakimś nie znanym mu instrumencie, z którego wydobywa o wiele wyższe i bardziej czyste tony.

Mężczyzna grał dalej, nie zwracając uwagi na zbliżającego się Hamera. Głowę odrzucił w tył, jakby rozkoszował się własną muzyką... jasnymi, radosnymi dźwiękami, które wznosiły się coraz to wyżej i wyżej...

Była to dziwna melodia... ściślej mówiąc wcale nie była to melodia, lecz pojedyncza fraza, przypominająca nieco partię smyczków z opery „Rienzi”; powtarzająca się, wędrująca po różnych tonacjach i harmoniach, ale stale biegnąca ku górze i wyrażająca coraz większą, nie ograniczoną niczym swobodę.

Hamer nigdy dotąd nie słyszał takiej muzyki. Było w niej coś dziwnego, coś inspirującego, coś, co uskrzydla, każe wznieść się... Gorączkowo chwycił obiema rękami za występ muru. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że nie może dać się unieść w górę — że musi za wszelką cenę trzymać się ziemi...

Nagle uzmysłowił sobie, że muzyka ucichła. Kaleka sięgał po swoje kule. A on, Silas Hamer, trzymał się kurczowo kamiennego występu, pod wpływem absurdalnego, niewytłumaczalnego uczucia, że coś odrywa go od ziemi, że muzyka unosi go ku niebu...

Roześmiał się. Cóż za szaleńczy pomysł! Oczywiście jego stopy, nawet na chwilę, nie oderwały się od ziemi. Cóż za niezwykle przywidzenie! Usłyszał stukot drewnianych kul o trotuar, to kaleka oddalał się. Hamer patrzył za nim, dopóki jego sylwetka nie rozmyła się we mgle. Cóż za dziwny człowiek! Ruszył w stronę domu, ale szedł teraz nieco wolniej. Nie mógł wymazać z pamięci dziwnego, niesamowitego uczucia, że jego stopy odrywają się od ziemi.

Nagle pod wpływem impulsu odwrócił się i ruszył w ślad za kaleką. Wiedział, że tamten nie mógł zająć o kulach zbyt daleko i że niebawem go dogoni.

— Hej! Proszę chwilę poczekać! — zawołał, widząc zarys poruszającej się powolnym, chybotliwym krokiem postaci.

Mężczyzna zatrzymał się i stał nieruchomo, dopóki Silas nie podszedł zupełnie blisko. Nad jego głową paliła się latarnia, oświetlając wyraźnie rysy twarzy. Silas Hamer wciągnął gwałtownie powietrze, głęboko zaskoczony. Mężczyzna miał najpiękniejszą, najbardziej niezwykłą głowę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Nie potrafił określić jego wieku; z pewnością nie był młodzieńcem, ale z jego twarzy emanowała młodość — młodość i entuzjastyczny zapal.

Hamer poczuł się dziwnie speszony, nie wiedział, jak zacząć rozmowę.

— Posłuchaj pan — wykrztusił w końcu — chciałbym się dowiedzieć, co pan przed chwilą grał.

Mężczyzna uśmiechnął się... a Hamer miał wrażenie, że jego uśmiech napawa radością życia cały świat...

— To stara melodia... bardzo stara melodia... Liczy wiele lat... wiele stuleci.

Mówił bardzo wyraźnie i miał znakomitą dykcję, ale akcentował w taki sam sposób każdą sylabę. Z pewnością nie był Anglikiem, lecz Hamer nie potrafił określić jego narodowości.

— Nie jest pan Anglikiem? Skąd pan pochodzi? Mężczyzna znów promiennie się uśmiechnął.

— Zza morza, sir. Przybyłem dawno temu... bardzo dawno temu.

— Musiał pan przeżyć okropny wypadek. Czy wydarzyło się to w ostatnim okresie?

— Od tej pory minęło już sporo czasu, sir.

— Trzeba mieć pecha, żeby stracić obie nogi.

— Jestem z tego zadowolony, sir — odparł spokojnie mężczyzna. — One były niedobre.

Hamer wsunął w jego dłoń szylinga i odwrócił się. Czuł się zdezorientowany i lekko zaniepokojony. „One były niedobre!” Jak dziwnie zabrzmiało to zdanie! Zostały najwyraźniej amputowane w wyniku operacji... ale jak dziwnie to zabrzmiało!

Hamer rozmyślał przez całą drogę dzielącą go od domu. Daremnie usiłował zapomnieć o przeżytych incydencie. Leżąc już w łóżku i czując jak ogarnia go senność, usłyszał, że zegar na pobliskiej wieży wybija pierwszą. Jedno wyraźne uderzenie, a potem cisza... cisza, którą przerwały znane mu dźwięki. Natychmiast je rozpoznał. Poczul, że serce bije mu coraz szybciej. Spotkany wieczorem mężczyzna musiał grać gdzieś w pobliżu.

Muzyka płynęła łagodnie, wyrażając tę samą radość i bez troskę. Powtarzał się w niej uporczywie ten sam znany mu motyw.

— To niesamowite — mruknął Hamer. — Niesamowite. Ta melodia ma skrzydła.

Coraz wyraźniej, coraz wyżej... każda fraza wznosiła się ponad poprzednią i unosiła go z sobą. Tym razem poddał się jej, nie stawiał oporu... W górę... w górę... Fale dźwięków unosiły go coraz wyżej... Rozbrzmiewały radością życia i swobodną bez troską.

Coraz wyżej... Dźwięki przekroczyły już granicę ludzkiej percepcji, ale rozbrzmiewały nadal, przez cały czas podążając ku górze... Czy osiągną kiedyś ostateczny cel, idealną wysokość?

Wznosił się.

Naraz poczul, że coś go ciągnie. Ściąga w dół. Coś wielkiego, ciężkiego i upartego. Napierało nieustępliwie, ściągając go z powrotem w dół... w dół...

Leżał w łóżku, wpatrując się w okno. Potem, oddychając ciężko i boleśnie, wyciągnął jedną rękę. Ruch ten wydał mu się dziwnie trudny. Miękkość łóżka stała się uciążliwa, przeszkadzały mu także ciężkie kotary okienne uniemożliwiające dostęp światła i powietrza. Wydawało mu się, że sufit go przygniata. Czuł się przytłoczony i na wpół uduszony. Poruszył się lekko pod kołdrą i miał wrażenie, że najbardziej ciąży mu jego własne ciało.

— Potrzebuję twojej rady, Seldon.

Seldon odsunął nieco krzesło od stołu. Zastanawiał się, jaki jest cel tej kolacji w cztery oczy. Od zimy rzadko widywał Hamera, a tego wieczora wyraźnie odczuł, że jego przyjaciel przeszedł jakąś trudną do określenia metamorfozę.

— Chodzi po prostu o to, że martwię się o siebie — wyznał milioner.

Seldon spojrział na siedzącego po drugiej stronie stołu gospodarza i uśmiechnął się.

— Wyglądasz jak pączek w maśle.

— Nie o to chodzi. — Hamer milczał przez chwilę, po czym cicho dodał: — Obawiam się, że zaczynam popadać w obłąd.

Specjalista chorób nerwowych uniósł wzrok w nagłym przypiływie zainteresowania. Nalał sobie powoli jeszcze jeden kieliszek porto, a potem, zerkając spokojnie, lecz badawczo na swego rozmówcę, spytał:

— Co skłania cię do takich przypuszczeń?

— Coś, co mi się przytrafiło. Coś całkowicie niewytłumaczalnego. Nie może to być prawda, a zatem, chyba popadam w obłąd.

— Opowiedz mi wszystko po kolei — zażądał Seldon.

— Nie wierzę w zjawiska nadnaturalne — zaczął Hamer. — Nigdy w nie nie wierzyłem. Ale ta sprawa... Najlepiej będzie, jeśli zrelacjonuję ci całą rzecz od początku. Zaczęło się to minionej zimy, po kolacji, na którą mnie zaprosiłeś.

Krótko i zwięźle opowiedział o swym spacerze do domu i o dziwnych wydarzeniach, które nastąpiły później.

— To był dopiero początek. Nie potrafię ci tego jasno wytłumaczyć... mam na myśli to uczucie... ale to było wspaniałe! Zupełnie inne niż wszystko co kiedykolwiek przeżyłem, o czym kiedykolwiek śniłem. Odtąd to się powtarza. Nie każdej nocy, ale od czasu do czasu. Muzyka, świadomość, że coś mnie unosi, szybki lot ku górze... potem okropne uczucie, że coś ściąga mnie w dół, ku ziemi... i straszny ból, prawdziwy fizyczny ból w momencie przebudzenia. Przypomina to schodzenie do lądowania... no wiesz, ból w uszach i tak dalej. Jest to podobne uczucie, tyle że bardziej intensywne... a w dodatku towarzyszy temu nieprzyjemny efekt ciężaru, przytłoczenia, zamknięcia...

Przerwał. Zapadła krótka cisza.

— Służba już myśli, że oszalałem. Nie mogłem znieść dachu i ścian, kazałem więc przebudować dom i urządzić na górze otwarte pomieszczenie, bez mebli, dywanów, i innych przedmiotów krępujących swobodę ruchu... Ale stojące wokół domy są równie niemożliwe do zniesienia. Tęsknię za otwartą przestrzenią, za miejscem, w którym mógłbym swobodnie oddychać... — Spojrzał raz jeszcze na Seldona. — I co ty na to? Czy potrafisz to wyjaśnić?

— Hmm... — zaczął Seldon. — Istnieje wiele wytłumaczeń. Zostałeś zahipnotyzowany, albo uległeś własnej hipnozie. Masz rozregulowane nerwy. A może po prostu wszystko to jest tylko snem.

— Nie zadowala mnie żadne z tych wyjaśnień — odparł Hamer, potrząsając głową.

— Istnieją też inne — z namysłem dodał Seldon. — Tyle że nie są one ogólnie respektowane.

— A czy ty gotów jesteś uznać ich zasadność?

— W sumie tak! Istnieje wiele zjawisk, których nie rozumiemy i których nie da się na razie wytłumaczyć w zwyczajny sposób. Musimy zgłębić jeszcze wiele tajemnic, więc jestem zwolennikiem postawy całkowicie otwartej.

— A zatem co mi radzisz zrobić? — spytał Hamer po chwili namysłu.

Seldon pochylił się w jego stronę.

— Jedną z kilku rzeczy. Wyjedź z Londynu i poszukaj tej „otwartej przestrzeni”. Może wtedy te sny miną...

— Nie mogę tego zrobić — przerwał mu pospiesznie Hamer. — Doszło do tego, że nie potrafię bez nich żyć. Nie chcę bez nich żyć.

— Domyślałem się tego. Jest drugie wyjście: znajdź tego człowieka, tego kalekę. Przypisujesz mu obecnie liczne nadnaturalne cechy. Pogadaj z nim. Zrzuć z siebie ten urok.

Hamer ponownie potrząsnął głową.

— Dlaczego odmawiasz? — spytał Seldon.

— Boję się.

— Nie wierz w to tak ślepo — nalegał Seldon, wykonując gest zniecierpliwienia. — Jaka jest ta melodia, to medium, od którego wszystko się zaczyna?

Hamer zanucił ją, a jego przyjaciel zmarszczył ze zdziwieniem czoło.

— Przypomina mi to uwerturę do „Rienzi”. Jest w niej coś tak porywającego, uskrzydłającego. Ale mnie nie unosi ona nad ziemię! Porozmawiajmy teraz o tych twoich lotach; czy wszystkie przebiegają tak samo?

— Nie, nie. — Hamer nerwowo pochylił się do przodu. — Ich zasięg się zwiększa. Za każdym razem widzę trochę więcej. Trudno to wytłumaczyć. Zawsze zdaję sobie sprawę, że docieram do pewnego punktu... unosi mnie do niego ta muzyka... nie bezpośrednio, ale za pomocą fal, które wznoszą się kolejno coraz wyżej. W końcu osiągam punkt szczytowy, z którego nie da się już unieść. Pozostaję tam, dopóki nie opadnę z powrotem na ziemię. Nie jest to jakieś określone miejsce, to raczej pewien stan. Nie od razu, ale po pewnym czasie, zdałem sobie sprawę, że istniało wokół mnie wiele zjawisk, czekających na moment, w którym będę w stanie je dostrzec. Wyobraź sobie małego kotka. Ma oczy, ale nic na nie nie widzi. Jest ślepy, dopokąd nie nauczy się nimi posługiwać. No więc, tak samo było ze mną. Moje własne oczy i uszy nie wystarczały... istniały jakieś ich odpowiedniki, nie rozwinięte jeszcze i bez określonego charakteru. Wszystko to stopniowo narastało... zacząłem zwracać uwagę na światło... potem na dźwięki... potem na kolory... Było to bardzo mgliste i niewyraźnie ukształtowane. Raczej zdawałem sobie z nich sprawę, niż widziałem je czy słyszałem. Najpierw było światło, światło, które stawało się coraz jaśniejsze i bardziej wyraźne... potem piasek — wielkie połacie czerwonego piasku... przedzielone tu i ówdzie prostymi, długimi pasmami wody, przypominającymi kanały...

— Kanały! — Seldon wciągnął głęboko powietrze. — To interesujące. Mów dalej.

— Ale te realne zjawiska nie miały znaczenia... wcale się już nie liczyły. Realne było to, czego jeszcze nie widziałem... tylko słyszałem... Słyszałem jakby łopot skrzydeł... nie potrafię tego wyjaśnić, ale było to cudowne! Nie ma na ziemi niczego, co można by z tym porównać. A potem przyszło kolejne cudowne przeżycie — zobaczyłem je... te Skrzydła! Och, Seldon, te Skrzydła!

— Ale jakie to były skrzydła? Ludzkie? Ptasie? Anielskie?

— Nie wiem. Nie widziałem ich, jeszcze nie. Ale dostrzegłem ich kolor! Kolor skrzydeł — nie istnieje na ziemi taki kolor — on jest przepiękny!

— Kolor skrzydeł? — powtórzył Seldon. — Jaki on jest? Hamer niecierpliwie rozłożył ręce.

— Jak ci to wyjaśnić? Czy można wytłumaczyć ślepcowi jak wygląda błękit? To kolor, jakiego nigdy nie widziałeś... kolor skrzydeł!

— No i co?

— No cóż, to wszystko. Dalej nie dotarłem. Ale powrót jest za każdym razem coraz trudniejszy, coraz bardziej bolesny. Nie potrafię tego zrozumieć. Jestem przekonany, że moje ciało zawsze pozostaje w łóżku. Jestem pewien, że w tym miejscu, do którego docieram, nie mam powłoki cielesnej. Dlaczego więc odczuwam ten piekielny ból?

Seldon w milczeniu potrząsnął głową.

— To okropne... te powroty. Ta siła przyciągania... a później ból, ból wszystkich członków, wszystkich nerwów. Czuję się wtedy tak, jakby pękały mi bębniaki w uszach. A potem wszystko na mnie napiera, jestem osaczony, przytłoczony, jakby uwięziony. Potrzebuję światła, powietrza, przestrzeni... przede wszystkim przestrzeni, w której mógłbym swobodnie oddychać. I pragnę

swobody.

— A jak traktujesz wszystkie inne rzeczy, które tyle dla ciebie znaczą? — spytał Seldon.

— To właśnie jest najgorsze. Nadal są dla mnie ważne, może nawet ważniejsze. Ale wszystkie te rzeczy: wygoda, luksus, przyjemności, zdają się ciągnąć mnie w kierunku przeciwnym niż Skrzydła. Toczy się między nimi nieustanna walka, a ja nie wiem, jak ona się skończy!

Seldon siedział przez chwilę w milczeniu. Dziwna historia, której przed chwilą wysłuchał, była fantastyczna, ale miała wszelkie znamiona autentyczności. Czy było to urojenie, halucynacja... czy może prawda? A jeśli tak, to dlaczego wydarzyła się właśnie Hamerowi? Ten materialista, kochający ciało i odrzucający istnienie ducha, to ostatni człowiek, który powinien ujrzeć zjawiska z innego świata.

Hamer obserwował go uważnie z drugiego końca stołu.

— Wydaje mi się — powiedział z namysłem Seldon — że musisz tylko czekać. Czekać, co się wydarzy.

— Nie mogę! Mówiłem ci już, że nie mogę! Skoro tak sądzisz, to znaczy, że w ogóle mnie nie zrozumiałeś. Czuję się rozdarty przez tę okropną, morderczą walkę między... między...

— Między ciałem a duchem?

— Chyba można tak to nazwać — odparł Hamer, patrząc ponuro w przestrzeń. — W każdym razie jest to nie do zniesienia. Nie mogę się uwolnić...

Bernard Seldon raz jeszcze potrząsnął głową. Czuł się schwyty w sidła czegoś niewytłumaczalnego. Postanowił ponowić swą propozycję.

— Na twoim miejscu skontaktowałbym się z tym kaleką — oznajmił.

Ale wracając do domu mruknął do siebie:

— Kanały... To bardzo zastanawiające.

Wychodząc z domu następnego ranka, Silas Hamer szedł energicznym krokiem człowieka, któremu przyświeca określony cel. Postanowił posłuchać rady Seldona i odszukać mężczyznę bez nóg. Był jednak wewnętrznie przekonany, że poszukiwania nie przyniosą rezultatu, gdyż człowiek ten zniknął tak nieodwołalnie, jakby pochłonęła go ziemia.

Ciemne budynki, stojące po obu stronach małej uliczki, zasłaniały dokładnie słońce, toteż panował na niej tajemniczy półmrok. W połowie pasażu widać było jednak jakiś prześwit i snop jasnych promieni oświetlał siedzącą na ziemi postać. Ta postać... tak, to właśnie był ów mężczyzna!

Dziwny instrument, złożony z kilku fujarek, stał oparty o ścianę obok jego kul, on sam zaś trzymał w ręku kolorową kredę i pokrywał płyty chodnika barwnymi rysunkami. Hamer ujrzał dwa gotowe już, przepiękne, delikatne pejzaże. Jeden z nich przedstawiał kołyszące się drzewa, drugi zaś bystry potok, który zdawał się skrzyć życiem.

Hamer zaczął zastanawiać się, czy człowiek ten jest tylko ulicznym grajkiem i rysującym na chodnikach wędrownym malarzem, czy też może kimś więcej... Nagle stracił panowanie nad sobą i zawołał niemal z gniewem:

— Kim pan jest? Na miłość boską, kim pan jest?

Mężczyzna spojrział mu z uśmiechem w oczy.

— Dlaczego pan nie odpowiada? Człowieku, odezwij się wreszcie!

Zauważył, że kaleka rysuje coś z niewiarygodną szybkością na kamiennej płycie. Zaczął się temu bacznie przyglądać... Kilka pospiesznych ruchów kredą i spod ręki artysty wyłoniła się kępa ogromnych drzew. Potem jakiś siedzący na wielkim kamieniu mężczyzna grający na złożonym z fujarek instrumencie. Człowiek o dziwnie pięknej twarzy — i nogach kozła...

Kaleka wykonał jeszcze jeden szybki ruch. Mężczyzna nadal siedział na kamieniu, ale nogi kozła zniknęły.

Artysta znów spojrział Kamerowi w oczy.

— One były niedobre — powiedział.

Hamer przyglądał mu się ze zdumieniem. Twarz, którą widział przed sobą, była wprawdzie twarzą mężczyzny z rysunku, ale dziwnie i niewiarygodnie upiękzoną... Oczyszczoną ze wszystkiego, poza intensywną i delikatną radością życia.

Hamer odwrócił się, pospiesznie przebył krótką uliczkę i wybiegł na jasne słońce dnia.

— To niemożliwe — powtarzał sobie przez cały czas. — Niemożliwe... Jestem obłąkany... śnię! Ale ta twarz prześladowała go... twarz bożka Pana...

Wszedł do parku i usiadł na ławce. O tej porze było tu pusto. W cieniu drzew schroniły się nieliczne niańki z wózkami, a na trawniku, jak wyspy w morzu zieleni, wylegiwali się w niedbałych pozach jacyś mężczyźni.

Określenie: „biedny włóczęga” było dotąd dla Hamera synonimem nieszczęścia. Ale tego dnia zaczął im nagle zazdrościć...

Wydali mu się jedynymi naprawdę wolnymi istotami na świecie. Mieli pod sobą ziemię, a nad sobą niebo... mogli wędrować po całym świecie... nie czuli się skrupowani ani skuci łańcuchami.

Nagle pojął, że tym, co tak nieustępliwie go krępuje, jest właśnie to, co najwyżej ceni — bogactwo. Uważał je za największą siłę na świecie, a teraz, czując jak przytłacza go złoty ciężar, uświadomił sobie, że jest więźniem własnych pieniędzy. ..

Ale czy tak było istotnie? Czy naprawdę o to chodziło? Czy nie istniała jakaś niedostrzegalna dla niego, głębsza i bardziej wyrazista prawda? Czy chodziło o pieniądze, czy też o jego miłość do tych pieniędzy? Był spętany okowami, które sam wykuł; nie bogactwem, lecz przywiązaniem do tego bogactwa.

Wiedział, jak mocno oddziałują na niego te dwie sprzeczne siły: siła przyciągania materializmu, którego był wyznawcą i ukierunkowany w zupełnie przeciwną stronę imperatyw, który nazwał na własny użytek Zewem Skrzydeł.

Pierwsza z nich trzymała go w miejscu, druga zaś nieustannie wzywała do lotu... Słyszał ją tak wyraźnie, że niemal rozróżniał poszczególne słowa.

— Nie zdołasz mnie stłumić — zdawała się mówić. — Ponieważ przeważam nad wszystkim pozostałym. Jeśli posłuchasz mojego wezwania, będziesz musiał wyrzec się wszystkiego innego i odciąć się od sił, które zatrzymują cię w miejscu. Ponieważ tylko Ludzie Wolni mogą iść za mną tam, dokąd ich prowadzę...

— Nie mogę! — zawołał Hamer. — Nie mogę...

Kilka osób odwróciło się w jego stronę i z ciekawością zaczęli się przyglądać tęgiemu mężczyźnie, który mówił sam do siebie.

A więc wymagano od niego poświęcenia, poświęcenia tego, co było mu tak drogie, jakby stanowiło część jego ciała.

Część jego ciała... Przypomniał sobie mężczyznę bez nóg...

— Cóż na Boga cię tu sprowadza? — spytał Borrow.

Hamer istotnie niezbyt pasował do skromnej misji, położonej na przedmieściu East End.

— Wysłuchałem wielu kazań, w których mówiono o rym, co można by dla świata zrobić, gdyby istniały odpowiednie fundusze — odparł milioner. — Więc przyszedłem ci powiedzieć, że możesz dysponować takimi funduszami.

— Czyżbyś zamierzał złożyć hojną ofiarę na kościół? — spytał z niejakim zdziwieniem Borrow. — To bardzo ładnie z twojej strony.

— Możesz to chyba nazwać hojną ofiarą — odparł z lekkim uśmiechem Hamer. — Chcę oddać wszystko, co mam, do ostatniego pensa.

— Co?

Hamer rzeczowym tonem wyjaśnił mu zwięźle wszystkie szczegóły.

Borrow poczuł zawrót głowy.

— Czy... czy chcesz powiedzieć, że przeznaczasz całą fortunę na pomoc dla biednych z East End i ustanawiasz mnie kuratorem tej fundacji?

— Tak. Właśnie tak. —Ale dlaczego... dlaczego?

— Nie potrafię tego wyjaśnić — odparł z namysłem Hamer. — Czy pamiętasz, jak rozmawialiśmy w lutym o Wizji? No więc możesz powiedzieć, że robię to pod wpływem pewnej Wizji.

— To wspaniale! — Borrow pochylił się ku swemu rozmówcy, a w jego oczach załśnił błysk radości.

— Nie ma w tym nic szczególnie wspaniałego — odparł ponuro Hamer. — Los biednych z East End kompletnie mnie nie obchodzi. Umieją tylko wyłudzać pieniądze. Ja też byłem nędzarzem, ale wydobyłem się z biedy. Muszę pozbyć się tych pieniędzy, a nie chcę by wpadły w ręce jakiegoś z nie znanych mi towarzystw dobroczynnych. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Nakarm ciała lub dusze tych ludzi — lepiej ciała. Wiem, co to głód, ale zrób jak uważasz.

— Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym — wyjąkał Borrow.

— Cała sprawa jest nieodwołalnie załatwiona — ciągnął Hamer. — Prawnicy sporządzili wreszcie odpowiednie dokumenty, a ja je podpisałem. Muszę ci wyznać, że ostatnie dwa tygodnie spędziłem bardzo pracowicie. Niemal równie trudno pozbyć się majątku, jak go zdobyć.

— Ale... zatrzymałeś chyba jakąś jego część?

— Ani pensa — odparł pogodnie Hamer. — To znaczy... nie, niezupełnie. Mam w kieszeni tylko dwa pensy — dodał ze śmiechem.

Pożegnał się ze zdumionym przyjacielem, opuścił misję i zaczął krążyć po wąskich, smrodliwych uliczkach. Słowa, które wypowiedział przed chwilą tak beztrąsko, rozbrzmiewały mu w uszach, budząc dotkliwie poczucie żalu. „Ani pensa!” Nie zatrzymał nic ze swej wielkiej fortuny. Teraz

jednak odczuwali lęk — lęk przed biedą, głodem i zimnem. Smak poświęcenia nie był mu, bynajmniej, słodki.

Ale w głębi duszy czuł, że spadł mu z piersi groźny ciężar, że nie jest już skrepowany ani przytłoczony. Zerwanie łańcuchów było bolesne i trudne, ale miał nadzieję, że wizja swobody doda mu sił. Że potrzeby materialne mogą zagłuszyć Zew Skrzydeł, ale nie zdołają go stłumić, gdyż był on zjawiskiem nieśmiertelnym.

Wiał chłodny, jesienny wiatr. Hamer zadrżał z zimna, a potem poczuł, że jest głodny — zapomniał zjeść lunch. To przybliżyło czekającą go przyszłość. Nadal nie mógł uwierzyć, że tak łatwo ze wszystkiego zrezygnował; z wygody, luksusu, ciepła! Czuł w całym ciele bolesną bezsilność... A potem znów podniosło go na duchu radosne poczucie swobody. Zawahał się. Znajdował się niedaleko stacji kolejki podziemnej. Miał w kieszeni dwa pensy. Zamierzał pojechać do parku, w którym oglądał przed dwoma tygodniami wylegających się wałkoni. Nie przygotował sobie bardziej dalekosiężnych planów na przyszłość. Teraz wierzył już święcie, że jest obłąkany — ludzie normalni nie postępowali tak jak on. Ale szaleństwo wydawało mu się czymś zdumiewająco pięknym. Postanowił udać się jednak do parku i poczuł szczególne zadowolenie na myśl o tym, że pojedzie tam kolejką podziemną, która symbolizowała w jego oczach wszystkie uciążliwości zapomnianego już życia... Potem wyjdzie z tej więziennej czeluści i znajdzie się na rozległym trawniku, wśród drzew, które zasłonią groźbę napierających na niego budynków.

Winda powiozła go szybko i nieubłaganie w dół. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Stał na samym końcu peronu, z dala od tłumy. Na lewo od niego czerniał wylot tunelu, z którego miał wynurzyć się pociąg. Otoczenie napawało go niejasnym lękiem. W pobliżu znajdował się tylko jakiś zgarbiony mężczyzna, drzemiący na ławce — jak się zdawało — w pijackim otępieniu.

Z oddali dochodziło słabe, lecz groźne dudnienie pociągu. Mężczyzna wstał z ławki i powłócząc nogami podszedł chwiejnym krokiem do Hamera, a później nachylił się nad peronem, patrząc w czeluść tunelu.

Potem — stało się to tak szybko, że było aż nieprawdopodobne — zachwiał się i upadł.

W głowie Hamera tłoczyło się równocześnie tysiąc różnych myśli. Ujrzał zniekształcone szczątki człowieka, przejechanego przez autobus i usłyszał ochrypy głos: „Nie powinien pan robić sobie wyrzutów. Nie mógł pan w niczym pomóc”. A potem zdał sobie sprawę, że jeśli można było ocalić życie tego człowieka, to mógł to zrobić tylko on. Nikogo innego nie było w pobliżu, a pociąg już za chwilę powinien wjechać na peron... Myśli przebiegały przez jego głowę z szybkością błyskawicy. Doznał dziwnej jasności umysłu.

W ciągu sekundy, jaka pozostała mu na podjęcie decyzji, uświadomił sobie, że jego lęk przed śmiercią nie minął. Odczuwał potworny strach. Pociąg, pokonując już łuk tunelu, jechał zbyt szybko, by się w porę zatrzymać.

Hamer szybko skoczył na tory i podniósł leżącego mężczyznę. Nie powodował nim żaden szlachetny impuls. Jego drżące z przerażenia ciało posłuchało rozkazu jakiegoś obcego ducha, wzywającego do poświęcenia. Ostatnim wysiłkiem dźwignął mężczyznę na peron, a sam upadł na

tory.

Wtedy jego lęk nagle zniknął. Świat materialny nie krępował już jego ruchów. Uwolnił się od swych więzów. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy pogodne dźwięki fletni Pana. Potem dotarł do niego — coraz głośniejszy, zagłuszający wszystko inne — radosny łopot wielu Skrzydeł... które unosiły go w górę...

Ostatni seans

Raoul Daubreuil, przystojny, młody, około trzydziestodwuletni Francuz, nucąc pod nosem jakąś melodyjkę, przeszedł na drugą stronę Sekwany. Miał jasną, zdrową cerę i czarne wąsiki. Z zawodu był inżynierem. Po chwili dotarł na ulicę Cardonet i zatrzymał się przed bramą numer 17. Dozorczyni wyjrzała ze swej klitki i rzuciła mu niechętnie „Dzień dobry”, a on wesoło jej odpowiedział. Potem ruszył po schodach do mieszkania znajdującego się na trzecim piętrze. Stojąc przed drzwiami i czekając aż ktoś mu otworzy, jeszcze raz zanucił swą melodyjkę. Raoul Daubreuil czuł się tego poranka szczególnie radośnie. Drzwi otworzyła stara Francuzka; na widok przybysza na jej pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech.

— Dzień dobry, *Monsieur*.

— Dzień dobry, Elise — pozdrowił ją Raoul. Wszedł do przedpokoju i zdjął rękawiczki.

— *Madame* oczekuje mnie, prawda? — spytał przez ramię.

— A jakże, *Monsieur*.

Elise zamknęła frontowe drzwi i odwróciła się w jego stronę.

— Proszę przejść do małego salonu, *Madame* zjawi się tam za parę minut. W tej chwili odpoczywa.

Raoul spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

— Czy nie czuje się dobrze?

— Dobrze!?

Elise zachnęła się. Minęła Raoula i otworzyła mu drzwi do małego salonu. Raoul wszedł, a ona podążyła za nim.

— Dobrze!? — ciągnęła. — Jak może czuć się dobrze, biedactwo? *Séances*, *séances*, ciągle *séances*! To nie jest w porządku, to wbrew naturze, nie tego chciał dla nas dobry Bóg. Moim zdaniem, powiem bez ogródek, jest to układanie się z diabłem.

Raoul poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

— No dobrze, już dobrze, Elise — rzekł łagodnie. — Nie denerwuj się i nie dopatruj się diabła we wszystkim, czego nie pojmujesz.

Elise nieufnie potrząsnęła głową.

— No cóż — bąknęła pod nosem. — *Monsieur* może sobie mówić co zechce, a mnie się to nie podoba. Proszę popatrzeć na *Madame*, z każdym dniem staje się coraz bledsza i chudsza, a te bóle głowy!

Uniosła w górę ręce.

— O nie, to nie jest w porządku, cała ta sprawa z duchami. Duchy, a jakże! Wszystkie dobre duchy są w raju, a pozostałe w czyścicu.

— Twój pogląd na życie po śmierci jest ożywczo normalny, Elise — powiedział Raoul, opadając na krzesło.

Staruszka wyprostowała się.

— Jestem dobrą katoliczką, *Monsieur*.

Przeżegnała się, ruszyła w kierunku drzwi, po czym przystanęła, kładąc rękę na klamce.

— Ale potem, kiedy się już pobierzecie, *Monsieur* — zapytała błagalnym tonem — nie będziecie chyba ciągnąć tego wszystkiego dalej...

Raoul uśmiechnął się do niej serdecznie.

— Jesteś dobrym, wiernym stworzeniem, Elise — odparł — oddanym swej pani. Nie obawiaj się, kiedy już zostanie moją żoną, cała ta, jak ją nazywasz, „sprawa z duchami” skończy się. Nie będzie już więcej *séances* z udziałem *Madame* Daubreuil.

Na twarzy Elise pojawił się uśmiech.

— Mówi pan to prawdziwie? — spytała z entuzjazmem. Raoul z powagą kiwnął głową.

— Tak — odparł, mówiąc bardziej do siebie niż do niej. — Tak, to wszystko musi się skończyć. Simone posiada cudowny dar i swobodnie z niego korzysta, ale zrobiła już swoje. Jak słusznie zauważyłaś, Elise, z każdym dniem staje się coraz bledsza i chudsza. Życie medium jest szczególnie wyczerpujące i ciężkie, i w dodatku towarzyszy mu ogromne napięcie nerwowe. W każdym razie, Elise, twoja pani jest najwspanialszym medium w Paryżu... więcej, we Francji. Przyjeżdżają do niej ludzie z całego świata, ponieważ wiedzą, że nie ucieka się do żadnych sztuczek ani podstępów.

Elise prychnęła z pogardą.

— Podstępów! Też coś, nigdy w życiu. *Madame* nie potrafiłaby oszukać niemowlęcia, nawet gdyby próbowała.

— Jest aniołem — przyznał z zapalem młody Francuz. — A ja... ja uczynię wszystko, co może uczynić mężczyzna, by ją uszczęśliwić. Czy mi wierzysz?

Elise wyprostowała się i powiedziała z pełną prostoty godnością.

— Służę u *Madame* od wielu lat, *Monsieur*. Z całym szacunkiem mogę powiedzieć, że ją kocham. Gdybym nie wierzyła, że ją pan uwielbia, tak jak na to zasługuje... *eh bien, Monsieur!* Rozerwałabym pana na strzępy.

Raoul zaśmiał się.

— Brawo, Elise! Jesteś wierną przyjaciółką, więc teraz gdy zapewniłem cię, że *Madame* zrezygnuje z duchów, musisz stać po mojej stronie.

Sądził, że staruszka zareaguje na ten komplement wybuchem śmiechu, ale ku jego zdziwieniu nadal była poważna.

— A co będzie, *Monsieur*... — powiedziała niepewnie — ... jeśli duchy z niej nie zrezygnują?

Raoul spojrzał na nią uważnie.

— Co?! Co masz na myśli?

— Pytałam, co będzie, jeśli duchy z niej nie zrezygnują?

— Myślałem, że nie wierzysz w duchy, Elise?

— Oczywiście, że nie wierzę — upierała się Elise. — To niemądre, żeby w nie wierzyć. Chociaż...

— Mów dalej.

— Trudno mi to wytłumaczyć, *Monsieur*. Widzi pan, zawsze sądziłam, że te media, jak sami siebie nazywają, to po prostu sprytni oszuści, nabierający nieszczęśliwe istoty, które straciły swych bliskich. Ale *Madame* nie jest taka. *Madame* jest dobra. *Madame* jest uczciwa i... — Zniżyła głos mówiąc dalej z wyraźnym lękiem. — Dzieją się różne rzeczy. To nie są żadne sztuczki, dzieją się różne rzeczy, i właśnie dlatego boję się. Bo jestem pewna, *Monsieur*, że to nie jest w porządku. To wbrew naturze i dobremu Bogu, i ktoś będzie musiał za to zapłacić.

Raoul wstał z krzesła, podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu.

— Uspokój się, moja dobra Elise — powiedział z uśmiechem. — Mam dla ciebie dobre nowiny. Dziś odbędzie się ostatni *séance*; od jutra koniec z tym.

— To znaczy, że dziś odbędzie się jeszcze seans? — spytała nieufnie staruszka.

— Ostatni, Elise, ostatni.

Elise ponuro potrząsnęła głową.

— *Madame* nie czuje się na siłach... — zaczęła. Przerwała jednak w pół zdania, ponieważ drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka, szczupła, pełna wdzięku blondynka. Blondynka o twarzy

botticellowskiej Madonny. Raoul rozpromienił się, a Elise dyskretnie wyszła.

— Simone!

Oburącz ujął jej długie, białe dłonie i ucałował je. Wyszepiała czule jego imię.

— Raoul, kochany.

Ponownie ucałował dłonie Simone, po czym przyjrzał się uważnie jej twarzy.

— Och, Simone, jaka jesteś blada! Elise powiedziała mi, że odpoczywasz; czyżbyś była chora, ukochana?

— Nie, chora nie... — zawahała się. Podprowadził ją do sofy i usiadł obok niej.

— Powiedz mi więc, o co chodzi. Simone uśmiechnęła się blado.

— Będziesz uważał mnie za niemądrą — szepnęła.

— Ja? Ciebie za niemądrą? Nigdy.

Simone uwolniła swą dłoń z jego uścisku. Przez parę chwil siedziała nieruchomo, wpatrując się w dywan. Potem pospiesznie wyrzuciła z siebie.

— Boję się, Raoul.

Odczekał kilka minut, sądząc, że powie coś więcej, ale ponieważ milczała, spytał:

— Ale czego się boisz?

— Po prostu boję się... to wszystko. — Ale...

Utkwił w niej zdumiony wzrok, a ona spojrzała mu w oczy.

— Wiem, to niedorzeczne, prawda? A mimo to tak właśnie się czuję. Boję się, nic ponadto. Nie wiem ani czego, ani dlaczego, ale cały czas gnębi mnie myśl, że przytrafi mi się coś strasznego... strasznego...

Zapatrzyła się w przestrzeń. Raoul delikatnie otoczył ją ramieniem.

— Najdroższa — rzekł — posłuchaj, nie wolno ci się poddawać. Wiem, jaka jest tego przyczyna, to rezultat napięcia, Simone, napięcia związanego z życiem medium. Potrzeba ci odpoczynku... odpoczynku i spokoju.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Tak, Raoul, masz słuszość. Tego właśnie mi potrzeba, odpoczynku i spokoju.

Zamknęła oczy i oparła głowę na jego ramieniu.

— I szczęścia — szepnął jej do ucha Raoul.

Przyciągnął ją bliżej. Simone, nie otwierając oczu, głęboko westchnęła.

— Tak — wyszeptała — tak. W twoich ramionach czuję się bezpieczna. Zapominam o swoim życiu, okropnym życiu medium. Wiesz wiele, Raoul, ale nawet ty nie zdajesz sobie sprawy, co to wszystko znaczy.

Poczuł jak jej ciało sztywnieje w jego uścisku. Otworzyła oczy i ponownie zapatrzyła się w przestrzeń.

— Siedzisz w ciemności, czekając, a ciemność, Raoul, jest okropna, ponieważ jest to ciemność pustki i nicości. Poddajesz się świadomie tej ciemności, zatracasz się w niej. Potem nie wiesz już nic, niczego nie czujesz, a po jakimś czasie przeżywasz powolny, bolesny powrót do świadomości; budzisz się z tego snu, ale jesteś taki zmęczony... tak okropnie zmęczony.

— Wiem — mruknął Raoul — wiem.

— Tak bardzo zmęczony — wyszeptała ponownie Simone. Gdy powtarzała te słowa, wydawało się, że całe jej ciało omdlewa.

— Ale ty jesteś wspaniała, Simone.

Ujął jej dłonie w swoje ręce, pragnąc, by jego entuzjazm udzielił się także jej.

— Jesteś niezwykła... świat nigdy nie miał tak wspaniałego medium.

Potrząsnęła głową i lekko się uśmiechnęła.

— Ależ tak, tak — powtórzył z naciskiem Raoul. Wyciągnął z kieszeni dwa listy.

— Popatrz, oto list od profesora Roche z Salpetriere, a ten od doktora Genir z Nancy; obaj błagają, byś nadal, przynajmniej raz na jakiś czas, zechciała uczestniczyć w organizowanych przez nich seansach.

— Och, nie!

Simone zerwała się na równe nogi.

— Nie mogę, nie mogę. Trzeba z tym wszystkim raz na zawsze skończyć... Obiecałeś mi, Raoul.

Raoul patrzył na nią zdumiony; stała przed nim chwiejąc się i wyglądała jak osaczone zwierzę. Wstał z sofy i wziął ją za rękę.

— Tak, tak — powiedział. — Naturalnie, z całą pewnością z tym już koniec. Wspomniałem o tych

listach, Simone, tylko dlatego, że jestem z ciebie tak bardzo dumny.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

— Więc nie zażadasz już, bym kiedykolwiek znów grała rolę medium?

— Nigdy — odparł Raoul — chyba, że sama będziesz miała na to ochotę, jedynie od czasu do czasu dla starych przyjaciół...

— Nie, nie — przerwała wzburzona. — Nigdy więcej. Grozi mi niebezpieczeństwo. Uwierz mi, że czuję to... wielkie niebezpieczeństwo.

Przez chwilę przyciskała dłonie do czoła, po czym podeszła do okna.

— Obiecuj mi, że już nigdy więcej — nalegała spokojniejszym już tonem, nie odwracając się.

Raoul podążył za nią i objął ją.

— Moja droga — wyszeptał czule. — Obiecuję ci, że po dzisiejszym seansie nigdy już nie wystąpisz w roli medium.

Poczuł, że wstrząsnął nią dreszcz.

— Po dzisiejszym seansie — mruknęła. — Ach tak... Zapomniałam o *Madame Exe*.

Raoul spojrział na zegarek.

— Będzie tu lada chwila, może jednak, Simone, jeśli nie czujesz się dobrze...

Ale Simone zatopiona we własnych myślach zdawała się go nie słuchać.

— Ona jest... dziwną kobietą, Raoul, bardzo dziwną kobietą. Czy wiesz, że ja... Ona mnie wręcz przeraża.

— Simone!

W jego głosie zabrzmiała nagana, którą od razu wyczuła.

— Tak, tak, wiem, jesteś jak wszyscy Francuzi, Raoul. Dla was matka to świętość, a ja być może zachowuję się niezyczliwie, żywiąc do niej takie uczucia teraz, kiedy boleje nad stratą swojego dziecka. Ale... nie umiem tego wytłumaczyć. Jest taka duża i cała w czerni, a te jej ręce... Czy kiedykolwiek zwróciłeś uwagę na jej dłonie, Raoul? Ogromne, muskularne, silne dłonie, tak silne jak u mężczyzny. Och!

Zadrżała lekko i przyknęła oczy. Raoul cofnął ramię i odezwał się chłodno.

— Naprawdę nie potrafię zrozumieć cię, Simone. Jako kobieta, powinnaś przecież współczuć

innej kobiecie, matce, która straciła swe jedyne dziecko.

Simone wyraziła gestem zniecierpliwienie.

— To ty nic nie rozumiesz, mój drogi przyjacielu. Nie mogę na to nic poradzić. Od chwili, gdy ją zobaczyłam... poczułam... — bezradnie rozłożyła ręce. — Strach! Pamiętasz, to było na długo przedtem, zanim zgodziłam się zostać jej medium. W pewien sposób wyczuwałam, że przyniesie mi nieszczęście.

Raoul wzruszył ramionami.

— Choć prawdę mówiąc, stało się wręcz przeciwnie — rzekł oschle. — Każdy seans kończył się wyraźnym sukcesem. Duch małej Amelii natychmiast w ciebie wstępował, a materializacje były naprawdę uderzające. Szkoda, że profesor Roche nie może być obecny na tym ostatnim seansie.

— Materializacje — powtórzyła cicho Simone. — Powiedz mi, Raoul... wiesz przecież, że nie wiem, co się dzieje, kiedy jestem w transie... czy materializacje są rzeczywiście tak cudowne?

Raoul skwapliwie kiwnął głową.

— Na pierwszych kilku seansach postać dziecka rysowała się jak przez mgłę — wyjaśnił — ale podczas ostatniego...

— Słucham?

— Simone, dziecko które tam stało było naprawdę żywą istotą z krwi i kości — powiedział cicho. — Dotknąłem jej nawet... Lecz widząc, że sprawia ci to ból, nie pozwoliłem *Madame Exe* zrobić tego samego. Obawiałem się, że straci panowanie nad sobą, co mogłoby się dla ciebie fatalnie skończyć.

Simone ponownie odwróciła się w stronę okna.

— Gdy się obudziłam, byłam strasznie wyczerpana — wyszeptała. — Raoul, czy jesteś pewny... czy jesteś naprawdę pewny, że to wszystko jest całkiem w porządku? Wiesz przecież, co myśli kochana stara Elise... uważa, że mam konszachty z diabłem?

Zaśmiała się niepewnie.

— Wiesz, w co ja wierzę — powiedział bardzo poważnie Raoul. — Badając nieznanne zawsze narażamy się na niebezpieczeństwo, ale działamy w szlachetnej sprawie, w sprawie Nauki. Wszędzie na świecie ludzie poświęcali się dla Nauki... byli pionierami, zapłacili wysoką cenę po to, aby inni mogli bezpiecznie pójść w ich ślady. Od dziesięciu już lat działasz dla Nauki kosztem straszliwego napięcia nerwowego. Spełniłaś swój obowiązek, od dziś staniesz się wolna i szczęśliwa.

Uśmiechnęła się do niego czule, nagle odzyskując spokój. Potem zerknęła na zegar.

— *Madame Exe* spóźnia się — mruknęła. — Może w ogóle nie przyjdzie.

— Myślę, że przyjdzie — odparł Raoul. — Twój zegar trochę się spieszy, Simone.

Simone pokręciła się po pokoju, przestawiając różne bibeloty.

— Zastanawiam się, kto to jest, ta *Madame Exe* — powiedziała. — Skąd pochodzi, kim są jej bliscy? Jakie to dziwne, że nic o niej nie wiemy.

Raoul wzruszył ramionami.

— Większość ludzi, przychodzących na spotkanie z medium pragnie, o ile to możliwe, zachować incognito — zauważył. — To elementarny środek ostrożności.

— Chyba masz rację — przyznała bez przekonania Simone. Mała porcelanowa waza, którą trzymała, wysunęła się z jej dłoni i roztrzaskała w kawałki na płytkach przed kominkiem. Simone odwróciła się gwałtownie w stronę Raoula.

— Sam widzisz — wybuchnęła — nie jestem sobą. Raoul, czy wzięłbyś to za tchórzostwo, gdybym powiedziała *Madame Exe*, że dzisiejszy seans nie odbędzie się.

Widząc malujące się na jego twarzy rozczarowanie, poczerwieniała gwałtownie.

— Obiecałaś, Simone... — zaczął łagodnie. Simone oparła się o ścianę.

— Nie zrobię tego, Raoul. Nie zrobię.

Napotkawszy jego czule, lecz pełne wyrzutu spojrzenie, zmrużyła oczy.

— Nie myślę o pieniądzach, Simone, choć zdajesz sobie chyba sprawę, że za ten ostatni seans ta kobieta zaoferowała ci ogromną sumę... po prostu ogromną.

— Istnieją rzeczy ważniejsze od pieniędzy — przerwała mu wyzywającym tonem.

— Z pewnością istnieją — przyznał łagodnie. — Cały czas o tym mówię. Pomyśl tylko... ta kobieta jest matką, matką, która straciła jedyne dziecko. Jeśli rzeczywiście nie jesteś chora, jeśli to tylko twój kaprys... możesz odmówić spełnienia zachcianki bogatej kobiety, ale czy możesz odmówić matce ostatniej szansy zobaczenia utraconego dziecka?

Simone bezradnie rozłożyła ręce.

— Torturujesz mnie — szepnęła. — Ale masz rację. Postąpię tak jak sobie życzysz... Och, wiem już, czego się lękam... chodzi o słowo „matka”.

— Simone!

— Istnieją pewne prymitywne, elementarne siły, Raoul. Większość z nich zniszczyła cywilizacja, lecz macierzyństwo pozostało tym, czym było od zarania. Zwierzęta... istoty ludzkie... dotyczy to wszystkich. Miłość matki do dziecka jest czymś wyjątkowym. Nie wie, co to prawo, co litość, nie

cofnie się przed niczym i bezlitośnie zmiażdży wszystko, co stanie jej na drodze.

Przerwała lekko zdyszana, po czym odwróciła się do niego z rozbajającym uśmiechem.

— Mówię dzisiaj głupstwa, Raoul. Wiem o tym. Ujął ją za rękę.

— Połóż się na chwilę — nalegał. — Odpocznij, zanim przyjdzie.

— Dobrze. — Uśmiechnęła się do niego i wyszła z pokoju. Raoul pograżył się na chwilę w myślach, po czym ruszył w stronę drzwi, otworzył je, przemierzył mały korytarzyk i znalazł się w saloniku bardzo przypominającym pokój, który przed chwilą opuścił. Była tu obszerna wnęka, w której stał duży fotel. Można ją było zasłonić ciężkimi, czarnymi aksamitnymi kotarami. Elise przygotowywała właśnie pomieszczenie. Tuż obok wnęki ustawiła dwa krzesła i mały okrągły stolik. Na stoliku położyła bębenek, róg, kilka kartek papieru i ołówki.

— Ostatni raz... — mamrotała z ponurą satysfakcją. — Ach, *Monsieur*, chciałabym, żeby było już po wszystkim.

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka elektrycznego.

— Oto ona, żandarm nie kobieta — ciągnęła stara służąca. — Dlaczego nie pójdzie pomodlić się za duszyczkę swego maleństwa w kościele i nie zapali świeczki ku czci Najświętszej Pani? Czyż dobry Bóg sam nie wie, co jest dla nas najlepsze?

— Otwórz drzwi, Elise — przerwał jej stanowczym tonem Raoul.

Spojrzała na niego gniewnie, ale wykonała polecenie. Po paru chwilach wróciła wprowadzając gościa.

— Zawiadomię panią Simone, że pani już jest, *Madame*. Raoul podszedł do *Madame Exe*, by uścisnąć jej rękę.

Przypomniały mu się słowa Simone: „Taka duża i cała w czerni”.

Była naprawdę potężnie zbudowaną kobietą, a głęboka czerń żałoby, jaką noszą kobiety we Francji, wydawała się w jej przypadku wręcz przesadna. Mówiła bardzo głębokim głosem.

— Obawiam się, że jestem trochę spóźniona, *Monsieur*.

— Zaledwie parę minut — odparł z uśmiechem Raoul. — *Madame* Simone położyła się na chwilę. Nie czuje się dobrze, jest bardzo zdenerwowana i przemęczona.

Nagle poczuł, że jej ręka zaciska się na jego dłoni jak imadło.

— Ale seans się odbędzie? — spytała ostro.

— Ależ tak, *Madame*.

Madame Exe odetchnęła z ulgą i opadła na krzesło, podnosząc ciężką, czarną woalkę, zasłaniającą jej twarz.

— Och, *Monsieur!* — zawołała — nie wyobraża pan sobie, nie ma pan pojęcia, jaką radość nie do opisania sprawiają mi te *séances!* Moja maleńka! Moja Amelia! Znów będę mogła ją zobaczyć, usłyszeć, a jeśli wyciągnę rękę... tak, być może, będę mogła nawet jej dotknąć.

Raoul przemówił do niej szybko i stanowczo.

— *Madame Exe...* nie wiem, jak mam to wyjaśnić? W żadnym wypadku nie wolno pani robić nic na własną rękę. Musi pani stosować się ściśle do moich wskazówek, w przeciwnym bowiem razie może dojść do katastrofy.

— Katastrofy? Dla mnie?

— Nie. *Madame* — odparł Raoul — dla medium. Musi pani zrozumieć, że zachodzące tu zjawiska znajdują swoje wytłumaczenie w Nauce. Postaram się to opisać w prosty sposób, nie używając terminów fachowych. Aby się objawić, duch musi wykorzystać rzeczywistą, fizyczną cielesność medium. Widziała pani fluid wydzielający się z ust medium w postaci pary. Fluid ten ulega kondensacji i przetwarzany jest na fizyczne podobieństwo ciała ducha. Należy jednak sądzić, że ta ektoplazma to rzeczywista cielesność medium. Mamy nadzieję dowieść tego pewnego dnia za pomocą dokładnych pomiarów wagi i licznych testów... lecz ogromna trudność polega na tym, że każda próba namacalnego badania tego zjawiska naraża medium na niebezpieczeństwo i ból. Dotknięcie zmaterializowanego ducha mogłoby doprowadzić do śmierci medium.

Madame Exe przysłuchiwała mu się z wielką uwagą.

— To bardzo interesujące, *Monsieur*. Proszę mi powiedzieć, czy nadejdzie moment, w którym materializacja osiągnie taki stopień doskonałości, że oderwie się od swego cielesnego przewodnika, czyli medium?

— To tylko abstrakcyjne domysły, *Madame*.

— Ale opierając się na znanych faktach można chyba uznać to za możliwe? — naciskała.

— Obecnie jest to absolutnie niemożliwe.

— Ale być może w przyszłości?

Od odpowiedzi na to pytanie wybawiła go Simone, która właśnie w tym momencie weszła do pokoju. Była bardzo blada i wyraźnie osłabiona, ale odzyskała już w pełni panowanie nad sobą. Podeszła i uścisnęła rękę *Madame Exe*; Raoul zauważył jednak, że witając się z gościem lekko zadrżała.

— Dowiaduję się z przykrością, że jest pani niedysponowana — powiedziała *Madame Exe*.

— To nic groźnego — odparła dość szorstko Simone. — Zaczynamy?

Weszła do wnęki i usiadła w fotelu. Teraz z kolei Raoul poczuł nagły przypływ lęku.

— Nie starczy ci sił — wykrzyknął. — Lepiej odwołajmy ten seans. *Madame Exe* to zrozumie.

— *Monsieur!* — *Madame Exe* z oburzeniem podniosła się z krzesła. — *Madame* obiecała mi ten ostatni seans.

— To prawda — przyznała cicho Simone — i jestem gotowa dotrzymać obietnicy.

— Biorę panią za słowo, *Madame*.

— Nigdy nie zламаłam danego słowa — odparła chłodno Simone. — Nie obawiaj się, Raoul — dodała łagodnie — przecież to już ostatni raz... ostatni raz, dzięki Bogu.

Na dany przez nią znak zasunął ciężkie czarne kotary. Zasłonił również bardzo starannie okno i w pokoju zapanował półmrok. Raoul wskazał *Madame Exe* jedno z krzesel, sam zamierzał właśnie zająć drugie, kiedy *Madame Exe* zawahała się.

— Wybacz mi pan, *Monsieur*, ale... oczywiście, całkowicie wierzę w uczciwość pana i *Madame Simone*, aby jednak uwolnić się od jakichkolwiek wątpliwości, pozwoliłam sobie przynieść to.

Wyjęła z torebki kłębek sznurka.

— Ależ *Madame* — zawołał Raoul. — To zniewaga!

— To tylko środek ostrożności.

— Powtarzam: to zniewaga.

— Nie pojmuję pańskich obiekcji, *Monsieur* — stwierdziła chłodno *Madame Exe*. — Jeśli nie ma w tym żadnej sztuczki, nie musi się pan niczego obawiać.

Raoul zaśmiał się pogardliwie.

— Zapewniam panią, że nie muszę się niczego obawiać, *Madame*. Jeśli ma pani na to ochotę, może pani związać mi ręce i nogi.

Jego przemowa nie odniosła oczekiwanego skutku, gdyż *Madame Exe* mruknęła obojętnym tonem:

— Dziękuję, *Monsieur* — i podeszła do niego z kłębkim sznurka w ręku.

— Nie, nie, Raoul, nie pozwól jej tego zrobić — zawołała nagle zza kotary Simone.

Madame Exe roześmiała się szyderczo.

— *Madame* się lęka — zauważyła z przekąsem.

— Tak, lękam się.

— Uważaj co mówisz, Simone — ostrzegł ją Raoul. — *Madame Exe* przypuszcza najwyraźniej, że jesteśmy szarlatanami.

— Muszę mieć całkowitą pewność — powiedziała stanowczo *Madame Exe*.

Metodycznie przystąpiła do swego zadania, przywiązując Raoula mocno do krzesła.

— Muszę pani pogratulować znajomości węzłów, *Madame* — zauważył z ironią, kiedy skończyła.
— Czy teraz jest pani zadowolona?

Madame Exe nie odpowiedziała. Obeszła pokój, uważnie przyglądając się boazerii. Potem zamknęła wiodące do przedsionka drzwi i wyjąwszy z nich klucz, wróciła do swego krzesła.

— Teraz jestem gotowa — powiedziała nieswoim głosem. Płynęły minuty. Zza kotary dochodził coraz cięższy i coraz bardziej chrapliwy oddech Simone. Potem zupełnie zanikł, ustępując miejsca serii jęków. Później znów na chwilę zapadła cisza, którą przerwało nagłe uderzenie w bębenek. Ktoś chwycił leżący na stoliku róg i rzucił go na podłogę. Rozległ się ironiczny śmiech. Zasłony wnętrza nieco się rozsunęły i w powstałym między nimi prześwicie widać było postać medium. Simone siedziała nieruchomo z opuszczoną głową. Nagle *Madame Exe* gwałtownie wciągnęła powietrze. Z ust medium wydobywała się cienka strużka mgły. Ulegała kondensacji i stopniowo zaczęła przybierać jakiś kształt, kształt dziecka.

— Amelia! Moja mała Amelia! — wyszeptała ochrypłym głosem *Madame Exe*.

Mglista postać ulegała coraz większej kondensacji. Raoul wpatrywał się w nią, nie wierząc własnym oczom. Nigdy przedtem nie widział tak udanej materializacji. Stało przed nimi prawdziwe dziecko, dziecko z krwi i kości.

— *Maman!* — odezwał się miły, dziecięcy głos.

— Moje dziecko! — zawołała *Madame Exe*. — Moje dziecko! — Uniosła się lekko z krzesła.

— Ostrożnie, *Madame* — krzyknął ostrzegawczo Raoul. Zmaterializowana postać zaczęła wysuwać się z wnętrza.

Przed nimi stała dziewczynka, wyciągając przed siebie obie ręce.

— *Maman!*

— Och! — zawołała *Madame Exe*. Ponownie uniosła się z krzesła.

— *Madame!* — krzyknął zaniepokojony Raoul. — Medium...

— Muszę jej dotknąć! — wychrypiała *Madame Exe*, robiąc krok do przodu.

— Na litość boską, *Madame*, proszę nad sobą panować — krzyknął Raoul.

Teraz był już naprawdę zdenerwowany.

— Proszę natychmiast usiąść.

— Moje maleństwo, muszę jej dotknąć.

— *Madame*, rozkazuję pani usiąść!

Desperacko walczył z krępującymi go więzami, ale *Madame Exe* solidnie wykonała swoją robotę, był bezsilny. Ogarnęło go przecucie nieuchronnej katastrofy.

— Na Boga, *Madame*, niech pani siada! — wrzasnął. — Proszę pamiętać o medium.

Madame Exe odwróciła się ku niemu z drwiącym uśmiechem.

— A co mnie obchodzi pańskie medium? — krzyknęła. — Chcę odzyskać swoje dziecko.

— Pani oszalała!

— Moje dziecko, mówię panu. Moje! Moje własne! Moja krew! Moja malutka, wróć do mnie z zaświatów, cała i zdrowa.

Raoul otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Ta kobieta była okropna! Bezwzględna, dzika, owładnięta własną namiętnością. Dziecko rozchyliło usta i po raz trzeci wyszeptało:

— *Maman!*

— Chodź, chodź, moje maleństwo — zawołała *Madame Exe*.

Gwałtownym ruchem chwyciła dziecko w ramiona. Zza kotary dał się słyszeć przeciągły, przejmujący okrzyk bólu.

— Simone! — krzyczał Raoul. — Simone!

Jak przez mgłę ujrzał, że *Madame Exe* przebiega koło niego i otwiera drzwi. Potem usłyszał oddalające się po schodach kroki.

Zza kotary nadal słyhać było straszny, przeciągły, przenikliwy krzyk... krzyk, jakiego Raoul nigdy przedtem nie słyszał. Krzyk ten nagle zamarł, a jego miejsce zajęło przerażające rżenie. Potem rozległ się głuchy odgłos padającego ciała...

Raoul szaleńczo próbował uwolnić się z krępujących go więzów. Szarpiąc się gorączkowo, dokonał rzeczy pozornie niemożliwej, rozerwał sznur. Z trudem stanął na nogach, i w tym samym momencie do pokoju wbiegła Elise, wołając:

— *Madame!*

— Simone! — krzyknął Raoul.

Oboje rzucili się w kierunku wnęki i rozsunęli kotary. Raoul zatoczył się do tyłu.

— Mój Boże! — wyszeptał. — Czerwone... wszystko czerwone... Usłyszał roztrzęsiony głos stojącej obok niego Elise.

— *Madame* nie żyje! Wszystko skończone! Ale pan mi powie, *Monsieur*, co to ma znaczyć. Dlaczego *Madame* tak się skurczyła... dlaczego jest o połowę mniejsza? Co tu się działo?

— Nie wiem — odparł Raoul. jego głos przeszedł w krzyk.

— Nie wiem. Nie wiem. Ale chyba... chyba oszaleję... Simone! Simone!

SOS

— Ach! — wyraził swoje uznanie pan Dinsmead.

Zrobił krok do tyłu i z aprobatą zlustrował okrągły stół. Światło bijące od kominka migotało na grubo tkanym, białym obrusie, na nożach i widelcach oraz na innych przedmiotach zastawy stołowej.

— Czy... czy wszystko jest gotowe? — spytała niepewnie pani Dinsmead. Była drobną, bezbarwną kobietą o bladej twarzy, rzadkich, szczesanych z czoła w tył głowy włosach i sposobie bycia, który cechowała nieustanna nerwowość.

— Wszystko jest gotowe — odparł z wyraźnym zadowoleniem jej mąż.

Był to tęgi mężczyzna o przygarbionych plecach i szerokiej czerwonej twarzy. Miał małe świńskie oczka, które błyszczały pod krzaczastymi brwiami i wydatną, pozbawioną zarostu szczękę.

— Lemoniada? — zapytała prawie szeptem pani Dinsmead. Jej mąż potrząsnął głową.

— Herbata. Jest pod każdym względem lepsza. Popatrz co za pogoda, ulewa i wiatr. W taki wieczór jak ten, nic nie zastąpi filiżanki gorącej herbaty do kolacji.

Mrugnął żartobliwie, po czym ponownie zaczął lustrować stół.

— Na kolację zarządzam: spory półmisek jaj, konserwę wołową, chleb i ser. Więc pospiesz się i przygotuj to wszystko, mateczko. Charlotte czeka w kuchni, by ci pomóc. Pani Dinsmead starannie zwinęła robótkę i wstała.

— Wyrosła na bardzo ładną pannę — powiedziała półszeptem. — Ach, jaką ładną.

— Och! — odparł pan Dinsmead. — Skóra zdjęta z matki! Idź już i nie trać czasu.

Przez parę chwil przechadzał się po pokoju, nucąc pod nosem. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

— Co za okropna pogoda — mruknął do siebie. — Jest mało prawdopodobne, by ktoś nas dzisiejszego wieczora odwiedził.

Potem on również wyszedł z pokoju.

Dziesięć minut później do jadalni wkroczyła pani Dinsmead, niosąc półmisek sadzonych jaj. Za nią podążały jej dwie córki z resztą dań. Pan Dinsmead i jego syn Johnnie zamykali pochód. Gospodarz zasiadł u szczytu stołu.

— Dziękujemy ci, Panie, za te dary, etcetera — wyrecytował żartobliwie. — I niech będzie błogosławiony człowiek, który wynalazł konserwy. Ciekaw jestem, co byśmy zrobili, oddaleni o

kilka mil od najbliższych zabudowań, gdybyśmy nie mieli od czasu do czasu puszek konserwy, by się nią poratować, kiedy rzeźnik zapomni o cotygodniowej dostawie?

Zaczął sprawnie kroić konserwową wołowinę.

— Dziwię się, że ktoś wpadł na pomysł zbudowania tego domu, tak oddalonego od najbliższego sąsiedztwa — powiedziała z rozdrażnieniem jego córka Magdalen. — Nigdy nie widzimy żywej duszy.

— Tak, to prawda — odparł jej ojciec. — Nigdy żywej duszy.

— Nie mogę zrozumieć, po co go kupiłeś, ojczy — zastanawiała się głośno Charlotte.

— Nie możesz, moja panno? No cóż, miałem swoje powody... miałem swoje powody.

Zerknął ukradkiem na żonę, ale ona tylko zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

— A na dodatek tu straszy — stwierdziła Charlotte. — Za nic nie zgodziłabym się nocować tu sama.

— Stek bzdur — przerwał jej ojciec. — Przecież nigdy niczego nie widziałaś, prawda?

— Być może niczego nie widziałam, ale...

— Ale co?

Charlotte nie odpowiedziała, tylko lekko wzdrygnęła się. Potężna fala deszczu silnie uderzyła o szybę, a pani Dinsmead upuściła łyżkę, która z brzękiem spadła na tacę.

— Czyżbyś była czymś zdenerwowana, mateczko? — spytał pan Dinsmead. — To po prostu okropny wieczór. Nie lękaj się, tu, przy naszym kominku jesteście bezpieczni i nikt z zewnątrz nie może nam przeszkodzić. Byłby to cud, gdyby ktoś tu się pojawił. A cuda się nie zdarzają. Nie — dodał, mówiąc do siebie z dziwną satysfakcją. — Cuda się nie zdarzają.

Zaledwie wypowiedział te słowa rozległo się pukanie do drzwi. Pan Dinsmead zastygł w bezruchu.

— Cóż to może być? — mruknął.

Pani Dinsmead wydała krótki, piskliwy okrzyk i owinęła się szalem.

Magdalen, której twarz nabrała rumieńców, pochyliła się i przemówiła do swego ojca.

— Właśnie zdarzył się cud — powiedziała. — Lepiej idź i wpuść tego kogoś do środka.

Dwadzieścia minut wcześniej Mortimer Cleveland stał na ulewnym deszczu, we mgle i przyglądał się swemu samochodowi. Był to rzeczywiście cholerny pech. Złapał dwie gumy w odstępie dziesięciu minut i oto stoi tu, pośród nagich pagórków hrabstwa Wiltshire, bezradny, oddalony o mile od najbliższych zabudowań, bez perspektywy znalezienia jakiegokolwiek schronienia. A tymczasem zbliżała się już noc. Zasłużył na to, bo próbował jechać na skróty. Gdyby trzymał się głównej szosy! Teraz zabłądził na polnej drodze, nie mając najmniejszego pojęcia, czy w pobliżu znajduje się jakaś wioska.

Kiedy bezradnie rozglądał się wokół, dostrzegł nagle smugę światła na stoku wznoszącego się ponad nim wzgórza. W sekundę później mgła ponownie ją przesłoniła, ale poczekał cierpliwie i wkrótce światło znów zamigotało. Po chwili zastanowienia zostawił samochód i zaczął wspinać się po zboczu.

Niebawem wyszedł z mgły i stwierdził, że blask ten wydobywa się z oświetlonego okna małego domku. W każdym razie było to jakieś schronienie. Mortimer Cleveland przyspieszył kroku, pochylając głowę, by stawić czoła gwałtownemu atakowi wichru i deszczu, próbującym najwyraźniej zepchnąć go z powrotem w dół.

Cleveland w pewnym sensie był czymś w rodzaju znakomitości, choć niewątpliwie większość ludzi, zapytanych o jego nazwisko i osiągnięcia, wykazałaby całkowitą ignorancję w tym względzie. Uchodził za autorytet w dziedzinie nauk psychologicznych i napisał dwa doskonale podręczniki na temat podświadomości. Był również członkiem Towarzystwa Badań Psychiczych i specjalistą od okultyzmu w stopniu niezbędnym do prowadzenia samodzielnych badań i formułowania właściwych wniosków.

Z natury był człowiekiem szczególnie wrażliwym na otoczenie, i poprzez świadome ćwiczenia rozwinął swój wrodzony talent. Kiedy w końcu dotarł do domku na wzgórzu i zapukał do drzwi, poczuł się tak podniecony i zaintrygowany, jakby wszystkie jego zmysły uległy gwałtownemu wyostrzeniu.

Słyszał wyraźnie dochodzący z głębi domku szmer głosów. Kiedy zapukał, zapadła nagła cisza, a potem dobiegł go odgłos przesuwanego po podłodze krzesła. Po chwili drzwi otworzył mu mniej więcej piętnastoletni chłopiec. Cleveland zajrzał ponad jego ramieniem do środka.

Scena, którą ujrzał, przypominała w nastroju obraz jakiegoś holenderskiego mistrza. Nakryty do posiłku okrągły stół, siedząca wokół niego rodzina, kilka migocących świec i bijąca od kominka jasna poświata. Ojciec, potężnie zbudowany mężczyzna, zajmował miejsce u szczytu stołu, naprzeciw niego siedziała drobna, siwa kobieta o zalęknionym wyrazie twarzy. Siedząca między nimi dziewczyna zwrócona była w stronę drzwi. Z niepokojem patrzyła mu prosto w oczy, a ręka w której trzymała filiżankę zawisała w połowie drogi do jej ust.

Cleveland od razu zauważył jej niezwykle oryginalną urodę. Rudozłote włosy jak mgła okalały jej

twarz, a szeroko rozstawione oczy były zupełnie stare. Miała usta i podbródek Madonn ze starych włoskich obrazów.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Potem Cleveland wszedł do pokoju i opisał swoje kłopotliwe położenie. Kiedy skończył, nastąpiła kolejna, trudniejsza do zrozumienia chwila milczenia. W końcu ojciec, jakby z pewnym wysiłkiem podniósł się z krzesła.

— Proszę wejść, panie... panie Cleveland, czy tak?

— Tak, tak właśnie się nazywam — odparł z uśmiechem Mortimer.

— Ach! Oczywiście, że tak. Proszę więc wejść, panie Cleveland. Na taką pogodę nie wygnałoby się nawet psa, prawda? Proszę zająć miejsce przy kominku. Johnnie, czy możesz zamknąć drzwi? Nie musisz sterczeć tam przez pół wieczoru.

Cleveland podszedł do kominka i usiadł przy ogniu na drewnianym stołku. Chłopiec zamknął drzwi.

— Nazywam się Dinsmead — oznajmił pan domu. Stał się teraz bardziej wylewny. — A to moja żona, i moje dwie córki, Charlotte i Magdalen.

Cleveland po raz pierwszy ujrzał twarz siedzącej tyłem do niego dziewczyny i zauważył, że choć znacznie różniła się urodą od swej siostry, była równie ładna jak tamta. Miała bardzo ciemne włosy, bladą jak marmur cerę, subtelny orli nos i wyraźnie zarysowane usta. Była typem zimnej, surowej, niemal niepokojącej piękności. Kiedy ojciec ją przedstawił, pochyliła lekko głowę i przyjrzała się gościowi badawczym wzrokiem. Czuł się tak, jakby z charakterystyczną dla młodych ludzi dociekliwością ważyła jego wady i zalety.

— Napije się pan czegoś, panie Cleveland?

— Z przyjemnością — odparł Mortimer. — Filiżanka herbaty bardzo dobrze mi robi.

Pan Dinsmead wahał się przez chwilę, po czym wylał kolejno zawartość stojących na stole pięciu filiżanek do jakiejś miski.

— Ta herbata już wystygła — rzekł szorstko. — Czy mogłabyś nam zrobić świeżą, mateczko?

Pani Dinsmead natychmiast wstała i pospiesznie oddaliła się z imbrykiem w ręku. Mortimer miał wrażenie, że chętnie opuszcza pokój.

Szybko przyniesiono herbatę i poczęstowano niespodziewanego gościa kolacją.

Pan Dinsmead mówił nieprzerwanie. Był wylewny, towarzyski i gadatliwy. Opowiedział nieznajomemu wszystko o sobie. Niedawno przeszedł na emeryturę, a poprzednio pracował w branży budowlanej, gdzie całkiem nieźle zarabiał. Oboje z żoną doszli do wniosku, że dobrze zrobiliby im wiejskie powietrze — nigdy przedtem nie mieszkali poza miastem. Oczywiście październik i listopad nie są najlepszą porą roku na dokonywanie wyboru, ale nie chcieli czekać. — Jak pan wie, sir, życie

jest niepewne. — Kupili więc ten domek. Osiem mil od najbliższych zabudowań i dziewiętnaście mil od osady, którą można by nazwać miasteczkiem. Nie, nie skarżą się. Dziewczęta trochę narzekają na nudę, ale on i jego żona rozkoszują się spokojem.

Mówił dalej, niemal hipnotyzując Mortimera potokiem swej elokwencji. Oczywiście był to tylko zwykły dom rodzinny, nie odznaczający się niczym szczególnym. A jednak, gdy przyglądał się bliżej temu wnętrzu wyczuwał coś jeszcze: jakieś napięcie, emanujące od jednego z pięciorga domowników — nie wiedział, od kogo. Uznał, że to złudzenie wywołane przewrażliwieniem nerwowym. Zaskoczył ich po prostu swoim nagłym pojawieniem się.

Poruszył kwestię noclegu i spotkało się to z życzliwym przyjęciem.

— Będzie pan musiał zatrzymać się u nas, panie Cleveland. W promieniu kilku mil nie znajdzie pan żadnego innego domu. Damy panu pokój gościnny i choć moja piżama może okazać się trochę za obszerna dla pana, lepsze to niż nic, a pańskie ubranie tymczasem wyschnie.

— Bardzo panu dziękuję.

— Nie ma za co — odparł pogodnie gospodarz. — Jak już powiedziałem, w taki wieczór jak dziś nie wygnałoby się nawet psa. Magdalen, Charlotte, idźcie na górę i przygotujcie pokój.

Obie dziewczyny wyszły. Po chwili Mortimer usłyszał nad głową ich kroki.

— To zrozumiałe, że dwie tak atrakcyjne młode damy jak pańskie córki mogą się tu nudzić — stwierdził Cleveland.

— Są niebrzydkie, prawda? — powiedział z ojcowską dumą pan Dinsmead. — Zupełnie niepodobne do matki ani do mnie. Jesteśmy parą prostych ludzi, ale łączy nas wzajemne przywiązanie. Mogę pana o tym zapewnić, panie Cleveland. Czyż nie tak, Maggie?

Pani Dinsmead uśmiechnęła się z przymusem. Zabrała się ponownie do swojej robótki, szybko i wprawnie poruszając drutami.

Wkrótce zawiadomiono Mortimera, że pokój jest gotowy, a on, podziękowawszy raz jeszcze, wyraził chęć udania się na spoczynek.

— Czy włożyłaś do łóżka termofor? — spytała pani Dinsmead, przypomniawszy sobie nagle o obowiązkach gospodyni.

— Owszem mam, dwa.

— To dobrze — powiedział pan Dinsmead. — Idźcie z panem na górę i upewnijcie się, czy czegoś jeszcze nie potrzebuje.

Magdalen podeszła do okna i sprawdziła, czy jest dobrze zamknięte. Charlotte po raz ostatni rzuciła okiem na przybory do mycia. Potem obie przystanęły w drzwiach.

— Dobrej nocy, panie Cleveland. Czy na pewno niczego panu nie brakuje?

— Nie, dziękuję, panno Magdalen. Wstyd mi tylko, że sprawiłem wam obu tyle kłopotów. Dobranoc.

— Dobranoc.

Wyszły, zamykając za sobą drzwi. Mortimer Cleveland został sam. Rozbierał się powoli, pogrążony w myślach. Kiedy miał już na sobie różową piżamę pana Dinsmead, zebrał swoje przemoczone ubranie i położył je przed drzwiami pokoju, tak jak polecił mu pan domu. Z dołu dobiegał grzmiący głos pana Dinsmead.

Cóż to za gaduła! I oryginał. W gruncie rzeczy cała rodzina wydała mu się dość dziwna, ale może to tylko wymysł jego wyobraźni.

Wrócił do swego pokoju i zamknął drzwi. Przez chwilę stał obok łóżka zamyślony. Nagle wzdrygnął się...

Stojący obok łóżka mahoniowy stolik pokryty był kurzem. Dostrzegł na nim wyraźnie widoczne trzy litery, SOS.

Mortimer nie wierzył własnym oczom. Stanowiło to potwierdzenie wszystkich jego mglistych podejrzeń i przeczuć.: A zatem miał rację. W tym domu działo się coś złego.

SOS. Wołanie o pomoc. Ale kto wypisał te litery palcem na zakurzonej stoliku? Magdalen czy Charlotte? Przypomniał sobie, że przed wyjściem z pokoju obie stały przez chwilę w tym miejscu. Która z nich niepostrzeżenie nakreśliła te trzy litery?

Wywołał w pamięci twarze obu dziewcząt. Magdalen była ciemnowłosa i wyniosła. Charlotte zaś jasnowłosa. To ona, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, patrzyła na niego z niepokojem, a” w jej spojrzeniu kryła się jakaś niezgłębiona tajemnica.

Ponownie podszedł do drzwi i otworzył je. Nie słyhać już było grzmiącego głosu pana Dinsmead. Dom pogrążył się w ciszy.

Dziś wieczorem nie jestem już w stanie nic zrobić — pomyślał. — Jutro... no cóż. Zobaczymy.

Cleveland obudził się wcześniej. Zszedł na dół, minął salonik i po chwili znalazł się w ogrodzie. Po deszczu nastał świeży i piękny poranek. Ktoś inny również wstał wcześniej. W głębi ogrodu oparta o ogrodzenie stała Charlotte, wpatrując się we wzgórze. Kiedy do niej podszedł, serce zaczęło mu bić szybciej. Od samego początku podejrzewał podświadomie, że to właśnie ona była autorką przesłania. Gdy się do niej zbliżył, odwróciła głowę i powitała go, mówiąc: „Dzień dobry”. W jej szczerym i niewinnym spojrzeniu nie dostrzegł ani śladu dyskretnej aluzji.

— Piękny poranek — stwierdził z uśmiechem. — Jakże inny niż wczorajszy wieczór.

— Istotnie.

Mortimer odłamał gałązkę z najbliższego drzewa. Zaczął nią, jakby od niechcienia, bazgrać na skrawku gładkiego, piaszczystego gruntu. Nakreślił najpierw S, potem O, a potem jeszcze jedno S, dyskretnie obserwując dziewczynę. Ale i tym razem nie dostrzegł w jej oczach błysku zrozumienia.

— Czy wie pani, co znaczą te litery? — spytał nagle.

Charlotte lekko zmarszczyła brwi.

— Czy nie jest to sygnał alarmowy, który wysyłają statki pasażerskie, kiedy znajdują się w niebezpieczeństwie? — spytała.

Mortimer kiwnął głową.

— Ktoś napisał to ubiegłego wieczora na moim nocnym stoliku — powiedział cicho. — Myślałem, że może zrobiła to pani.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami z wyraźnym zdumieniem.

— Ja? Ależ skąd.

A zatem mylił się. Poczuł ostre ukłucie rozczarowania. Był o tym tak przekonany... tak głęboko przekonany. Nieczęsto zawodziła go intuicja.

— Czy jest pani całkiem pewna? — nalegał.

— Ależ oczywiście.

Odwrócili się i ruszyli w stronę domu. Charlotte wydawała się zamyślona. Odpowiedziała zdawkowo na kilka jego uwag. Nagle zaczęła mówić cicho i pośpiesznie:

— To... to dziwne, że pyta pan o te litery, SOS. Oczywiście ja ich nie napisałam... ale mogłam to z łatwością zrobić.

Zatrzymał się i spojrzął na nią uważnie. — Wiem, że zabrzmiało to niemądrze — mówiła szybko dalej — ale byłam tak przerażona, tak okropnie przerażona, i kiedy zjawił się pan wczoraj wieczorem, wyglądało to jak... jak odpowiedź na czyjeś zawołanie.

— Czego pani się boi? — spytał pospiesznie.

— Nie wiem.

— Nie wie pani.

— Myślę, że to ten dom. Odkąd tu przybyliśmy, to uczucie ciągle narastało. Wszyscy wydają się jakby inni. Ojciec, matka, i Magdalen, wszyscy się zmienili.

Mortimer milczał przez chwilę, ale zanim zdążył się odezwać, Charlotte zaczęła znów mówić.

— Czy wie pan, że w tym domu podobno straszy?

— Słucham? — spytał z rosnącym zainteresowaniem.

— Tak, przed kilku laty pewien mężczyzna zamordował tu swoją żonę. Dowiedzieliśmy się o tym już po przyjeździe. Ojciec twierdzi, że opowieści o duchach to bzdury, aleja... sama nie wiem.

Mortimer starał się szybko zebrać myśli.

— Proszę mi powiedzieć — przemówił rzeczowym tonem — czy to morderstwo zostało popełnione w pokoju, w którym spędziłem wczorajszą noc?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparła Charlotte.

— Ciekaw jestem... — mówił Mortimer na wpół do siebie — tak, to może być to.

Charlotte przyglądała mu się wyraźnie zdezorientowana.

— Panno Dinsmead — spytał łagodnie Mortimer — czy kiedykolwiek coś dało pani powód do przypuszczeń, że posiada pani zdolności mediumiczne?

Patrzyła na niego w milczeniu.

— Wie pani, sądzę, że to właśnie pani napisała ubiegłego wieczora te litery „S O S” — oznajmił cicho. — Oczywiście całkiem podświadomie. Zbrodnia, że się tak wyrażę, zatruwa atmosferę. Może to mieć wpływ na tak wrażliwą psychikę jaką ma pani. Odtwarzała pani nieświadomie uczucia i przeżycia ofiary. Być może ta kobieta napisała przed laty na tym stole litery „S O S”, a pani, naśladowując ją podświadomie, zrobiła to samo minionego wieczora.

Charlotte rozpromieniła się.

— Rozumiem — powiedziała. — Więc myśli pan, że tak należy to tłumaczyć?

Ktoś z wnętrza domu zawołał ją, więc zniknęła w drzwiach. Mortimer został w ogrodzie i przechadzał się tam i z powrotem po ścieżce. Czy zadowalała go jego własna wizja przebiegu wydarzeń? Czy uwzględniała ona wszystkie znane mu fakty? Czy tłumaczyła napięcie, jakie odczuł wchodząc do tego domu ubiegłego wieczora?

Być może... ale nadal miał wrażenie, że jego nagłe pojawienie się wywołało w obecnych coś w rodzaju konsternacji.

— Nie wolno mi ograniczyć swych wniosków tylko do sfery psychicznej — pomyślał. — Może jest to słuszne w przypadku Charlotte, ale z pewnością nie jeśli chodzi o pozostałych domowników. Moje przybycie wstrząsnęło wszystkimi z wyjątkiem Johnniego. Cokolwiek się tu dzieje, Johnnie nie ma z tym nic wspólnego.

Był o tym całkowicie przeświadczony, choć nie znał źródła swej pewności.

W tym momencie Johnnie we własnej osobie wyszedł z domku i zbliżył się do gościa.

— Śniadanie gotowe — oznajmił nieśmiało. — Czy zechce pan przyjść?

Mortimer zauważył, że chłopiec ma bardzo poplamione palce. Johnnie dostrzegł jego spojrzenie i uśmiechnął się, jakby z poczuciem winy.

— Ciągle bawię się różnymi chemikaliami — oświadczył. — Niekiedy doprowadza to tatę do szału. Chce, żebym w przyszłości pracował w branży budowlanej, ale ja wolę zajmować się chemią i prowadzić badania naukowe.

W oknie domu pojawił się pan Dinsmead. Widok jego szerokiej, życzliwie uśmiechniętej twarzy ponownie wzbudził w Mortimerze nieufność, a nawet niechęć. Pani Dinsmead siedziała już przy stole.

— Dzień dobry — powitała go swym bezbarwnym głosem, a on znów odniósł wrażenie, że z jakiegoś powodu budzi w niej lęk.

Magdalen przyszła ostatnia. Przywitała Mortimera skinieniem głowy i zajęła miejsce naprzeciw niego.

— Czy dobrze pan spał? — spytała szorstkim tonem. — Czy łóżko było wygodne?

Patrzyła na niego wyczekująco, a kiedy uprzejmie odpowiedział twierdząco, zauważył, że na jej twarzy pojawił się grymas rozczarowania. Zastanawiał się, jakiej odpowiedzi oczekiwała.

Zwrócił się do gospodarza.

— Podobno pański syn interesuje się chemią? — spytał uprzejmie.

Rozległ się głośny brzęk. Pani Dinsmead upuściła swoją filiżankę.

— Spokojnie, Maggie, nic się nie stało — powiedział jej mąż.

Mortimerowi wydało się, że w jego głosie zabrzmiało jakby upomnienie czy ostrzeżenie. Pan Dinsmead odwrócił się do gościa i zaczął opowiadać wylewnie o zaletach branży budowlanej oraz podkreślać, jak niebezpieczny dla młodych chłopców jest przerost ambicji.

Po śniadaniu Mortimer wyszedł samotnie do ogrodu, by zapalić papierosa. Najwyraźniej zbliżał się moment pożegnania. Mógł oczywiście poprosić, by udzielono mu gościny na jeszcze jedną noc, ale trudno byłoby przedłużyć wizytę, nie podając jakiegoś powodu, a żaden stosowny pretekst nie przychodził mu do głowy. Mimo to z dziwną niechęcią myślał o wyjeździe.

Rozmyślając o wszystkim i o niczym, skierował się bezwiednie na ścieżkę prowadzącą na tyły domu. W butach na gumowych podeszwach poruszał się bardzo cicho, niemal bezszelestnie. Kiedy przechodził obok kuchennego okna, usłyszał dochodzący stamtąd głos pana Dinsmead; słowa gospodarza natychmiast przyciągnęły jego uwagę.

— To fura pieniędzy, ot co.

Pani Dinsmead coś odpowiedziała. Mówiła zbyt cicho, by Mortimer mógł rozróżnić poszczególne słowa, ale dotarła do niego replika jej męża:

— Niemal sześćdziesiąt tysięcy funtów; tak twierdzi ten prawnik.

Mortimer nie zamierzał podsłuchiwać, odszedł więc od okna i pogрузzył się w myślach. Wzmianka o pieniądzech rozjaśniała nieco sytuację. Skoro chodziło o sumę sześćdziesięciu tysięcy funtów, wszystko stawało się bardziej zrozumiałe... i bardziej niepokojące.

Magdalen wybiegła do ogrodu, ale niemal natychmiast wezwał ją ojciec, więc weszła z powrotem do domu. Po chwili pan Dinsmead przyłączył się do swego gościa.

— Wyjątkowo piękny poranek — stwierdził — Mam nadzieję, że z pańskim samochodem wszystko w porządku.

Chce się dowiedzieć, kiedy wyjeżdżam — pomyślał Mortimer. Raz jeszcze podziękował gospodarzowi za okazaną mu gościnność.

— Nie ma za co, doprawdy nie ma za co — odparł pan Dinsmead.

Magdalen i Charlotte wyszły razem z domu i ruszyły ramię w ramię w stronę pobliskiej, zbitej z gałęzi ławeczki. Ciemne i złote włosy dziewcząt pięknie ze sobą kontrastowały i Mortimer wiedziony nagłym impulsem rzekł:

— Pańskie córki nie są wcale do siebie podobne.

Pan Dinsmead, który właśnie zapalał fajkę, drgnął gwałtownie i upuścił zapałkę.

— Tak pan uważa? — powiedział. — No cóż, chyba ma pan rację.

— Czy obie są pańskimi córkami? — zadał pytanie Mortimer w nagłym przebiegłym intuicji.

Pan Dinsmead spojrział na niego, zawahał się przez chwilę, po czym najwyraźniej podjął decyzję.

— Jest pan bardzo bystrym człowiekiem, sir — stwierdził. — Nie są obie naszymi córkami. Jedna z nich jest przybrana. Wzięliśmy ją, kiedy była małym dzieckiem i wychowywaliśmy jak własną córkę. Ona nie ma o tym pojęcia, ale wkrótce będzie musiała poznać prawdę — dodał z westchnieniem.

— Chodzi o spadek? — spytał cicho Mortimer. Pan Dinsmead zerknął na niego podejrzliwie.

Potem doszedł chyba do wniosku, że najwłaściwszą linią postępowania jest szczerowość; stał się naraz agresywnie otwarty i bezceremonialny.

— To dziwne, że wpadł pan na to, sir.

— Może to telepatia? — zasugerował z uśmiechem Mortimer.

— Widzi pan, to wygląda tak. Wzięliśmy ją na prośbę jej matki... za wynagrodzeniem, ponieważ w owym czasie stawiałem dopiero pierwsze kroki w branży budowlanej. Przed kilku miesiącami zauważyłem w gazetach ogłoszenie i wydało mi się, że dziecko o które chodzi, to z pewnością nasza Magdalen. Odwiedziłem prawników i odbyłem z nimi długie rozmowy. Początkowo byli podejrzliwi, jak można się było spodziewać, ale teraz wszystko zostało wyjaśnione. W przyszłym tygodniu zabieram dziewczynę do Londynu, choć ona jeszcze nic o tym nie wie. Jak się okazało, jej ojciec był bogatym Żydem. O istnieniu dziecka dowiedział się zaledwie na kilka miesięcy przed śmiercią. Próbował ją odszukać, korzystając z usług wynajętych agentów i zapisał jej wszystkie swoje pieniądze na wypadek, gdyby została odnaleziona.

Mortimer słuchał w milczeniu. Nie miał powodu, by wątpić w prawdziwość opowieści pana Dinsmead. Wyjaśniała ona urodę ciemnowłosej Magdalen; wyjaśniała też, być może, jej wyniosłość. Ale, choć sama historia mogła być prawdziwa, kryło się za nią coś tajemniczego.

Mortimer nie zamierzał jednak budzić w swym rozmówcy podejrzeń. Przeciwnie, musiał dołożyć wszelkich starań, by je uśmierzyć.

— Bardzo ciekawa historia, panie Dinsmead — powiedział. — Gratuluję panie Magdalen. Jako dziedziczka majątku i prawdziwa piękność, ma przed sobą wspaniałą przyszłość.

— Tak, to prawda — zgodził się z entuzjazmem jej ojciec — a do tego jest wyjątkowo dobrą dziewczyną, panie Cleveland.

Z jego słów przebijała prawdziwa serdeczność.

— No cóż — powiedział Mortimer — na mnie chyba już czas. Raz jeszcze muszę panu podziękować, panie Dinsmead, za okazaną mi gościnność.

W towarzystwie gospodarza wszedł do domu, by pożegnać się z panią Dinsmead. Stała przy oknie

tyłem do nich i nie usłyszała ich kroków. Kiedy jej mąż oznajmił pogodnym tonem: „Pan Cleveland chce się z tobą pożegnać”, drgnęła nerwowo i odwracając się upuściła jakiś przedmiot, który trzymała w ręku. Mortimer podniósł go z podłogi. Była to miniatura, przedstawiająca Charlotte, namalowana w stylu obowiązującym mniej więcej przed ćwierćwieczem. Mortimer powtórzył wyrazy wdzięczności, które przekazał uprzednio jej mężowi. Kiedy pani Dinsmead zerknęła na niego ukradkiem spod przymkniętych powiek, znów dostrzegł malujący się na jej twarzy lęk.

Nie widział nigdzie dziewcząt, ale nie chciał o nie pytać; przewidywał, co się wydarzy, a jego przewidywania niebawem miały się sprawdzić.

Zdążając do miejsca, w którym poprzedniego wieczora zostawił samochód, przebył jakieś pół mili, kiedy rosnące obok ścieżki krzewy rozchyliły się i nagle stanęła przed nim Magdalen.

— Musiałam się z panem zobaczyć — powiedziała.

— Spodziewałem się tego — odparł Mortimer. — To pani napisała wczoraj wieczorem na stoliku w moim pokoju te trzy litery „S O S”, prawda?

Magdalen kiwnęła potakująco głową.

— Dlaczego? — spytał łagodnie Mortimer.

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła obrywać liście z krzewu.

— Nie wiem — odparła. — Naprawdę nie mam pojęcia.

— Proszę mi powiedzieć — poprosił Mortimer. Magdalen wzięła głęboki oddech.

— Jestem osobą praktyczną — oświadczyła — nie z gatunku tych, które fantazjują czy zmyślają. Wiem, że wierzy pan w duchy i zjawy. Ja w nie nie wierzę, toteż kiedy mówię panu, że w tym domu — wskazała ręką szczyt wzgórza — dzieje się coś bardzo złego, znaczy to, że dzieje się tam coś naprawdę złego; nie są to tylko echa przeszłości. Zaczęło się to od naszego przyjazdu. Z każdym dniem jest coraz gorzej; ojciec się zmienił, matka się zmieniła, Charlotte się zmieniła.

— Czy Johnnie też się zmienił? — przerwał jej Mortimer. Magdalen spojrzała na niego z błyskiem zrozumienia w oczach.

— Nie — odparła. — Teraz, gdy o tym myślę... Johnnie się nie zmienił. On jeden jest na to wszystko odporny. Widać to było wczoraj przy kolacji.

— A pani? — spytał Mortimer.

— Bałam się... okropnie się bałam, zupełnie jak dziecko... nie wiedząc, czego się boję. A ojciec zachowywał się dziwnie... brak na to innego określenia... po prostu dziwnie. Mówił o cudach, a ja się modliłam... naprawdę modliłam się o cud, i w tym momencie pan zapukał do drzwi.

Urwała nagle i spojrzała na niego.

— Chyba uważa mnie pan za obłąkaną — stwierdziła wyzywającym tonem.

— Ależ skąd — zaprzeczył Mortimer. — Na odwrót, wydaje mi się pani zupełnie zdrowa psychicznie. Wszyscy zdrowi ludzie przeczuwają niebezpieczeństwo, które im zagraża.

— Pan tego nie rozumie — powiedziała Magdalen. — Ja nie bałam się... o siebie.

— Więc o kogo?

Ale Magdalen znów bezradnie potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Napisałam litery SOS pod wpływem impulsu — Dodała. — Miałam wrażenie... bez wątpienia absurdalne... że oni nie pozwolą mi z panem porozmawiać... to znaczy reszta rodziny. Nie wiem, o co zamierzałam pana prosić. Teraz też nie wiem.

— Nic nie szkodzi — powiedział Mortimer. — Zrobię to.

— Co może pan zrobić? Mortimer lekko się uśmiechnął.

— Mogę pomyśleć.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Tak — ciągnął Mortimer — w ten sposób da się wiele osiągnąć, więcej niż się pani wydaje. Proszę mi powiedzieć, czy wczoraj wieczorem przed posiłkiem nie przyciągnęły pani uwagi jakieś przypadkowe słowa czy zdania?

Magdalen zmarszczyła brwi.

— Chyba nie — odparła. — Słyszałam tylko, jak ojciec mówi do matki, że Charlotte jest jej wiernym odbiciem i śmieje się przy tym w bardzo dziwny sposób, ale... przecież nie ma w tym nic niezwykłego, prawda?

— Nie — powiedział z namysłem Mortimer — tyle że Charlotte nie jest podobna do twojej matki.

Pogrążył się na chwilę w myślach, a potem podniósł wzrok i zobaczył, że Magdalen przygląda mu się z niepokojem.

— Wracaj do domu, moje dziecko, i nie martw się; zostaw wszystko mnie.

Posłusznie ruszyła w kierunku domku. On zaś przechadzał się przez chwilę, a potem położył na zielonej trawie. Zamknął oczy, odciął od świata świadomych myśli i doznań, i skupił uwagę na strumieniu obrazów przebiegających samoistnie przez jego podświadomość.

Johnnie! Myślami ciągle powracał do tego chłopca. Johnnie, absolutnie niewinny, całkowicie wolny od całej tej sieci podejrzeń i intryg, a mimo to stanowiący oś, wokół której wszystko się obraca. Przypominał sobie głośny brzęk filiżanki pani Dinsmead, uderzającej o spodek podczas

śniadania. Co wywołało jej niepokój? Jego przypadkowa wzmianka o zamiłowaniu chłopca do chemikaliów? Wtedy nie skojarzył obecności pana Dinsmead, ale teraz widział go wyraźnie: siedział wyprostowany, a ręka, w której trzymał filiżankę, zawisła mu w pół drogi do ust.

To ponownie przywołało w jego wyobraźni obraz Charlotte, który ujrzał ubiegłego wieczora, kiedy otworzono mu drzwi. Siedziała przy stole, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami znad swej filiżanki. Zaraz po tym pojawił się inny obraz... obraz pana Dinsmead, który opróżniając kolejne filiżanki, mówi: „Ta herbata już wystygła”.

Pamiętał unoszącą się parę. A więc herbata nie mogła być bardzo chłodna.

Nagle coś w nim drgnęło. Przypomniał sobie, że nie tak dawno, chyba przed miesiącem, przeczytał w jakiejś gazecie wzmiankę o zatruciu całej rodziny, spowodowanym przez nieostrożność młodego chłopca. Pozostawiony w spiżarni arsenik wysypał się z opakowania na leżący pod nim chleb. Zapewne i pan Dinsmead miał tę gazetę w ręku.

Wszystko stawało się coraz bardziej jasne...

Pół godziny później Mortimer Cleveland zerwał się na równe nogi.

Znów zapadł wieczór. Tym razem podano na kolację jajka w koszulkach i puszkę salcesonu. Pani Dinsmead nadeszła z kuchni, niosąc duży imbryk. Domownicy zajęli swe miejsca przy stole.

— Zupełnie inna pogoda niż wczoraj wieczorem — zauważyła pani Dinsmead, spoglądając w stronę okna.

— Tak — odparł pan Dinsmead. — Jest cicho jak makiem zasiał. Nalej no herbaty mateczko, dobrze?

Pani Dinsmead napełniła filiżanki i podała je wszystkim po kolei. Odstawiając imbryk, wydała nagły okrzyk i ręką chwyciła się za serce. Pan Dinsmead odwrócił się z krzesłem i podążył wzrokiem za jej przerażonym spojrzeniem. W drzwiach stał Mortimer Cleveland.

— Obawiam się, że państwa przestraszyłem — powiedział przepaszająco, podchodząc bliżej. — Ale musiałem po coś wrócić.

— Po coś wrócić?! — zawołał pan Dinsmead. Jego twarz zrobiła się purpurowa, a żyły na szyi wyraźnie nabrzmiały. — Chciałbym wiedzieć, po co?

— Po herbatę — odparł Mortimer.

Szybkim ruchem wyjął coś z kieszeni, wziął ze stołu jedną z filiżanek i przelał część jej zawartości do małej próbki, którą trzymał w ręku.

— Co... co pan robi? — spytał zdławionym głosem pan Dinsmead. Jego twarz stała się biała jak kreda, a purpura zniknęła z niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pani Dinsmead wydała cienki, piskliwy okrzyk przerażenia.

— Czytuje pan gazety, panie Dinsmead? Jestem pewien, że pan je czytuje. Od czasu do czasu można znaleźć w nich wzmianki o zatruciu wszystkich członków jakiejś rodziny; niektórzy z nich powracają do zdrowia, inni nie. W tym przypadku tylko jedna osoba nie zostałaby odratowana. Pierwszym nasuwającym się wyjaśnieniem byłby salceson z puszki, który właśnie jecie, ale co by się stało, gdyby badający sprawę lekarz okazał się człowiekiem nader podejrzliwym, nie dającym się łatwo zwieść teorii o szkodliwości konserw? W waszej spiżarni znajduje się zawiniątko z arsenikiem. Na półce poniżej leży paczka herbaty. Górna półka jest przedziurawiona w odpowiednim miejscu. Wszyscy więc doszliby do wniosku, że arsenik trafił do herbaty przez przypadek. Johnniemu można by zarzucić jedynie nieostrożność, nic więcej.

— Ja... ja nie rozumiem, o co panu chodzi — wykrztusił pan Dinsmead.

— Chyba jednak rozumie pan. — Mortimer podniósł kolejną filiżankę i napełnił kolejną próbkę. Jedną z próbek oznaczył czerwoną naklejką, drugą — niebieską.

— Probówka z czerwoną nalepką — oznajmił — zawiera herbatę z filiżanki pańskiej córki Charlotte, ta druga zaś — z filiżanki pańskiej córki Magdalen. Gotów jestem przysiąc, że w tej pierwszej znajdę czterokrotnie lub pięciokrotnie większą dawkę arseniku niż w drugiej.

— Pan jest obłąkany — krzyknął pan Dinsmead.

— Ależ bynajmniej. Zasugerował mi pan dzisiaj, panie Dinsmead, że Magdalen jest pańską córką przybraną. Ale Charlotte jest dzieckiem tak ładząco podobnym do swej matki, że kiedy trzymałem dziś w ręku miniaturę przedstawiającą jej matkę, wziąłem ją za podobiznę Charlotte. Chciał pan, żeby to pańska rodzona córka odziedziczyła majątek, a ponieważ ukrywanie przybranej córki, mogłoby okazać się na dłuższą metę niewygodne, zawsze bowiem znalazłby się ktoś, kto znał jej matkę i mógłby dostrzec podobieństwo, postanowił pan... no cóż... wsypać szczyptę białego arseniku na dno jej filiżanki.

Pani Dinsmead dostała nagle ataku histerycznego śmiechu i zaczęła kołysać się na krześle tam i z powrotem.

— Herbata — krzyknęła piskliwym głosem. — Tak właśnie rozkazał... herbata, nie lemoniada.

— Powściągnij swój język, dobrze? — wrzasnął gniewnie jej mąż.

Mortimer zauważył, że siedząca po drugiej stronie stołu Charlotte patrzy na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Potem poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni.

Magdalen odciągnęła go na bok, by nikt nie usłyszał ich rozmowy.

— Te próbki... — wskazała je palcem. — Tatuś. Chyba nie chce pan...

Mortimer położył rękę na jej ramieniu.

— Moje dziecko — powiedział — nie wierzysz w przeszłość. Ja wierzę. To atmosfera tego domu... Gdyby twój ojciec w nim nie zamieszkał, to być może... powiadam: być może... nie uknułby

tego planu. Zachowam te próbki, by zagwarantować Charlotte bezpieczeństwo teraz i w przyszłości. Poza tym nie zrobię nic więcej z wdzięczności, jeśli wolno mi tak to nazwać, wobec osoby, której ręka napisała SOS.